

# Niemyte dusze



STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

## Niemyte dusze

STUDIUM PSYCHOLOGICZNE NAD KOMPLEKSEM NIŻSZOŚCI (WĘZŁOWISKIEM UPOŚLEDZENIA) PRZEPROWADZONE METODĄ FREUDA ZE SZCZEGÓLNYM UWZGLĘDNIENIEM PROBLEMÓW POLSKICH

H

L. UŚMIECH KRETYNA

*Poświęcone pamięci  
Dr Karola de Beaurain<sup>1</sup>*

*Wszelako dziwne jest w tej książce materii pomięszanie.*

*Henryk Sienkiewicz, Ogniem i mieczem*

### WSTĘP

Praca niniejsza nie będzie żadnym systematycznym wykładem teoretycznym, tylko raczej streszczeniem paru, nie własnych zresztą, teorii i wyliczeniem szeregu obserwacji psychologicznych, dokonanych nad samym sobą i otoczeniem, a następnie próbą ich historycznego wyjaśnienia w silnym oparciu o teorie Freuda, ze szczególnym uwzględnieniem kompleksu („węzłowiska” — węzeł i węzowisko razem) niższości (*Minderwertigkeitsgefühlkomplex, inferiority complex*).

Zaznajomienie się z metodą Freuda, tzw. psychoanalizą, zawdzięczam przyjacielowi moich Rodziców (i poniekąd mojemu, wzięwszy pod uwagę dużą różnicę wieku), doktorowi Karolowi de Beaurain<sup>2</sup>, którego pamięci z uczuciem głębokiej wdzięczności, szacunku, podziwu i sympatii pracę tę poświęcam. Lata całe nie doceniałem tego, co ów pierwszy nieomal pionier freudowskich idei u nas pośrednio dla mnie uczynił. Zainteresowany moimi snami zaproponował mi w r. 1912 systematyczny „kurs praktyczny” psychoanalizy, na co się z radością jako na pewną „nowalię” zgodziłem; ale przystąpiłem do tego eksperymentu nie bez pewnej lekkiej nieufności i krytycznego nastawienia. Nie będę opisywał tu szczegółów przebiegu „kuracji”, która zresztą z niczego konkretnego wyleczyć mnie nie miała, gdyż, wbrew opinii Rity Sacchetto (pierwszej żony Augusta

<sup>1</sup>Beaurain, Karol de (1867–1927) — lekarz psychiatra i psychoanalityk; studiował medycynę na uniwersytetach w Genewie, Zurychu i Bernie, gdzie w 1894 roku otrzymał tytuł doktora medycyny; prowadził m.in. praktykę neurologiczną w willi Oksza w Zakopanem, pracował w w Klinice Neurologiczno-Psychiatrycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, w Zakładzie Psychiatrycznym w Dziekance koło Gniezna, był ordynatorem Zakładu Psychiatrycznego w Owińskach; przyjaźnił się z Witkiewiczami, ojcem i synem; zmarł z powodu choroby serca 14 lutego 1927 roku. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Beaurain, Karol Dionizy de (1867–1927) — polski lekarz psychiatra i psychoanalityk, przyjaciel Stanisława Witkiewicza (ojca) i Witkacego. Studiował na Uniwersytecie w Genewie, Zurychu i Bernie, gdzie w 1894 roku otrzymał tytuł doktora medycyny; po nostryfikacji dyplomu w 1896 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim praktykował w Zakopanem (1897–1898 i po specjalizacji w Monachium przeprowadzonej w l. 1903–1904 znów w l. 1912–1913), a także w Szpitalu Powszechnym we Lwowie (1898–1899), w Poroninie (1900–1910) jako lekarz okręgowy, w Wiśle jako dyrektor zakładu leczniczego (1914), w Klinice Neurologiczno-Psychiatrycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego (1917 oraz 1919–1921), w Zakładzie Psychiatrycznym w Dziekance k. Gniezna (1921–1924) wreszcie jako ordynator Zakładu Psychiatrycznego w Owińskach, gdzie zmarł z powodu choroby serca. W 1912 r., kiedy powróciwszy z praktyką do Zakopanego dr de Beaurain prowadził praktykę neurologiczną w willi Oksza, Witkacy odbył u niego trwającą około rok terapię psychoanalityczną. [przypis edytorski]

Zamoyskiego, rzeźbiarza), która o mnie nigdy inaczej nie mówiła jak: „*dieser geisteskranke W.*”<sup>3</sup>, jestem człowiekiem względnie normalnym.

Dla dr. de Beaurain poza osobistą sympatią, którą, jak sądzę, dla mnie „żywił”, byłem jeszcze interesującą „eksperymentalną świnką morską” (*ein Versuchskaninchen*) — dobrze, że nie lądową — prócz tego, że wyjątkowy ten i niedoceniony u nas człowiek chciał mi dać coś z siebie, ze swojej głębokiej wiedzy o ludziach i życiu, ustokrotnionej potężnym aparatem teorii Freuda<sup>4</sup>, tego również nie wszędzie należycie docenionego, jednego z największych geniuszy i dobroczyńców ludzkości naszej epoki<sup>5</sup>. Dr de Beaurain chciał mnie uratować w pewnym sensie od samego siebie. Możliwe jest, że dobrze się dla mnie stało, iż tego w zupełności nie dokonał, ponieważ prawdopodobnie musiałbym wtedy, mając „rozwiązane” (jak to się u nich, psychoanalityków, mówi) wszystkie węzłowiska (kompleksy), wyrzec się pracy w moich zawodach, tzn. w literaturze, malarstwie i filozofii<sup>6</sup>, a przynajmniej zmienić zasadniczo jej charakter; przestać do pewnego stopnia być sobą. A stwierdzić muszę, że mimo wszelkich ujemnych o niej sądów, ta właśnie ostatnia praca dała mi osobiście niezmiernie wiele (niezależnie od tego, co mogła lub może dać innym i samej nauce), i że bez niej, mimo dość dziwnych przygód i braku nudy, uważałbym moje życie, którego — przynajmniej dotąd — nie zamieniłbym z żadnym innym (nawet z życiem cesarza Pu-Ji<sup>7</sup>), za jałową pustynię. Mówię tu specjalnie nie tyle o sztuce i literaturze, ile o filozofii: powtarzam: *dotąd*, bo na myśl o torturach, których tyle razy szczęśliwie uniknąłem, a na które nigdy zresztą nie zasłużyłem, robi mi się stale chłodno i gdyby takowe miały się w moim życiu spełnić (oby nigdy to nie nastąpiło!), nie wiem, co i jak bym zaśpiewał.

Bo (wracając do poprzedniego) mówią, że wszelka praca tzw. górnołotnie „twórcza” z węzłowisk nierozplątaných pochodzi i wraz z ich rozwiązaniem ginie, jak potok wysychający latem w górskim korycie. Czy tak jest, trzeba by z wszelką pewnością stwierdzić; a ponieważ skomplikowany niezmiernie eksperyment nie może być powtórzony w tych samych warunkach (przerobienie czyjś życia z psychoanalizą i bez), więc rozstrzygnięcie nie będzie tu nigdy zupełnie pewne. Możemy mówić z pewną dokładnością o usunięciu u kogoś jakiegoś kompleksu na tle wielu podobnych wypadków, ale o czymś tak kapryśnym jak twórczość, artystyczna specjalnie, nic na pewno, mimo niezliczonych doświadczeń, powiedzieć się nie da. W każdym razie, o ile nawet w rzadkich wypadkach usunięcie węzłowiska (kompleksu) chorobowego — pojęcie to wyjaśnię zaraz dokładniej na przykładzie — może przynieść uszczerbek tzw. twórczości, to w większej ilości wypadków, u ludzi tzw. „zwykłych”, nieoddających się jakiejś specjalnej, szczególnie artystycznej, twórczości, może mieć skutki tylko dodatnie. Oczywiście stosowana na większą skalę przez dyletantów psychoanaliza może przybrać znaczenie fatalne i doprowadzić do poważnych nerwowych zaburzeń. Nie sztuka jest bowiem kogoś psychicznie rozbraić, ale sztuką jest załagodzenie jego cierpienia i odpowiednie zsynchronizowanie uprzedniej analitycznej roboty. Tęgo stadium właśnie nie przeszedłem z dr. de Beaurain do końca

<sup>3</sup>*dieser geisteskranke W.* (niem.) — ten szalony W.; dosł.: ten duchowo chory W. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Freud, Sigmund (1856–1939) — ur. w Příborze (wówczas: Freiberg na Morawach) w rodzinie żyd. neurolog i psycholog austr., twórca psychoanalizy; jego metoda (kontynuowana jako „psychologia głębi”, niem. *Tiefenpsychologie*; termin Carla Gustava Junga), tj. skoncentrowanie uwagi na analizie przeżyć niekontrolowanych przez świadomość, wywarła znaczący wpływ na literaturę i teorię sztuki; wykłady z psychoanalizy i seksuologii publikowane były od 1905 r. Najważniejsze publikacje Freuda stanowiły rozwinięcie prac niem. szkoły psychologii eksperymentalnej: *Die Traumdeutung* („Objaśnianie marzeń sennych”, 1900); *Zur Psychopathologie des Alltagslebens* („Psychoopatologia życia codziennego”, 1901); *Totem und Tabu* („Totem i Tabu”, 1913); *Vorlesungen zur Einführung in die Psychoanalyse* („Wstęp do psychoanalizy”, 1917). [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Freuda, (...) *jednego z największych geniuszy i dobroczyńców ludzkości naszej epoki* — nie można zeń robić kogoś, kim nie jest: jakiegoś maga, arcykapłana, a nade wszystko filozofa, na co on sam by się z pewnością nie zgodził. Na tym podstawieniu nieodpowiednich wartości polega z pewnością jego istotne niedoceniecie, jak to często bywa. [przypis autorski]

<sup>6</sup>*musiałbym wtedy (...) wyrzec się pracy w moich zawodach, tzn. w literaturze, malarstwie i filozofii* — wtedy miałem poza sobą tylko niewydaną powieść dwutomową pt. *622 upadki Bunga, czyli Demoniczna kobieta*, a w filozofii notatki marginesowe. [przypis autorski]

<sup>7</sup>Pu-Ji, właśc. *Aisin Gioro Puyi* (1906–1967) — ostatni cesarz Chin, pochodził z mandżurskiej dynastii Qing, z rodu Aisin Gioro, intronizowany jako cesarz Xuantong w 1908 r., zmuszony do abdykacji w 1912 r. po rewolucji ludowej w Nankinie (1911–1912); w latach 1920–1932 używał imienia Henry Pu Yi; od 1934 r. był cesarzem marionetkowego państwa Mandżukuo; aresztowany w 1945 r. był więźniem najpierw radzieckim, a potem chińskim; został uwolniony w 1959 roku i jako zwykły obywatel Chińskiej Republiki Ludowej pracował jako ogrodnik, a potem archiwista. [przypis edytorski]

z przyczyn od nas obu niezależnych i dlatego może psychoanaliza ta (na razie) nie miała na mnie wpływu tak dodatniego, jak to po niej zasadniczo można by się spodziewać, co ujawniło się w pewnych bezpośrednio po niej zaszłych zdarzeniach mojego życia, które też na długie lata odwróciły moją uwagę od tej sfery; a gdy do niej myślowo wróciłem, to raczej w sposób jakby trochę ironiczny, co objawiło się bezpośrednio nawet w pewnych sztukach teatralnych. Ale nieprawdą jest, abym kiedykolwiek zupełnie psychoanalizę deprecjonował, jak mi to imputowano razem z antysemityzmem i czort wie czym jeszcze. Oczywiście są to rzeczy mało ważne, ale ponieważ mam zamiar napisać wielkie pochwały dla tej nauki, a u nas ze zmiany istotnej przekonań robi się często jakieś dziwne dowody czyjejs interesowności, a nawet nieuczciwości, więc uważałem za stosowne dodać tych parę wyjaśnień z dalekiej przeszłości.

Faktem jest, że mimo iż posługiwałem się do pewnego stopnia w introspekcji i badaniu innych osobników psychoanalizą, w najgrubszej zresztą postaci, i używałem nawet jej terminologii, sfera ta była u mnie jakby w stanie uspienia przez długie lata — wszystko to, mimo pozornego stosowania, było martwe, jakby skamieniałe. Książką, która dokonała we mnie formalnej rewolucji i zasadniczo zmieniła mój stosunek do samego siebie i innych ludzi, otwierając mi (jako leptosomowi-schizotypikowi, w tej chwili mogę powiedzieć nieomal: „byłem” — tak bowiem od tych czasów spykniczałem) nieprzeczuwane horyzonty, było dzieło Ernsta Kretschmera<sup>8</sup> *Körperbau und Charakter*, wydane u Springera w Berlinie. Nie będę tu wchodził w szczegóły teorii tego genialnego psychologa i psychiatry, którego to właśnie wymienione dzieło powinno być znane bezwarunkowo wszystkim ludziom względnie inteligentnym, ale w szczególności tym, których zadaniem życia jest przewodzenie masom, a materialem ich twórczości żywy, stający się człowiek, czyli zadanie *wychowywania* w najszerszym znaczeniu tego słowa — od nauczycieli szkoły ludowej do szczytów władzy państwowej. Aby zachęcić tych, którzy będą w stanie zrozumieć doniosłość dzieła Kretschmera i zaznajomić się z nim osobiście, podam tu tylko krótkie streszczenie<sup>9</sup>.

## STRESZCZENIE TEORII KRETSCHMERA

Zasadniczą tezą Kretschmera jest, że charakter budowy organizmów ludzkich związany jest z określonym charakterem ich psychiki.

Musi tak być, ponieważ: a) prawdopodobnie pierwotna świadomość jest tylko świadomością ciała, plus tegoż ciała bezpośrednie wspomnienia; b) że my jesteśmy po prostu samoczującymi się ciałami; c) że to samoczucie się „zindywidualizowanej materii żywej” (innej jak zindywidualizowanej nie ma) jest faktem pierwotnym; d) że cały tak zwany „duch” daje się zbudować (przy założeniu istnienia wspomnień i wyobrażeń jako koniecznych elementów jedności i ciągłości świadomości) z czuć pierwotnych i „luksusowych”, w których to czuciach pierwotnych (dotyk zewnętrzny i wewnętrzny — czucia powierzchni ciała, czucia organów, stawów, ścięgien i mięśni *u nas*) nie różnimy się prawdopodobnie od pierwotnych *stworów*. Za „luksusowe” uważam czucia, które nie są konieczne do założenia istnienia najpierwotniejszego żywego stworu (jak są nimi dotyk wewnętrzny i zewnętrzny), a więc np. czucia słuchu, wzroku, powonienia itp.; e) że myślenie daje się skonstruować bez przyjmowania dlań specjalnego rodzaju świadomości,

<sup>8</sup>Kretschmer, Ernst (1888–1964) — niem. psychiatra, prof. uniwersytetu w Marburgu (od 1926) i w Tybindze (od 1946); twórca teorii konstytucjonalnej (1924). Teoria ta zakłada istnienie trzech typów fizycznych ludzi: atletycznego (osobnik masykularny), astenicznego (osobnik wątłej budowy) i pyknicznego (osobnik skłonny do otyłości), którym odpowiadają dwa typy psychiczne: osobnikom o budowie atletycznej i astenicznej odpowiada typ schizotypiczny, a osobnikom o budowie pyknicznej typ cyklotypiczny; swoją teorię przedstawił w opublikowanej w 1921 r. monografii *Körperbau und Charakter* („Budowa ciała i charakter”). Był członkiem założycielem Powszechnego Towarzystwa Psychoterapii (AÄGP) zawiązanego w 1927 r. Nominowany w 1929 r. do Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>podam tu tylko krótkie streszczenie [dzieła Kretschmera] — coś w tym rodzaju znajduje się w mojej książce o narkotykach (koniec rozdziału o alkoholu). W II tomie *Psychologii* prof. Witwickiego kwestia ta jest obszernie poruszona. Nie mówię tu o typologii „gruczołowej”, w której do ciekawych rezultatów doszedł docent lwowski dr..., ponieważ chodzi mi tu o praktyczne raczej znaczenie typologii jako środka orientacji w stosunkach międzyludzkich i to bez żadnych bardziej zawiłych doświadczeń, a jedynie na mocy czysto zewnętrznej obserwacji. [przypis autorski]

również z następstw czuć (byłych i wyobrażonych też) z przyporządkowanymi im następstwami innych czuć aktualnych lub możliwych<sup>10</sup>.

Ciało z „duchem” stanowią zupełną jedność. „Duch” jest to ciało odczuwane od środka samo w sobie — tym właśnie jesteście sami w sobie i dla siebie.

Możemy następnie rozpatrywać nasze ciało, pierwszy „przedmiot” sam w sobie i dla siebie istniejący, jako jedno z wielu otaczających nas ciał i przedmiotów właściwych, czyli raczej rzeczy. Wtedy przedstawia się nam ono jako złożony z organów, prawidłowo w pewnych granicach funkcjonujący organizm, żywa konstrukcja, w przeciwieństwie do przedmiotów martwych, na które podzielona przedstawia się nam otaczająca materia.

Możemy do pewnego stopnia interpretować fizykalnie ten organizm według zasad fizyki, opisującej w terminach drobnych rozciągłości w ruchu i stosunków ilościowych (powstałych na tle pomiarów) świat materii martwej. Ale całkowicie go w tych terminach wyrazić nie będziemy w stanie nigdy, jako żywego właśnie, jak również i naszych wewnętrznych przeżyć i stanów psychologicznie analizowalnych w kompleksy (zespoły) czuć prostych: dotyków (wewnętrznych i zewnętrznych), barw, dźwięków, smaków, zapachów itd.

Tu kończę tę moją „wstawkę”, nie wyprowadzając z myśli tu zawartych ostatecznych konsekwencji filozoficznych: za daleko by nas to zaprowadziło. Pragnę tylko zachęcić szerszą publiczność do wglębnienia się w te zagadnienia, które mogą następnie naprowadzić na problemy filozoficzne. Zajęcie się tymi ostatnimi uważam za coś najcenniejszego, nawet dla tych, którzy twórczo na tym polu pracować nie mogą. Ciekawy jest fakt, że większość ludzi mogących sobie na to pozwolić broni się przeciw temu zaciekle, ulegając fałszywym nastawieniom, przesądom, a także namowom różnych fałszywych proroków, którzy za zawód swój, z którego żyją, uznali pozbawianie swych tzw. „bliźnich” jednego z najcenniejszych skarbów, jakimi nas obdarzyła natura, dając nam w przeciwieństwie do innych stworzeń ten drogocenny kawałek kory mózgowej, przy pomocy którego stworzyliśmy naszą bajeczną pod wieloma względami, a tak jeszcze społecznie niedoskonałą kulturę.

Filozof

Wracając po tej dygresji do teorii Kretschmera, która na tle zrozumienia jedności „ducha” z ciałem powinna stać się nam jaśniejsza i pozbawiona wszelkiej w złym znaczeniu „metafizyki”, znajdujemy u niego pewien podział rodzajów struktur cielesnych i odpowiadających im struktur psychicznych, który nie jest bynajmniej sztuczny i dowolny: nie wynika z żadnych z góry powziętych idei, tylko jest wnioskiem doświadczalnym, dostarczonym przez obserwację ludzkiej rzeczywistości.

Oczywiście, aby niesłychaną komplikację struktur psychofizycznych (raczej psychobiologicznych — odwieczna pomyłka wszelkich paralelistycznych teorii, że mówią o jakimś „psychicznym” i „fizycznym”, a nie o „psychicznym” i „organicznym” — o ile już tak się wyrażamy — stanowiącym jedność od środka i od zewnątrz widzianą, i o „materii martwej” z drugiej strony, fizykalnie dalej według poglądu fizykalnego interpretowanej) ująć w tak prostą klasyfikację jak Kretschmer, na to trzeba było być geniuszem wysokiej miary. Było przed nim mnóstwo prób tego ujęcia — charakterologia organiczna jest stara nieomal jak kultura, ale żadna nie może dorównać Kretschmerowskiej pod względem jasności i precyzji, a nade wszystko prostoty.

Niektórzy zarzucają mu lekkomyślnie, że klasyfikacja jego nie jest absolutną, że są wyjątki przeczące tezie zasadniczej, że podział jest przybliżony, że nie obejmuje wszystkich możliwości itp. To, że są wyjątki, Kretschmer przyznaje sam, ale przecie teoria jego nie jest jakimś „systemem dedukcyjnym”, który wywala najmniejsza nawet sprzeczność, tylko teorią empiryczną, opartą na badaniach statystycznych, które ją jednak właśnie *en gros*<sup>11</sup> potwierdzają. Oczywiście wobec morza komplikacji podział jest przybliżony. Ale stworzyć w tym chaosie, jaki przedstawia ludzkość, podział tak prosty, a tak konsekwentny i tyle typów obejmujący, jest właśnie dziełem wielkim. Można go ulepszać, tworząc podtypy, klasyfikacje bardziej zróżniczkowane, ale zasadniczo trwa on jak mur w porównaniu do opisywanej przezeń rzeczywistości, która mieści się w nim prawie bez

<sup>10</sup>myślenie daje się skonstruować bez przyjmowania dlań specjalnego rodzaju świadomości (...) — po bliższe wyjaśnienia odesłać muszę do mojej pracy głównej (*Hauptwerk*: główniak) *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia* (Kasa Mianowskiego, 1935). [przypis autorski]

<sup>11</sup>*en gros* (fr.) — z grubsza. [przypis edytorski]

reszty, a wszelkie typy pośrednie wchodzą wen jako kombinacje dwóch typów psychicznych głównych (ze swymi dwoistymi biegunowościami) z odpowiadającymi im trzema typami struktur organicznych: głównymi i jednym dodatkowym, mieszczącym w sobie drobne grupy, ukonstytuowane w związku z ich stosunkiem do kwestii patologii gruczołów dokrewnych.

A więc mamy przede wszystkim typ *leptosomiczny* (*leptos* — wąski po grecku), którą to nazwą zastępuje Kretschmer używaną dotąd nazwę: „asteniczny”, zarezerwowaną obecnie dla rodzaju leptosomów obdarzonych wyjątkową słabością i wątłością budowy, co sama nazwa sugestionowała niesłusznie dla całego zespołu leptosomów, między którymi mogą być i typy bynajmniej fizycznie nie chorobliwe<sup>12</sup>.

Zasadnicze charakterystyczne cechy fizyczne tego typu są następujące: ogólnie są to ludzie o budowie wysmukłej, często wątłej. Brzuch mało wydatny, często wpadnięty — zapas tłuszczu skąpy. Klatka piersiowa deskowata lub nawet wpadnięta. Ramiona względnie szerokie, ale nie zanadto. Kończyny długie, o grubych stosunkowo kościach. Wiązania stawowe również grube. Same ręce i stopy duże, o długich palcach i również grubych wiązaniach. Głowa osadzona wysoko na łądogowatej, cienkiej szyi. Profil trójkątny, tzn. nos względnie wystający i duży, a broda i czoło cofnięte.

Drugi typ — *atletyczny*, jest tak banalny, że w skrócie takim niewiele o nim powiedzieć można, bo każdy wie, co to jest atleta. Średniego wzrostu ludzie, doskonale zbudowani. Szeroka klatka piersiowa, szerokie bary. Kości doskonale rozwinięte. Muskulatura rozwinięta nieomal do przesady, szczególnie w górnej partii ciała. Głowa osadzona prosto, profil raczej trójkątny, silnie rozwinięte szczęki. Duże stopy i ręce jak u leptosomów. Kości i wiązania grube.

Tym dwóm typom somatycznym odpowiada według rozległej statystyki typ psychiczny *schizoidalny*. Tu musimy przed scharakteryzowaniem tego typu wspomnieć coś o stosunku zdrowych psychicznie ludzi do chorych, według rozważanej tu teorii.

Zasadniczym twierdzeniem Kretschmera jest to, że szpital wariatów jest powiększającym szkłem, przez które patrzymy na zdrowe społeczeństwo. Mamy tam wszystkie typy normalnie w życiu funkcjonujące wyolbrzymione, spotęgowane, a nawet skarykaturowane. Właściwości, które czynią z normalnego człowieka doskonałego pracownika o czystym jedynie charakterze typologicznym, przesadzone w pewnym, stałym zresztą dla danej choroby, kierunku stwarzają z niego prawdziwe monstrum. Przeciągnięte do ostatnich granic linie konsekwencji charakteru jakiegoś doskonałego działacza czy organizatora, „natychającego” optymizmem całe otoczenie, robią zeń maniaka o fantastycznych pomysłach, wiecznie podnieconego do wielkich czynów, a nie tworzącego nic wartościowego. Utrzymany na pewnej granicy typ, już tuż koło niebezpiecznego punktu przekroczenia, jest podziwianym przez wszystkich geniuszem, dającym ludzkości nowe wartości — o parę linijek dalej czai się złowrogi potwór, niezmiernie blisko temu geniuszowi pokrewny, którego trzymać trzeba w zamknięciu jako typ niesłuchanie społecznie szkodliwy. Nie ma tej przepaści między psychicznie chorymi a zdrowymi, którą ustanawiała, zdaje się, dawna psychiatria. Ten sam zasadniczy podział obejmuje zdrowe społeczeństwo, jak i wydzielony z niego, jakby jakiś okropny wrzód, szpital wariatów, gdzie pokutują za nie spełnione lub nie swoje winy ci najniezwyklejsi z nieszczęśliwych, którym, jak to mówią, „Bóg odebrał rozum” — jako kara nie ma chyba nic straszliwszego. Iluż, nie wiedząc, jak ze sobą postępować, odbiera ten rozum samym sobie, aby potem długie lata gnić w obłądnie, dawno już po istotnej śmierci, i męczyć się bezpłodnie, mogąc to jedyne życie przeżyć na szczytach własnych możliwości. Broń przeciw wszelkim złym potęgom wewnętrznym, przeciw tym najstraszliwszym wrogom, którzy siedzą przede wszystkim w nas samych, daje poznanie siebie i drugich poprzez Kretschmerowskie ujęcie charakterów. Drugą taką bronią jest freudyzm. Żeby mi nie wiem, co kto mówił, że ten stopień poznania można osiągnąć przez samą autoanalizę i obserwację,

Szaleniec

Rozum, Szaleństwo

Wiedza, Kondycja ludzka

<sup>12</sup>leptosomów, między którymi mogą być i typy bynajmniej fizycznie nie chorobliwe — nie będąc specjalistą w dziedzinie, której dotykam, mogę porobić jakieś błędy, które trzeba mi wybaczyć i łagodnie sprostować, nie wymyślając zaraz od nienaukowców biorących się do nie swoich rzeczy, jak to czyniono w pewnych sferach w stosunku do bezpretensjonalnej, opartej tylko na psychologicznej obserwacji książki mojej o narkotykach. Ponieważ fachowcy piszą tylko dla siebie, a ważność tematu dla ogółu jest wielka, muszą zacząć o tym pisać laicy. [przypis autorski]

jak to zwykli mówić „oporowcy” — nie uwierzę. Może dawniej, gdy życie nie było tak skomplikowane, można było się obejść bez tych teorii — jako też obchodziła się bez nich na swoje nieszczęście ludzkość; ale dziś człowiek, który ich nie zna, jest nieszczęśliwym kaleką, pelzakiem wobec chodzących prosto „uświadomionych”.

Oczywiście i charakterologia, i autoanaliza (i nawet metody prawie że freudowskie) były przed Freudem i Kretschmerem. Ale ci wielcy jasnowidzący ujęli pierwotne, niedołążne majaczenia ludzkie na te niesłychanej życiowej wagi tematy w jasne, dostępne dla każdego, zastosowalne w pewnym stopniu dla zupełnych laików systemy myśli, przerażające wprost swą prostotą i logiką. Wobec takich przedziwnych w swej prostocie twórców geniuszu dziwimy się tylko, że dotąd nikt tego od samego zarania myśli nie widział, że my sami po prostu tego dawno nie wynaleźliśmy, że tak długich wieków trzeba było, aby tak rzecz pozornie oczywistą wyprodukować. Tę właściwość mają właśnie prawdziwe arcydzieła sztuki i rozumu — po tym nieomal poznać można ich bezcenną wartość; są wcieleniami jakby odwiecznie bytujących form i prawd: pierwsze w swej jedyności absolutnej i powszechności wyrażanej metafizycznej treści, drugie w swej absolutnej prawdzie najwyższej ogólności, obejmującej w prostych formułach pojęciowych pozornie beznadziejnie chaotyczne splątowiska częściowej lub całej rzeczywistości.

Wracając do *schizoidów*: są to typy milczące, zamknięte w sobie, raczej ponure. Zmiany nastrojów następują u nich gwałtownie, pozornie bez powodu. W ciągu jednej sekundy z ostatecznej ponurości mogą przejść do (ich względnej) wesołości, z gniewu do zupełnej pogody. Tak samo u zdeklarowanych szaleńców tej grupy objawy zmieniają się z przerażającą gwałtownością. Sam ostry wybuch choroby może nastąpić nagle i nieoczekiwanie w ciągu paru sekund. Jest to podobno w związku z tym, że nerwy schizoidów są prawie pozbawione lipoidalnych (coś w rodzaju tłuszczu) osłonek izolacyjnych, które posiadają (za to) pykniccy-cyklotymicy. Procesy nerwowe przebiegają u schizoidów szybko; są to jakieś gwałtowne krótkie spięcia, połączone z wielkimi wydatkami energii, po których następuje szybko depresja i zmęczenie.

Uczucia schizoida (słowo pochodzące od greckiego słowa oznaczającego rozszczepienie) to — według pięknego wyrażenia Kretschmera (który w swych opisach różnych psychik osiąga nieomal artystyczne wyżyny) — „ogień płonący wewnątrz bryły lodowej”, na zawsze w niej uwięziony. Może schizoid przeżywać wewnątrz tej lodowej powłoki straszliwe tragedie i wstrząsy (straszliwe dla niego, dla przeciętnego pyknika — typ przeciwny — byłyby to widmowe fosforescencje jakiegoś urojonego świata) — żaden adekwatny wyraz ich nie stanie się własnością otoczenia. Niepoznawalny nawet sam dla siebie, często przez siebie do końca niepoznany, przechodzi schizoid nieraz przez życie jak tajemnicze widmo, unosząc do grobu swe bezużyteczne skarby, męcząc się ich bezpłodnością i martwością.

To zamknięcie się w sobie, w swoim własnym świecie myśli i wyobrażeń, we własnej, nieporównywalnej z żadną inną, wizji rzeczywistości, nie wyklucza zupełnie braku chęci ze strony schizoida oddziaływania na tę nienawistną mu rzeczywistość. Są schizoidzi specjalnego typu, którzy właśnie chcą ją zmienić według ich własnej koncepcji, narzucić jej tę swoją wizję wewnętrzną, która ich „obseduje” (potworne słowo!), zgwałcić ją i przetransformować: są to wielcy sekciarze, fanatycy wiar, reformatorzy społeczni, prorocy nowych obyczajów. Bo trzeba zauważyć, że tak jak pykniccy, tak i leptosomy posiadają dwa przeciwne sobie bieguny, mieszczące się w obrębie ogólnej ich charakterystyki: bieguny schizoidalne; są hiperestetycy (nadczułki) i anestetycy (nieczuje). Do pierwszych należą typy „arystokratyczne” (duchowo), smakosze życia, używający wymyślnych przypraw psychologicznych i estetycznych, drżący od najłżejszego mrozącego powiewu, wiecznie otuleni w jakąś duchową watę, unikający hałaśliwej dobroduszości i wylewności uczuć pykników. Najmniejsza złośliwość czy zdraśnięcie ich ambicji jest dla nich krzywdą nie do przebaczenia; długo ją pamiętają i nie wracają nigdy do środowisk, które ich nieodpowiednio, bez należytych ostrożności, przyjęły. Drugi typ to zimnych pedantów (do tych należą fanatycy idei, wymienieni poprzednio), którzy by wszystko załadować chcieli do swych abstrakcyjnie, bez związku z życiem, skonstruowanych duchowych szufladek, choćby rzeczywistość miała wyjść po tej dobroczynnej przemianie ze zwichniętym kręgosłupem i połamanymi członkami. Odważni na zimno do szaleństwa, nieczuli na ból swój własny i innych, zawzięci do okrucieństwa, charaktery nieugięte, wpatrzone w dal fantastycznych lub też z precyzją obliczonych planów, idą przez życie jak jakieś dziwaczne

maszyny, spełniające, zda się, czyjąś wolę, będące niby narzędziami zaświatowych, działających przez nich potęg. Jedno gorsze niby od drugiego — ale czy bez takich typów ruszyłaby z miejsca leniwa masa ludzka ku jakimkolwiek celom przekraczającym potrzeby codziennego dnia: możliwego żarcia i byle daszku nad głową? Bardzo wątpliwe. Są oni (raczej byli dotąd) produkowani, aby „coś się z ludzkością działo”, aby w ogóle ludzkość jako taka powstała. Możliwe, że w dalszym jej rozwoju, po samouświadomieniu się masy i wobec możliwości jej samorządzenia się, i to faktycznego, a nie rządzenia przez zdegenerowanych w potwory, to jest w przedstawicieli kapitału-nowotwora, dawnych *prawdziwych* władców — typ schizoidalny będzie musiał zaginąć na równi z religią, sztuką, a może i filozofią (po co to: może — na pewno *tak*<sup>13</sup>), które to dziedziny w swych najistotniejszych przejawach też przeważnie dziełem leptosomów-schizoidów były. Możliwe, że pyknicy (a dalej kobiety — kto wie?) zwyciężą w miarę dalszego uspołecznienia się ludzkości. (O tych problemach będzie jeszcze mowa później.) Ważnym jeszcze dla psychiki schizoida jest to, że są to typy zasadniczo rozdwojone — właściwie rozszczerzone (skąd nazwa: „schizo”), bo o podwójnej w ścisłym znaczeniu osobie psychicznej nie ma tam mowy: przeciwieństwa mieszczą się w jednej osobowości jednocześnie — to jest najciekawsze. Schizoid jednocześnie potrafi kochać i nienawidzić, pożądać i czuć wstręt, uwielbiać i pogardzać. Nazywamy to systemem podwójnego wartościowania (ambiwalecja), wprowadzającym do życia całe morza komplikacji. Doprowadzony stan ten do ostatecznych konsekwencji daje dwie psychiki w obrębie jednej osobowości, niewiedzące jakby nic wzajemnie o sobie.

Typem „rozwinętego” aż do nienormalności schizoida normalnego i życiowo, a nawet społecznie pożytecznego — jest *schizofrenik*, skończony wariat, typ zamknięty w sobie aż do zupełnego odcięcia od świata w kompletnym bezruchu zewnętrznym i wewnętrznym, graniczącym z ogłupieniem (hebefrenia) i kompletnym idiotyzmem. Sam widziałem typy takie, zwiedzając szpitale wariatów — wrażenie jest wprost przerażające. Żywy trup o absolutnie bezmyślnym, nieobecny spojrzeniu, zwinięty kunsztownie w pozycji, której by niejeden fakir nie wytrzymał, trwa w niej miesiące, a czasem lata. Niektóre typy takie metodą ciągłego kołatania do zamkniętej ich „duszy” udało się Jungowi<sup>14</sup> powrócić do pewnego stopnia do życia. Pewien osobnik, który trzydzieści lat zawzięcie milczał, odpowiedział wreszcie ponuro na pytanie „czemu”, zadane po niesłychanych wysiłkach zdobycia jego wewnętrznej fortecy, w której się zamknął ze wstrętu do życia i ludzi: „aby oszczędzać choć trochę niemiecki język” — brzmiała niesamowita odpowiedź. Drugi typ schizoidalny: nadczułek, daje w odpowiednim spotęgowaniu furii, o byle co dostających ataku szału.

Przechodząc do *pykników* konstatujemy za Kretschmerem, że będą to ludzie o budowie raczej krępej i niskiej. Beczkowata klatka piersiowa przy stosunkowo wąskich ramionach, krótkie kończyny, drobne stopy i ręce i delikatne wiązania w przegubach charakteryzują ten typ, zasadniczo fizycznie i duchowo poprzedniemu przeciwny. Głowa osadzona na krótkiej szyi, z lekka ku przodowi przesunięta. Profil „dobrze wyrobiony”, na jednej mniej więcej linii prostopadłej, bez wielkich odchyżeń.

Do tego typu należy psychika *cyklotymiczna*, stanowiąca zupełne przeciwieństwo duchowego typu schizoidalnego leptosomów. U pyknika wszystkie procesy przebiegają wielkimi falami, w przeciwieństwie do gwałtownych uskoków i „szubów” schizotymina. Ale nie znaczy to, aby tłamsił on w sobie długo jakieś urazy czy gniewy — nie — on wyładowuje wszystko od razu i potem jest spokój i pogoda. Jest to psychika odkryta, nalażąca na ludzi, żądna kontaktu z rzeczywistością. „Dusza na rąpaszku<sup>15</sup>” — jak mówią Rosjanie.

Pyknik też w pewien sposób narzuca się otaczającemu światu, ale nie jako prorok, gwałciciel i transformator, tylko raczej jako pośrednik, uzgadniający już istniejące sto-

<sup>13</sup>typ schizoidalny będzie musiał zaginąć na równi z religią, sztuką, a może i filozofią (po co to: może — na pewno tak) — ale nie zabita wprost przez Wiener (u nas Wi(e)nawer) Kreis, tylko pośrednio przez stworzenie ostatecznego systemu Ontologii Ogólnej. Taka jest moja wiara i ma dość silne w terażniejszości podstawy. [przypis autorski]

<sup>14</sup>Jung, Karl Gustaw (1875–1961) — psychiatra szwajcarski, współtwórca *psychologii głębi*, w polemice z koncepcją psychoanalizy Freuda stworzył teorię tzw. psychologii analitycznej. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>na rąpaszku (ros. *нараспашку*) — na oścież. [przypis edytorski]



sunki, tzw. „rzeczywistość zastaną”; on wszystko, co jest, urządzi, uzgadniając przeciwności, organizuje, kituje, zalepia dziury, stwarza całości z rozstrzelonych elementów, buduje nie niszcząc, w przeciwieństwie znów do schizoida, lubiącego tworzyć swe sztuczne konstrukcje na zrównanych z ziemią miejscach, gdzie ślad żaden nie przypomina tego, co było. Oczywiście to stosuje się do pyknika „podmaniakalnego” (hipomaniaka), czynnego, pogodnego i wesołego. To jest jeden biegun, drugi — to w ostatecznym rozwinięciu tzw. typ ciężko krwistego (*schwerblütig*) cyklotymika; ciężka, periodycznie potęgująca się melancholia.

Cyklotymika charakteryzuje szeroka rozlewność jego życiowej fali, nastroje nie mają linii granicznych szarpanych, tylko przelewają się jedne w drugie potężnymi oleistymi falami ciężkiej, dalekiej burzy. Wielkie radości i wielkie smutki są jego udziałem, wielkie w stosunku do drobnoziarnistej struktury obojętnego czy nadwrażliwego leptosoma, bo co tam ostatecznie bezwzględnie wielkiego jest w człowieczych, psich czy kocich, a nawet pluskwich uczuciach — wielkie naprawdę mogą być tylko *myśli*, ogarniające wielkie filozoficzne problemy lub losy całej ludzkości — oczywiście zależy jeszcze od tego, jak wielkie może być „uczucie metafizyczne”: poczucie dziwności bytu na tle przeciwstawienia się jednostki całości świata, nieskończonej i niepojętej, tak zresztą niepojętej w istocie swej, jak i ta sama jednostkowość Istnienia Poszczególnego (IP), czyli — po prostu żywego stworu, a w dodatku stworu myślącego (w znaczeniu podanym wyżej — nominalistycznym), ale nie uczucia wzajemne istot szukających w nich, na tle pierwotnych instynktów, ratunku przed potworną, metafizyczną samotnością każdego (IP) w nieskończonym w Czasie i Przestrzeni Istnieniu.

Nieporządna szarpanina schizotymika jest u pykników zastąpiona systematycznym falowaniem, mającym czasem, szczególnie w wypadkach wyraźnie chorobowych, zupełnie regularną periodyczność. Jeśli chodzi o wszelką twórczość, jest ona — w przeciwieństwie do formalności dochodzącej czasem do beztreściowej formalistyki leptosomów — bardziej realistyczna, tak pod względem uczuciowym (na głęboko lub na wesoło) w sztukach dionizyjskich, jak realistyczno-przedmiotowa, z przywiązaniem do materii jako takiej, w sztukach apolińskich<sup>16</sup>. Brak wszelkich tzw. „nerwów”; po wylądowaniu uczuciowym — pogoda lub cicha melancholia, zależnie od biegunowego podtypu (podmaniakalnego czy depresyjnego), ale w każdym razie dalekie to wszystko od drżączkowego, kapryśnego w liniach przebiegu zdenerwowania długonosych. Forma obłądowa występuje w dwóch typach psychozy cyrkularnej, bardziej maniakalno-podnieconym i melancholijnym.

Taka byłaby ogólna charakterystyka typów zasadniczych, krańcowych, pomiędzy którymi rozciąga się cała skala typów mieszanych o różnych proporcjach dwóch (po dwa jeszcze, zależnie od biegunów) składników podstawowych. Do tych rodzajów dochodzą jeszcze typy niezupełnie określone, dysplastyczne, którymi tu zajmować się nie będziemy.

Na mocy naturalnej zasady mieszania się typów można w schemat ten wpakować zasadniczo całą ludzkość, z jej pozornie nieuporządkowaną i niedającą się w żadne normy ująć różnorodnością.

Znajomość<sup>17</sup> teorii Kretschmera<sup>18</sup>, połączona z możliwością odgadywania według dość rzucających się w oczy cech zewnętrznych całej skomplikowanej psychiki danego osobnika, a choćby jego rysów zasadniczych, może oddać w życie każdego absolutnie człowieka nieocenione usługi, usunąć wiele nieporozumień ze samym sobą i z innymi, zatłamsić w zarodku całe masy tragedii lub możliwych długotrwałych cierpień z powodu nieuzasadnionych pretensji do siebie i otoczenia. Banalnym jest powiedzenie o trudności poznania siebie — jeszcze trudniej zrozumieć, do jakiego gatunku należymy społecznie,

Pozycja społeczna

<sup>16</sup>w sztukach dionizyjskich (...) w sztukach apolińskich — terminologia Schopenhauera, którą przejął od niego w *Narodzinach tragedii* Nietzsche. [przypis autorski]

<sup>17</sup>Znajomość teorii Kretschmera (...) niedługo powinno się ukazać w przekładzie polskim — fragment ten został opublikowany jako artykuł pt. *Znaczenie codziennie-życiowe teorii Kretschmera (Fragment „Niemytych dusz”)* w dwumiesięczniku literackim „Skawa” nr 5 z maja 1939 r. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>teoria Kretschmera — podział wszystkich ludzi na dwa zasadnicze typy (mające jeszcze swoje poddziały) ogólnie, cyklotymików (cieleśnie: pykników — grubych, duchowo otwartych) i schizotymików (cieleśnie: leptosomów — chudych i w sobie zamkniętych). Do tego dołączają się jeszcze typy atletyczne o „duszy” schizotymicznej i dysplastyczne, eunuchoidy. Zasada: ścisły związek struktury psychicznej ze strukturą ciała: szpital wariatów — szkło powiększające dla obserwacji normalnej miążgi ludzkiej. [przypis dodany do pierwodruku fragmentu rozdziału: „Skawa” nr 5, maj 1939; red. WL] [przypis edytorski]

poza przesadami przypadkowego urodzenia w danej sferze. Przypadkowego — mówię — w stosunku do czasów obecnych, gdzie kultura duchowa rozlana jest w pewnej wysokości mniej więcej równomiernie. Do niedawna było to decydujące w kwestii kształtowania się charakteru i umysłu i całego uczuciowego i światopoglądowego nastawienia do rzeczywistości. Do tej pierwszej orientacji w sobie i w innych daje od razu klucz teoria Kretschmera. Weźmy parę przykładów — będą one wymyślone, więc może trochę przejawiskawione lub zbyt schematyczne, ale może lepiej przez to uzmysłowią to, o co mi chodzi.

Na przykład: 1. Matka — długonosa schizoidka, wyrafinowana i subtelna intelektualistka ma syna pyknika, podobnego do ojca, którego już zniecierliła za jego przeciwny jej, jowialny, otwarty, trochę „rubaszny” (ohydne słowo, ale trudno) charakter. Chciałaby za wszelką cenę, aby syn, który jest fizycznie wykapany papa — z lekką komponentą (składową całości) schizoidalną, pozwalającą mu trochę (ale nie bardzo) rozumieć matkę od środka — chociaż „moralnie” nie był taki jak jego twórca. Nie rozumie, biedaczka, że profil i tzw. „dusza” to jedna i ta sama rzecz, oglądana raz od „środka”, a drugi raz z „boku”, i dalejże huzia na nieszczęsnego pykniczeńkę, który w innych rękach stałby się byczym snardzem (to słowo proponuję zamiast ohydneho dość słowa „facet”; na zarzut, że zanadto do smardza podobne, odpowiadam: a facet do taceta podobny był i nic mu się nie stało). I mały, który jest realistą i komikiem, dalekim od zimnej schizoidalnej estetyki uczuć i formalnych wyrafinowań, dostaje codziennie porcję jakiejś „dressirowki”<sup>19</sup> od długonosej mamy-despotki, że mu oko systematycznie bieleje, bieleje, aż wychodzi wreszcie do szkoły i tam odnajduje siebie wśród podobnych mu typków, a dom staje się dla niego zamiast przystanią — ponurą zmorą przeszłości.

Gdyby mama owa wiedziała, że są pewne niezmiennie psychiczne typy, których żadna tresura na coś diametralnie przeciwnego nie urobi, zostawiłaby może pewną swobodę ducha nieszczęśnikowi i traktowała go raczej jako okaz do swojej kolekcji typów, i pokochałaby go w jego inności zamiast łamać mu duchowy kręgosłup w formie, do której on nie pasuje.

2. Weźmy przykład odwrotny: matka pykniczka, syn zakręcony w sobie, zalękniony przed rzeczywistością schizoid. Jeszcze gorzej się wiedzie biednemu „schyziowi” — wychowawcowi w takiej kombinacji. O ile poprzedni typek był trochę brutalnym życiowcem i mógł sobie dać radę z dysharmoniami codziennego życia i wtłaczaniem mu nieodpowiedniej maski, o tyle los młodego leptosoma jest po prostu straszny. Znane są w szerokich kołach mętów literackich stolicy piosenki niezmiernie dowcipne (pod wpływem Boya i Słonimskiego z wielkim nakładem pracy i humoru stworzone), ilustrujące dobitnie ten stan rzeczy:

Cóż to jest za, ach, ohyda —  
Ja mam syna schizoida!  
Czemuś nie jest ty pyknikiem,  
Tylko tym wymokłym smykiem?

Albo:

Co za rozpacz mię przenika,  
Ja za syna mam pyknika!  
Czemuś nie jest cienki w pasie,  
Ty ohydny mój grubasie?

Na wszelkie ataki pyknizmu reaguje bubek ów bolesnym skurczeniem się lub wyniosłym zamknięciem się w sobie, które powiększają tylko wściekłość otaczających go wrogich elementów pyknicznych. Kompleksy freudowskie na tle zahamowań rosną jak na drożdżach — młody snardz odcina się od świata powoli, ku coraz gorszemu oburzeniu rodziny (bo jeśli ojciec jest też pyknikiem, a on wdał się w „przemendlowaną”<sup>20</sup> babkę, to

<sup>19</sup>*dressirowka* (ros. *дресировка*) — szkolenie. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*przemendlowana* — Straszna to jest rzecz używać takich wyrazów i takie rzeczy opisywać terminem stworzonym z nazwiska szlachetnego duchownego, który bawił się tylko kolorowymi groszkami (ksiądz Mendel). [przypis autorski]

wszyscy i ewentualnie pykniczne rodzeństwo są przeciw niemu) — a wtedy koniec: zamę-  
czą zdechlaka ze szczętem. I może jakiś możliwy geniusz schizoidalny, filozof lub artysta  
prawdziwy, tj. formalny, zginie w jakimś urzędzie czy przy warsztacie jak niepyszny, bo  
nie jest pyknikiem: to była jego jedyna wina; chciano od niego pogody, życiowego reali-  
zmu, określonych uczuć, otwartości i dobroduszości, a ten „drań” był skryty, subtelny  
esteta, wyrafinowany tzw. arystokrata ducha, intelektualista i trochę dumny pyszałek.  
I ta ostatnia wada sprowadziła nań nienawiść klanu pospolitych pykniczeńków.

Wszystkie te pretensje niczym nieuzasadnione, które zatłamszają — przez niezrozu-  
mienie głęboko sięgających, niewykorzenialnych struktur duchowych — tyle wartości-  
owych indywidualów lub co najmniej wykoszlawiają tyle charakterów i egzystencji, mogłyby  
ustać, gdyby ludzie rozumieli się trochę lepiej wzajemnie. Strach pomyśleć, ile warto-  
ściowej energii indywidualnej i pośrednio społecznej idzie na marne wskutek tarć wśród  
rodzin, a następnie w szkołach, a dalej w swobodnym życiu.

Nie można łamać w ludziach rzeczy nieprzełamalnych; tylko wtedy może być speł-  
niony klasyczny ideał: harmonijnego rozwoju wszystkich *dodatnich* elementów osobowo-  
ści. (Oczywiście mówię o indywidualach — społecznie rzecz biorąc możliwości są wprost  
nieogarnione.) Co to są za elementy dodatnie, wszyscy mniej więcej wiedzą. Ale rzecz  
główna, aby każdy był sobą, a nie udawał kogoś, kim nie jest, nie grał całe życie czę-  
sto wstrętnej mu, narzuconej przez wychowanie i tradycję, niepasującej doń roli. Takie  
uświadomienie ogólnikowe i doraźne co do istoty danego osobnika może dać tylko teoria  
Kretschmera, wpajana w ludzi od pierwszej klasy gimnazjalnej.

Jeszcze pyknicy zawsze jakoś dadzą sobie radę i przebiją się nawet przez mury schi-  
zoidalnych fortec wokół nich na wolny świat ich własnych form życiowej twórczości, ale  
los schizoidów jest fatalny i oni też na stanowiskach wychowawczych lub władczych, po-  
cząwszy od nauczycieli szkół ludowych, prócz mnóstwa dobra najwięcej złego przynieść  
mogą; sam byłem kiedyś, we wczesnej młodości, typowym schizoidem i wiem dobrze,  
co to znaczy. Bo pyknik ma zasadniczy instynkt życia wśród ludzi, ma intuicję psycholo-  
giczną, umie stosunkowo więcej różniczkować typy wokół siebie. Ale normalny schizio-  
przekonany jest, że wszyscy są absolutnie podobni do niego i że innych typów w ogóle  
nie ma; trwa ciągła introjekcja własnej psychiki w otaczających go nieszczęśników, którzy  
cierpią męki, będąc deformowanymi na żywo i posądzanymi o rzeczy, o których im się  
nigdy nie śniło. Jeszcze jeśli taki człowiek zna przynajmniej choć trochę Freuda, może go  
to trochę złagodzić w jego niezrozumieniu drugich i despotyzmie, ale taka „czysta”, tj.  
nieuświadomiona zupełnie „niemyta dusza”, tj. snardz (ewentualnie snardzka, snardzet-  
ka, snardzica) niesfreudyzowany i nieskretschmeryzowany, przy dzisiejszej komplikacji  
życia i psychiki ludzkiej, to rzecz wprost i wręcz potworna.

Przypomnijmy sobie wszystkie dręczenia uczniów i w ogóle podwładnych przez pro-  
fesorów i przełożonych. Oczywiście nie zwracam się tu do uświadomionych złoczyńców,  
którzy chcą być świniami, a tych są legiony całe. Chodzi mi tu o tych, którzy chcą być  
dobrzy w najwyższym, a nie flakowatym i rozmięczonym znaczeniu tego słowa, a nie  
mogą, bo: 1. nie znają zupełnie siebie i nie widzą, kim(i) są oni sami i otaczający ich lu-  
dzie, a nade wszystko nie wiedzą, kim(i) być mogą, a kim(i), choćby pękli na czworo, nie  
mogą; 2. nie znają swych kompleksów freudowskich i myśląc, że postępują swobodnie  
i według programu, staczają się po niewidocznych pochyłościach w zupełnie nieoczeki-  
wane sytuacje, z których wygrzebać się potem bez pomocy innych nie mogą — ale o tym  
później.

Wróćmy na razie do kwestii typów konstytucjonalnych i z nieznajomości tychże wy-  
nikających nieporozumień. Jeśli takie rzeczy zachodzą w stosunkach między rodzicami  
i dziećmi, to cóż za zwały potwornych kolizji oczekiwać nas będą przy rozpatrywaniu sto-  
sunków erotycznych, gdzie uczucia są daleko gwałtowniejsze, gdzie poczucie własności  
gra o tyle większą jeszcze rolę i bezwzględnie daleko przemawia z samej głębi ludzko-by-  
dłych bebeczów niż między dwoma pokoleniami: między wytwórcami i ich płodami.  
Tam stwarzają się istne piekła (*Inferno Domestico*), przykryte często takimi festonami, gir-  
landami, wisiorami, lambrekinami, frankami i parawanami kłamstw, że powierzchowny  
obserwator może być zupełnie w błąd wprowadzony i uważać takie piekło za gniazdko  
szczęścia do pozazdrosczenia lub też zupełnie mylić się co do ról i gnębieli brać za po-  
gnębionych i odwrotnie. Przy zrozumieniu pewnym nieodwołalności charakterów, takiej

Dziecko, Rodzina, Szkoła,  
Teatr, Fałsz, Krzywda

Szkoła, Dusza, Wiedza

Erotyzm

samej prawie jak nieodwołalność kształtów nosów i kolorów ocz, całe masy nieporozumień odpadłyby od razu same przez się, oczywiście przy założeniu dobrej woli ze stron obu, której ilość jednak w miarę uspołeczniania musi wzrastać z każdą chwilą; jest pewna entropia<sup>21</sup> zła na świecie na mocy nieodwracalności zjawisk społecznych, która jak byk jasno wychodzi przy powierzchownym nawet wglądnięciu w historię. Ale o tym później, a propos kompleksu niższości. Sądzę, że ta krótka wzmianka zachęci do przestudiowania dzieła głównego (główniaka) Kretschmera, które niedługo powinno się ukazać w przekładzie polskim<sup>22</sup>.

Zło

## OGÓLNE ZASADY TEORII FREUDA

Przechodzę teraz do krótkiego streszczenia teorii Freuda, którą znam właściwie jedynie ze wspomnianej wyżej praktyki, bo nawet gdy piszę te słowa (!), nie skończyłem dotąd *Wstępu do psychoanalizy*, który nie jest niestety książką dobrą dla propagandy wspaniałej idei zasadniczej jej autora: za wiele jest tam od początku nudy i rozwlekłości w opisie nieciekawych stosunkowo do innych działów czynności pomyłkowych. Ale przebrnąć przez to warto; a zdarzało mi się widzieć powierzchowniejsze typy odpadające od tej książki zaraz po pierwszych nieomal chwytach<sup>23</sup>. Zaznaczam, że nie jestem wcale uczonym freudystą i że od owego kursu praktycznego upłynęły już dwadzieścia cztery lata. Dlatego proszę (szczególniej zawodowych psychoanalityków) o wybaczenie mi usterek i niedokładności w przedstawieniu tezy i metody Freuda i o ich sprostowanie, co będzie tylko korzystnym dla czytelników.

A więc:

### A. Pojęcie kompleksu (węzłowiska)

Zasadniczą cechą natury ludzkiej (a pewno i bydlęcej) jest to, że każdy stwór żywy stara się jak najprędzej zapomnieć o rzeczach przykrych, które przeżył, i jak najdłużej babrać się w przyjemnych — i nie ma co się nam dziwić. Kwestia jest tylko w tym, że my, ludzie, nie przebieramy czasem w środkach, jeśli chodzi o budowanie płyt izolacyjnych między nami a przykrościami życia wewnętrznego i zewnętrznego; budujemy je z czego popadło, implikując czasem tym gorsze świństwo niż to, od którego pragnęliśmy się odgradzić. Znałem człowieka, który gdy się upił, oznajmiał nazajutrz sobie i innym „niebyłość” tego faktu: wmawiał w siebie, że to urojenie, i to pomagało mu znakomicie do przezwyciężenia „katzenjammeru” (to jest skandal, że moje tak świetne słowo „głątwa” nie przyjęło się zupełnie<sup>24</sup>) — tego moralnego, bo z fizycznym można sobie dać radę radykalnie tylko przez jedną do dwóch dużych czystych nazajutrz. Ale to tzw. „zakłajstrowanie” z wierzchu mści się czasem straszliwie. Gdyby osobnik ów przeżył całą okropność poalkoholowej głątwki, to by mu z pewnością znacznie utrudniło następny występ i otworzyło drogę do poprawy. „Niebyłość” zmniejszała zaś tak cierpienia z powodu wyrzutów, że gdy przyszła następna, a do tego stała możliwość nowej ucieczki w dal przed „bólom życia<sup>25</sup>”, delikwent na pewno staczał się natychmiast po infernalnej stoczni upadków ludzkich na samo dno małego czy nawet wielkiego popoju. Oczywiście to są rzeczy, którymi możemy kierować sami. Ale są nieszczęścia, które walą się nam na łby ze stosunkowo małą pomocą wad naszych charakterów; chociaż, gdyby tak uważnie w przeszłości się pogrzebać, może by się znalazło daleko więcej wpływu tego czynnika, niż to się nam w przebiegu codziennego życia wydaje.

Pijaństwo

<sup>21</sup>entropia — tu: chaos, bezład. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>dzieła głównego (...) Kretschmera — Ernst Kretschmer, *Körperbau und Charakter*, Springer Verlag, Berlin 1920. Po polsku ukazała się w przekładzie P. Hulki-Laskowskiego książka *Ludzie genialni*. [przypis autorski]

<sup>23</sup>zdarzało mi się widzieć powierzchowniejsze typy odpadające od tej książki [„Wstępu do psychoanalizy” Freuda] zaraz po pierwszych nieomal chwytach — obecnie ukazała się w „Księgarni Naszej”, Świętokrzyska 18, w Warszawie wspaniała książka Geraldiny Coster *Psychoanaliza*, w doskonałym tłumaczeniu Górskiej. Polecam ją absolutnie każdemu, jako niezwykle środek rozpraszania mroków duchowych międzyludzkich i osobistych. [przypis autorski]

<sup>24</sup>to jest skandal, że moje tak świetne słowo „głątwa” nie przyjęło się zupełnie — czekam już bardzo mojej śmierci, aby pewne rzeczy przeze mnie propagowane: absolutne niepalenie, dozwolone tylko dla programowych samobójców powolnych, i niepicie nałogowe, zajmowanie się laików filozofią, uczenie się po niemiecku, zapoznanie się z Kretschmerem i Freudem — weszły raz w użycie. Bez tego zdaje się nie obejdzie — trzeba się będzie poświęcić. [przypis autorski]

<sup>25</sup>ból życia — por. niem. *Weltschmerz*. [przypis edytorski]

Zupełnie słuszne w szerokim zakresie stanowisko jak najprędzszego zatłamszania rzeczy przykrych, stanowisko, które mamy wrodzone tak jak zdolność chodzenia i jedzenia, daje czasem zupełnie negatywne rezultaty. Nie dawało z pewnością takich skutków w zbiorowiskach jaszczurów jurajskich, u których rozpoczął się ten rozwój kory mózgowej, który u nas doszedł do tak nieprawdopodobnych rozmiarów; człowiek stworzył kulturę, która przerastała jego siły, a ponieważ rozwoju jej cofnąć (przynajmniej na razie) nie może, musi zginąć pod jej ciężarem<sup>26</sup>. Człowiek nie był przygotowany fizycznie do tego, co z nim zrobił jego mózg; żaden sport i programowe ogłupianie się na małą skalę przez dancing, tenże sport, kino, radio i karty nie pomogą tu nic, bo wielka machina pędzi dalej coraz szybciej: tu trzeba by cofnąć kulturę na wielką skalę; jest to możliwe przy daleko większym stopniu uspołecznienia, ku któremu zresztą zdążamy.

Kondycja ludzka, Obraz świata

Rosja to „mały eksperyment”<sup>27</sup>, ale z którego trzeba za to wyciągnąć odpowiednie wnioski. Tego jednak nikt nie robi, podlewając tylko wyszukiwanymi życiodajnymi sosami gnijącego nowotwora kapitalizmu, który zatruwa systematycznie nas swym jadem. Ujęcie racjonalne potwora tego przez faszyzm można już dziś uważać za chybione. Raczej faszyzm, jak to było do przewidzenia, stał się powolnym sługą konającego monstrum.

Rosja

Otóż jak wiele naturalnych zupełnie w zbiorowiskach jaszczurów, a nawet w luźnych zgrupowaniach małp, a nawet jeszcze w totemicznych komunistycznych klanach korzystnych instynktów i właściwości człowieka przerodziło się we wrogię potęgi w strukturze np. obecnej, tak samo i metoda „zatłamszania cierpień”, które byłoby sobie trwało bez złych skutków dawniej, przy stosunkach aktualnie panujących, tj. przy takim skomplikowaniu psychiki i warunków zewnętrznych, przy takim przyspieszeniu życia i takich kolosalnych środkach rozprzegania rozrosłych niepomiernie systemów nerwowych biednych ciałek, stworzonych do innego istnienia i niemogących się do nowotworowego nieomal rozwoju mózgu i jego tworów przystosować, metoda ta — powiadam — stała się za mało intensywna. Oto dlatego dawniej wystarczały inne środki, porady księży, spowiedź i „intuicja”, a dziś jest potrzebna psychoanaliza Freuda i typologia Kretschmera. Tym odpowiadam ludziom, którzy, jak mówią Rosjanie, „duraka walajut<sup>28</sup>”, pytając właśnie z głupia frantowato: „A jakże było dotąd? Nikt tego nie znał i było dobrze. Czy to komu potrzebne, to babranie się w sobie? Lepiej zająć się czymś pożytecznym” — mówią i rzną potem w brydża lub kręcą radio albo prowadzą niezmiernie głębokie rozmowy z damami na dancinгах, zatruci nikotyną i alkoholem, popełniając tysiące drobnych podświadomych świństw, nic o tym nawet nie wiedząc. Takich są legiony całe. Co dawniej wystarczało, nie wystarcza dziś. I gdyby wszyscy zawsze tak myśleli, jak ci panowie, to dotąd bylibyśmy stadem bydelka, od jakiego mało różnił się totemiczny klan, słusznie bydlę jakieś (tylko odmienne zupełnie od swoich przedstawicieli) czczący; nie mielibyśmy „cudów kultury”, z których jednym z największych jest historia filozofii — jako fakt, a nie nauka sama w sobie — i, musimy to przyznać, nie mielibyśmy potworności tejsze kultury. Ale w sumie warto było zapłacić za to wszystko tysiąc razy jeszcze większą potwornością: są to bowiem rzeczy wprost dosłownie *bezcenne*.

Dziedzictwo, Obraz świata

Tylko system wartościowania dzisiejszego człowieka jest jeszcze mylny, a winą tego jest ustrój społeczny, który na skutek zlogów psychicznych w mózgach warstw rządzących nie może zbyt długo minąć fazy pośredniej (i przez długotrwałość swą niepotrzebną stającą się kłamiwą, fazy mdło-demokratyczno-kapitalistyczno-lże-nacjonalistycznej) i zahamowuje możliwy wspaniały rozwój nowej ludzkości. Ale w tej chwili nie o to nam

Władza, Polityka, Kondycja ludzka

<sup>26</sup>człowiek stworzył kulturę, która przerastała jego siły, a ponieważ rozwoju jej cofnąć (przynajmniej na razie) nie może, musi zginąć pod jej ciężarem — optymizm niczym nieusprawiedliwiony (po dość głębokim pesymizmie poprzednim) Floriana Znanieckiego, oparty o zbyt prostą już (doprawdy) ideologię, wydaje mi się zupełnie beznadziejny. [przypis autorski]

<sup>27</sup>Rosja to „mały eksperyment” — wszelkie wnioski wyprowadzane z potworności i wahań, które Rosja obecnie przechodzi, są zupełnie przedwczesne. „Kurierek” co miesiąc ogłasza, że tam już wszystko się skończyło, i aferzyści wszystkich odcieni zacierają ręce. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że dzieje się to w izolowanym systemie, wśród wrogiej reszty świata. Zaznaczam, że nie mówię tego jako „bolszewik”, bo jestem przeciwnikiem skoszarowania i falansteryzmu, przy pełnym uznaniu dla *prawdziwej*, nieprowadzącej do wyzysku jednych przez drugich demokracji, i mam wrażenie, że domek z ogródkiem, wycieczki po całym świecie i spopularyzowana wiedza są jedynym rozwiązaniem szczęśliwym wolnych chwil przyszłego człowieka; własne ciało, własna kobieta i własna szcztoka do zębów — tego nikt nigdy się nie wyrzeknie. Własność pewna być musi — chodzi o to, aby nie było koncentracji dóbr i płynącego z niej niewolnictwa. [przypis autorski]

<sup>28</sup>duraka walajut — wałą głupa; udają głupiego. [przypis edytorski]

chodzi: wszystko jedno na razie, dlaczego człowiek dzisiejszy często bywa duchowo (częściej niż dawniej) chory, a dawne środki lecznicze okazują się często niewystarczające; ponieważ zaś nie zawsze można człowiekowi temu dać odpowiednie warunki, np. wyjazd do Egiptu lub na połowanko do Sudanu czy na tajfuny chińskie i pierwszorzędne dziewczynki anamickie, dla rozwiązania kompleksów nienasyceń metafizyczno-erotycznego, czyli w ogóle dać mu dość zajmującą fabułę dnia codziennego, więc trzeba na to szukać innych sposobów. Jednym z nich jest psychoanaliza. Z Kretschmera dowiadujemy się ogólnikowo, do jakiej szufladki możemy siebie włożyć i za jakim numerkiem odnaleźć; z Freuda czerpiemy głębszą wiedzę, kim jesteśmy dynamicznie, w samym przebiegu zjawisk: jakie są nasze wewnętrzne niebezpieczeństwa i zasadzki, możliwości schwań, zakłamań i upadków. Dostajemy z tego czystą wiedzę o nas samych i drugich i stuprocentowo wzmożoną możność świadomego, rozumnego kierowania naszym życiem niż przed „wymyciem duszy”, gdy byliśmy przeważnie tylko igraszkami bydlęcych poruszeń właśnie w kwestiach życiowo najważniejszych, stanowiących podstawę do wszystkiego, jak smar podkładowy do nart jest podstawą do mazania ich subtelniejszymi, odpowiadającymi zmiennym warunkom, ingrediencjami. Jedną z tych potęg najważniejszych jest erotyzm.

Nie rozumiejący nic psychoanalizy laicy pomawiają Freuda o erotomanii psychologiczną i sprowadzanie wszystkiego do erotyzmu, a nawet po prostu o babraniu się w nieprzyzwoitościach jako takich, o jakąś psychokoprolalię czy coś w tym rodzaju. Twierdzą, że jest to nieprawda. Akurat tyle poświęca Freud uwagi erotyzmowi, ile on na to zasługuje. A bądź co bądź jest to jedna z istotności sławnej i wcale dotąd nie zdyskredytowanej trójcy podstawowych potęg życia: głodu, strachu i miłości, tej ostatniej pojętej na razie bez żadnych uwzniośleń, jako prosty popęd do rozmnażania się i zachowania gatunku, w którym indywidua są bezwolnymi ofiarami jakiejś przerastającej je, dla nie znanych nam dalszych celów wytworzonej potęgi życia, zazębionej w świat materii martwej z mocą wprost niesamowitą. O ile nie będziemy patrzeć na tzw. „materię żywą” (koniecznie zindywidualizowaną) jako na pewne połączenia chemiczne — tak nietrwale, „wybuchowe” wprost związki, a tak odgraniczające solidnie żywe stwory od ich podłoża, połączenia powstałe przypadkowo ze zderzeń i połączeń atomów, według wszystko tak upraszczającej sztucznie tzw. „billiard ball theory of matter”, czyli kulobillardowej teorii materii, w najszerszym znaczeniu aż do elektronów i pól włącznie — to kwestia przedstawia się wysoce tajemniczo: życie nie da się sprowadzić do fizyki, biorąc rzecz czysto choćby biologicznie, nawet z wykluczeniem wszelkiej psychologii. Strach jest wielki pan i głód też władcą jest pierwszorzędnym, ale erotyzm jest też potęgą dość wścieklą.

Na darmo mówił Karol Szymanowski swoim niezapomnianym subtelnym głosikiem metafizycznego władcy krainy jakichś hiperefobów nie z tego świata: „Wiesz, dla mnie erotyzm to jest coś tak piekielnego, że wprost, wiesz, to jest oburzające...”

Otóż Freud wcale nie babrze się w erotycznych, delikatnie mówiąc, niestosownościach (świństwach), tylko odwrotnie: stara się uświadomić laików w kwestii podświadomości co do ich podziemno-płciowych nurtów, aby mogli się oni wyzwolić od ich ciemnego, nieopanowanego działania, a uwolniwszy się, zdobytą w ten sposób wolną energię zużytkować na tzw. „cele wyższe”; chodzi mu o stworzenie tego właśnie świadomego transformatora, bo przecież podświadomie działa się tak zawsze: z wysublimowanych (a nawet zahamowanych) erotycznych uczuć powstawała cała najistotniejsza twórczość ludzka. I nie trzeba myśleć, że to jest dla niej coś ubliżającego, to szukanie źródeł jej w tej sferze. Jest faktem empirycznym i historycznym, że tam te źródła tkwią. Chodziło tylko o podanie mechanizmu tych transformacji, do niedawna tajemniczych i ciemnych. Ten tzw. panerotyzm Freuda należy rozumieć tak: u pierwotnego stworzenia świadomość to („jako żywo”) tylko świadomość ciała, z bardzo krótkim i niewyraźnym skrawkiem wspomnień najbliższych cielesnych „przeżyć”. U komórek najniższych rozmnażanie następuje w formie ich dzielenia się. Całe ciało komórki przyjmuje w tym udział, zaczynając od jądra, a kończąc na obwodzie. To musiało być połączone z bardzo gwałtownymi dodatnimi uczuciami cielesnymi — inaczej może komórka nie „chciałaby się” dzielić wcale, tak jak my nie chcielibyśmy może poddać się pewnym procederom. W jaki sposób następuje przejście do dwupłciowców — nie wiem. Faktem jest, że komórki zaczęły zbliżać się do siebie (podobnie, jak to robi np. plemnik z jajem) i łączyć się zamiast się dzielić, aby wydać nowe

Erotyzm, Kondycja ludzka

Kondycja ludzka, Strach,  
Głód, Erotyzm

Erotyzm

Erotyzm, Sztuka, Nauka

indywiduum czy ich wielość<sup>29</sup>. To łączenie się cielesne komórek w większe jednostki jest niezmiernie istotne — z wielkiego stopnia złączenia i jednocześnie zróżniczkowania powstaje wielośćowy organizm, mający jednak, na skutek dokładnego zbitcia się komórek powierzchniami przy narastaniu, jako trwanie samo dla siebie, jedną „psychikę”, czyli świadomość. To jest ten podstawowy, że tak powiem, „cud istnienia codzienny”, którym jesteśmy my i wszystkie żywe stworzenia. I możemy pytać materialistów: jakże to z martwych „kulek”, pojętych zresztą jak najszerzej, aż do elektronów i pól zderzających się czy działających na siebie przypadkowo, powstać mógł żywy organizm? Bo to musi być wytłumaczone albo materializm musi pozostać w pewnym sensie bzdurą. I tak jest na pewno, bo wiele zjawisk biologicznych w żadnym materialistycznym schemacie przestrzennym wyjaśnionych być nie może. Ale nie możemy pytać, jakże to z wielu komórek, które są przecież organizmami mającymi jakąś rudymenarną świadomość, powstać może wielokomórkowy organizm mający wspólne trwanie ich wszystkich, jedną świadomość, nieobejmującą w dodatku wszystkich tamtych trwał poszczególnie-komórkowych, bo to jest właśnie faktem pierwotnym, jedynym realnym naprawdę faktem, nieskończenie realniejszym od wszystkich faktów fizycznych, z którego mamy jakoś [sobie] zdać sprawę, o ile w ogóle to jest możliwe w związku z ogólnym poglądem na całość Istnienia. Bo możliwe jest, że właśnie to jest najpierwotniejszy fakt prowadzący do monadyzmu, fakt, który leży u podstawy całego — i martwego, i żywego — Istnienia. Monadyzm biologiczny jest to pogląd, w którym — nie mogąc sprowadzić materii żywej zindywidualizowanej do martwej — przyjmujemy, że wszystko się składa z jednostek żywych, z których na mocy statystycznego zsumowania działań możemy ukonstytuować materię martwą. Wracając do poprzedniego: każdy więc taki stwór musi się chronić (zachowywać), unikać niebezpieczeństw, żreć, tj. spełniać ciągle drugi cud żywego bytowania: przemiany materii martwej na żywą, i spełniać też w jakiś sposób pęd rozrodczy. Ten pęd to jest jakby załóżek tzw. u nas „ducha”, czyli tych treści, które nie są aktualnym poczuciem ciała i jego wspomnień, to jest treści wyobrażeniowych, a dalej, u nas, myśli (skonstruowanych w pewien sposób w jakąś całość „celową”, a nie będących pełnym chaosem<sup>30</sup>). Chaos jest czymś nieomal dla nas niewyobrażalnym, na mocy zasady ograniczoności i powtarzalności, tzn. nic nie może być aktualnie nieskończonym i absolutnie nowym, musi być w organizmie widzianym i „z boku”, i „od środka”, tzn. [jest] w jego przeżyciach pewien porządek: nie doskonały, nie taki, jak, złudny zresztą, porządek absolutny na mocy zasady Wielkich Liczb, czyli statystyki, panujący w otaczającej nas materii martwej, ale jakiś w każdym razie, a mianowicie porządek biologiczny i psychologiczny. Chodzi mi o to, że jeśli odrzucimy na chwilę strach i głód, jeden jako niemający na razie w danej chwili przyczyny, drugi jako na razie zaspokojony, to zostaje nam erotyzm jako stały, latentny<sup>31</sup>, potencjalny, utajony w uczuciach cielesnych wewnętrznych podkład wszystkich „przeżyć” najprymitywniejszego nawet żywego stworzenia. Tylko bezpośrednio po zaspokojeniu na bardzo krótki czas ginie to uczucie pierwotne w bardziej zdecydowanej formie; poza tym uczucia te są w nas stale jakby zaczajone, jako pewien potencjał energetyczny stanowiący integralną część naszej osobowości cielesnej, którą właśnie w naszych przeżyciach sami dla siebie jesteśmy. Proszę nie myśleć, że wmawiam ogólną erotomanie wszystkim wymoczkom świata. Ale wydaje mi się, że stan tendencji rozmnożeniowej jest w różnych wariantach najbardziej stałym tłem, a nawet bardzo często dominantą całości samoczucia się każdego osobnika. Dlatego to Freud, według mnie, ma głęboką rację, że w erotyzmie właśnie szuka załóżka i motoru prawie wszystkich „wyższych” przeżyć indywiduum, nawet tak skomplikowanego, jak względnie inteligentny człowiek współczesny.

Cud, Obraz świata

Ciało, Erotyzm, Siła,  
Kondycja ludzka

<sup>29</sup>komórki zaczęły zbliżać się do siebie (...) i łączyć się zamiast się dzielić, aby wydać nowe indywiduum czy ich wielość — uważam, że bez założenia łączenia się bardzo prymitywnych — prymitywniejszych od naszych jednokomórkowców — stworzeń nie można sobie wyobrazić powstawania wyższych osobników z niższych. Tym pojęciem uzupełnione musi być pojęcie ewolucji, o ile nie ma być ona zupełną tajemnicą. [przypis autorski]

<sup>30</sup>treści, które nie są aktualnym poczuciem ciała i jego wspomnień, to jest treści wyobrażeniowych, a dalej, u nas, myśli — jeśli mówię „myśl”, rozumiem ją według teorii nominalistycznej pojęć, nie implikującej specjalnej świadomości dla myślenia, sprowadzanego w istocie do następstw wyobrażeń, skojarzonych czasem z wyobrażeniami pojęciowych znaków lub przez te ostatnie wyłącznie reprezentowanych. Albo pojęcie celowości, znów wzięte z właściwości naszych czynów i wytworów świadomych, uważam w biologii za skrót, który powinien być zastąpiony systemem pojęć określających zasadnicze właściwości stworów żywych w ogóle. [przypis autorski]

<sup>31</sup>latentny — utajony, ukryty, bezobjawowy. [przypis edytorski]

Na tym bowiem podłożu wyrastają wszystkie twory ducha jako transformacje i sublimacje pierwotnego samocucia się indywiduum i jego chęci wyższego potwierdzenia, poza tym prostym samocuciem się właśnie, samego faktu swego istnienia.

Otóż to jest punkt istotny: potwierdzenie istnienia; nie dość jest istnieć po prostu, nierefleksyjnie, biernie, negatywnie, trzeba jeszcze istnienie swe zmanifestować wyraźniej, na tle możliwej śmierci i otaczającej nicości, która stanowi jakby tło negatywne wszystkich istnień, jak przestrzeń międzygwiazdna stanowi rodzaj podkładu dla istnienia gwiazd, planet, komet i naszych własnych ciał. Trzeba to istnienie w pewien sposób zobiektywizować, potwierdzić i utwierdzić niejako w wieczności, w wieczności subiektywnej lub co najwyżej gatunkowej, skończonej, złudnej, „psychologicznej”, względnej. Do tego służy instynkt rozrodczy, którego działanie sięga poza byt indywidualny, poza efemeryczne „ja” poszczególnego stworu i w którym właśnie następuje transcendencja ograniczonego osobnika (Istnienia Poszczególnego) poza jego nieubłagane ograniczone trwanie. Ta chęć przetrwania za bądź jaką cenę wyraża się we wszystkich złudnych teoriach nieśmiertelności tzw. „duszy”, której jako „substancji” bez ciała stanowiącego z nią, tj. ściślej — z osobowością trwaniową, jedność, nikt nigdy nie widział i nie zobaczy. Teorie te na tle zasadniczego prawa istnienia, zasady ograniczoności, za cenę której tylko istniejemy, musimy uznać za nieistotne szukanie sposobu przewyciężenia metafizycznej potworności istnienia, realnie nigdy niepokonanej. Dlatego to wszelkie czyny nasze, w których staramy się przez twórczość najogólniej pojętą — od życia do abstrakcji — przetrwać złudny most między ginącą beznadziejnie osobowością a wiecznością, musimy uznać za pochodne od instynktu erotycznego, za jego pewne transformacje, bo właśnie on jest tym pierwotnym przewyciężeniem indywidualnego przemijania, które jest udziałem najniższego nawet stworu<sup>32</sup>. Dlatego wydaje mi się słusznym, że Freud wszelką twórczość uważa za przekształcenie i uwznioślenie instynktu rozrodczego, w którym też pierwotnie zwraca się jeden stwór indywidualny ku drugiemu, szukając w transcendencji pozaosobowej uczuć ratunku przed absolutną samotnością zamkniętych beznadziejnie w swych nieprzepuszczalnych osobowościach żywych istot<sup>33</sup>.

Mylnie twierdzą niektórzy, chyba w ogóle nierozumiejący mowy ludzkiej lub programowo Freuda zrozumieć niechcący, że celem jego jest zdeprecjonowanie naszych uczuć i wytarzanie nas w jakichś wysublimowanych nieczystościach, w „święństwach i kale”, jak się pięknie wyrażają. Właśnie na odwrót: jak to postaram się dalej wykazać, Freud przez zanalizowanie mechanizmu kompleksowych zahamowań chce nas z tego bycia igraszkami naszych kompleksów wyzwolić.

Ale o tym szczegółowo później.

Oczywiście błędem jest hipostaza „stanu podświadomego” do wyżyn jakiejś drugiej odrębnej osobowości, która — obdarzona jakby wyższym od normalnego rozumem — kieruje tym „ja” codziennym naszym świadomym, jako jakimś niższym tworem. Nie można rozdawać naszej osobowości i czynić z niej pola walki dwóch jakby odrębnych potęg. Pojęcia takie jak „stan podświadomy” np. muszą być używane z całą świadomością ich skrótowości psychologicznej, w której hipostazujemy pewne kompleksy uczuć prostych, aby móc je łatwiej opisać.

Po tym usprawiedliwieniu rzekomego panerotyzmu Freuda przejdźmy do określenia freudowskiego pojęcia „kompleksu”, czyli, jak będę dalej często mówił, „węzłowiska”. Skonstatowaliśmy przedtem, że każdy stwór żywy dąży przede wszystkim do zapomnienia jak najprędszego doznanych przykrości. Chodzi o to, aby zbadać, jakie są wtórne nieprzyjemności tego, zupełnie w prymitywnej psychologii usprawiedliwionego, proce-

<sup>32</sup>pochodne od instynktu erotycznego (...), bo właśnie on jest tym pierwotnym przewyciężeniem indywidualnego przemijania, które jest udziałem najniższego nawet stworu — w mojej monadologii nie ma potrzeby przyjmowania nieskończonej skali w hierarchii monad — od „*monades dormantes*” w granicy nieomal cząsteczek martwych (największy błąd Leibniza obok harmonii przedustanowionej) aż do Boga. W nieskończonej skali małości nie potrzebujemy zniżać się tak dalece, aby z miriadów monad względnie doskonałych ukonstytuować tzw. „materię martwą”. [przypis autorski]

<sup>33</sup>instynktu rozrodczego, w którym też pierwotnie zwraca się jeden stwór indywidualny ku drugiemu, szukając w transcendencji pozaosobowej uczuć ratunku przed absolutną samotnością — drugi błąd Leibniza, że własności trwania samego dla siebie rozszerzył na rozciągłości i dlatego, mimo zapewnień, nie mógł z monad ukonstytuować materii martwej i musiał przyjąć „bezokienne” monady, przecząc tym najoczywistszej oczywistości. [przypis autorski]



deru. Otóż zatłamszone świadomie przykre zdarzenie, zdawałoby się zupełnie wytrzebione z naszej świadomości, nie ginie w niej zupełnie, nie rozwiewa się w kompletną nicłość, jak by się to z introspekcji (wewnętrznego obserwowania danego osobnika przez niego samego) zdawać mogło. Zdarzenie to wiedzie dalej żywot utajony, podświadomy, tym intensywniejszy, im samo było silniejsze i im silniej zatłamszone. Pojęcia podświadomości używam w znaczeniu Hansa Corneliusa<sup>34</sup>: „*unbemerker Hintergrund*” — „niezauważone tło”. Zaraz to pokrótce wyjaśnię: patrzymy na bardzo absorbujący nas obraz w kinie, podczas tego „przygrywa” nam (jak to mówią) muzyczka. Jesteśmy tak przejęci losami bohaterów, że nie słyszymy absolutnie trwającej cały czas muzyki, a jednak w jakiś sposób jest ona w naszej świadomości: wyrażamy ten stan rzeczy pojęciem „podświadomego”. Ale co właściwie oznacza ten w potocznej mowie mętny, a w filozofii nadużyty termin? Według mnie jeden Hans Cornelius podał istotną definicję i istotny opis odpowiadającego mu zjawiska: *podświadome istnieje w postaci działania swego na treść świadomą* — tak istnieje w pewien sposób dla nas i cała nasza przeszłość, nawet w tych jej częściach, których zaktualizować we wspomnieniu nie potrafimy, tak jak i stan ogólny całego naszego ciała, którego części i ich stanów poszczególnych możemy sobie w danej chwili, a nawet nigdy (np. stan przysadki mózgowej lub lepiej jeszcze części mózgu) jako takich nie uświadamiać. Istnieje podświadomość w postaci szczególnego „zabarwienia”, które nadaje ona treściom aktualnie przesuwanym się przez centr naszej świadomości. Można to pokazać na przykładzie zabarwienia dosłownego, a nie w przenośni. Patrząc na białą płamę na zielonym tle. Uwaga moja jest tak skupiona na owej plamie, na której np. coś ma się za chwilę ukazać, że nie widzę zupełnie jako takiej otaczającej ją zieleni. A jednak plama owa nie jest właśnie dla mnie w tej chwili biała: wskutek działania zielonego tła, na zasadzie kontrastu, czyli tu specjalnie na zasadzie tzw. barw dopełniających<sup>35</sup>, widzę ową „obiektywnie” (tzn. jaką byłaby na czarnym np. tle) białą płamę jako z lekka żaróżowioną wskutek zielonego sąsiedztwa, mimo że *jako takiego* tła, które to zjawisko wywołuje, nie dostrzegam. Przykład ten może być rozszerzony, z odpowiednimi dla danej sfery modyfikacjami, na wszystkie rodzaje naszej odczuwalności. Znany jest (np. choćby z *Pana Tadeusza*) wypadek budzących się wskutek zatrzymania młyna młynarzy: dla nich moment ciszy na tle odpowiedniego hałasu miał charakter budzącego stuku; dowód, jak dalece tło zupełnie pozornie nieistniejące może zmieniać rysujące się na nim przeżycia. W ten właśnie sposób istnieją „treści podświadome” w znaczeniu freudowskim: teorię Corneliusa można uważać za ogólny fundament pod teorię Freuda, w obrębie której podświadomość nie jest tak ściśle zdefiniowana.

Po tej dygresji koniecznej<sup>36</sup> wracamy do kwestii węzłowisk, czyli kompleksów. Znany fakt, dawno jeszcze przed powstaniem psychoanalizy rozważany, jest tzw. „nurtowanie” w nas utajonych treści. Dajmy na to: ktoś nam, jak się wyrażał Sienkiewicz, „szpetnie przymówił”; my zamiast wydobyć szpadę z pochwy i pchnąć gościa w brzuch, jak to czynił z zasady natychmiast Bogusław Radziwiłł, przemilczeliśmy jakoś tę historię z powodu chwilowego — powiedzmy — braku dowcipnej odpowiedzi (tzw. „*esprit d'escalier*”, czyli „wyskrzyk” czy „duchotrysk” schodowy) lub pewnej małostkowości samej sprawy, z której robienie wielkiej afery mogłoby nas ewentualnie ośmieszyć. Niby nic, a wstyd. Coś nas gnębi i nurtuje. Chwilami ów incydent staje nam żywo w wyobraźni: tysiące dowcipów skrzy się jak stado piór śniegowych w słońcu, dochodzi w myśli aż do mordobicia — nic z tego, chwila przeszła: „skoczyłem”, jak mawiał Lord Jim Conrada. Potem obraz blednie, nie widzimy go jako takiego, jak tego zielonego tła w przykładzie z białą, a właściwie różową plamą; ale coś nas gnębi jak zgaga: nie smakuje nam np. tak

<sup>34</sup>Cornelius, Hans, właśc. *Johannes Wilhelm Cornelius* (1863–1947) — niem. filozof neokantysta, profesor uniwersytetu we Frankfurcie nad Menem (od 1928 r. emerytowany); do jego studentów należeli Max Horkheimer i Theodor Adorno; Witkacy korespondował z Cornelusem. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>plama owa nie jest właśnie dla mnie w tej chwili biała: wskutek działania zielonego tła, na zasadzie kontrastu, czyli tu specjalnie na zasadzie tzw. barw dopełniających — odpowiedni odcień czerwony ma swój zielony (i na odwrót), który go potęguje najbardziej, podnosi białą barwę w sąsiedztwie do lekkiego zabarwienia właśnie „dopełniającego”, a po wpatrywaniu się pozostawia odpowiednio zabarwiony powidok (obraz wtórny). To samo dotyczy par: żółtego i niebieskiego i pomarańcza i fioletu. [przypis autorski]

<sup>36</sup>Po tej dygresji koniecznej — widzę, że książka ta jednak składać się będzie z samych dygresji; będzie po prostu jedną wielką dygresją w stosunku do zasadniczych zainteresowań autora, zrobioną — że tak powiem trochę górnolotnie — „dla drugich”. [przypis autorski]

światna zwykle galaretką z nówek i duże, świetnie wypielegnowane i nalane piwo, a nawet czule spojrzenia jakiejś damy, które w innych warunkach przyjęlibyśmy zupełnie inaczej. (Umyślnie daję przykłady trochę ohydnowo-wulgarne, aby być zrozumiałym absolutnie przez wszystkich.) To się nazywa, że nas coś nurtuje, podminowuje, nie daje używać życia i jego tzw. „darów”. Ale tu mamy do czynienia z niedawnym np. wypadkiem, z obrazem, który raz po raz „wychynywa<sup>37</sup>” z niepamięci, aby nam zatruć jakieś skądinąd rozkoszne wrażenie aktualne. Bywają jednak (jak często!) wypadki takie, że obraz przykrego zdarzenia ginie nam z pamięci bez śladu i pozornie żadna siła nie potrafi go z naszych śmierdzących czeluści duchowych na światło świadomości wydobyć; a jednak nawet wtedy działa, kanalia, i potrafi najbardziej „promienną” terażniejszość zapaskudzić, stworzyć fatalne, stale powtarzające się, niekorzystne dla nas nastawienia, wywołać w nas stale zgubne reakcje na pewne zdarzenia, wplątać nas w nie-do-pozazdrosczenia sytuacje, uwikłać po prostu w świństwa, a nawet zgubić. A my możemy nic o tym nie wiedzieć i być przekonanymi, na tle pozorowanej samorzutności naszych impulsów, że działamy według najistotniejszych praw naszej świadomej natury, lub też tworzyć świadomie programy działań, których potem, na tle kompleksowych zwałów w nas drzemających, nigdy urzeczywistnić nie będziemy w stanie, postępując wbrew wszelkim świadomym i słusznym założeniom. I nie będzie to żaden brak woli: w innych okolicznościach wykażemy się nią znakomicie. Ale będą na pewno pewne typy zdarzeń, związane z naszymi utajonymi węzłowiskami, wyrosłymi na zatłamszonych w świadomości przeżyciach, które będą nas stale zmuszały do pewnych postaw, do których potem znów w świadomości normalnej (bo przecie nie cała świadomość każdego jest podminowana węzłowiskami) będziemy mieli wstręt najgłębszy. Zahamowana reakcja, niewyżyty odruch, zagnębione uczucie, dawno zapomniane widma już od lat i ich dziesiątków nieważnych dla nas zdarzeń będą w danej sferze panować nad nami niepodzielnie, autorytatywnie, podczas gdy w innych, niezaplugawionych nierozegranym podświadomym, będziemy dalej swobodnymi twórcami naszych egzystencji. Taką jest straszliwa potęga podświadomości, której wielki bohater podziemnych gąszczy ludzkiej duszy, Zygmunt Freud, wydał bezlitosną walkę, dając nam wszystkim broń przeciw potajemnie żyjącym w naszych piwnicach i suterenach potworom i gadom, zatruwającym wyższe piętra naszego zaiste, nawet u tzw. niepięknie „maluczkich”, wspaniałego ducha. Jeśli świadomi siebie tzw. „inteligenci”, analizujący pozornie każde włókienko swych przeżyć i charakterów, nie mogą uniknąć działania tych podpowierzchniowych potęg, to cóż mówić dopiero o ludziach nieposiadających odpowiednich narzędzi analizy i obrony, a zdanych na pastwę komplikujących się warunków naszego bogatego, ale zadławiającego nas życia wśród dzisiejszej cywilizacji, która rozpiętana przez nas niebaczenie, nie dba już o jednostkę i dąży ku swoim niezbadanym celom.

Otóż dziś mało kto może obejść się bez psychoanalizy, tak jak dawniej mało kto mógł żyć bez zwierzeń i spowiedzi — wyladowanie podświadomości i rozplątanie jej bezwyciściowych pozornie zawikłań jest konieczne. Środki ku temu daje nam Wielki Spowiednik Ludzkości, Zygmunt Freud. Ale iluż nie umie słuchać jego wszechmądrego i dobrotliwego głosu, iluż w imię prawa „zachowania kompleksów”, przywiązania do choroby, którą wynagradzają sobie wszystkie braki „poskąpione” im przez przeznaczenie, przez fałszywy wstyd i również fałszywą ambicję — te dwie najzgubniejsze potęgi codziennego życia — przez programowe niezrozumienie i bezrozumny opór, odrzuca jedyne zbawienie w postaci ułatwienia poznania swych błędów i ukrytych chorobowych ognisk, z których wyrastają niepojęte pozornie, przeczące — i zasadom, które się wyznaje, i charakterowi (to jest najważniejsze) — czyny. Jeśli wyczerpane są wszystkie środki świadomego samopoznania, a mimo to machina nie idzie dobrze i ciągle się coś psuje, i zdarzają się szarpania ze sobą i z ludźmi, to jakaż może być droga duchowa postępu, jak nie pozwolenie komuś na zagłębienie się w — czekające po prostu z utęsknieniem swego rozwiązywacza — plątowiska, bagna, „gappo<sup>38</sup>” i potworowiska podświadomych głębin. Sam człowiek wobec siebie jest tu bezsilny: nie ma dlań takiego punktu zaczepienia, który by mu pozwolił za-

Choroba, Brud, Dusza,  
Potwór, Upiór, Tajemnica

Spowiedź

<sup>37</sup>wychynywa — por. *wychynąć*: wyłonić się, wynurzyć się. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>gappo — zalany bagnistym błotem las brazylijski. Każdy wysiłek w celu uwolnienia się pograża tylko nie-szczęśliwca, który w to wpadł, głębiej i głębiej, aż do zupełnego zachłynięcia się, odetchnięcia głębokiego ciepłym, klejkim, cuchnącym błotem. [przypis autorski]

haczyć o tak zdolne do dalszego prucia misterne konstrukcje podświadomych kłamstw; człowiek wie tyle, ile mu ta jego przeklęta, strzegąca zazdrośnie swych tajemnic podświadomość pozwoli — ani mniej, ani więcej. Instykt, nieomylny w warunkach prostych, dla których był stworzony w tajemniczych pomrokach przeszłości, staje się wrogiem, gdy warunki zaczynają się zbyt szybko zmieniać w stosunku do zmian, niemogących im nadążyć zmian strukturalnych już nie ciała — o tym u nas mowy nie ma, możemy się tylko degenerować i upadać — ale zmian tak dotąd podatnych i plastycznych organów wyższej kontroli i świadomości: mózgu i systemu nerwowego.

Wszystko ma swoje granice, dokonaliśmy cudów, ale nie można pędzić tak dalej, bo grozi to katastrofą: rozpętane zmiany warunków zewnętrznych przerastają o tyle plastyczność naszych ciał i organów, że całość grozi zwaleniem się w pierwotną nicność, w ciemność duchową, równającą się mrokom totemicznego klanu, z której wtedy, dawno, wyjście było jedno jedyne — poprzez władzę i cierpienia mas na wyżyny cywilizacji obecnej. Ale tak wiecznie w kółko kręcić się nie można, choć zdawał się wierzyć w to Oswald Spengler<sup>39</sup>, nie wypowiadając jakby wniosków ostatecznych i zdający się nie uznawać absolutnej nieodwracalności przemian społecznych, tego „transcendentalnego” (w znaczeniu H. Corneliusa) według mnie prawa, obowiązującego wszystkie możliwe zbiorowiska społeczne we wszechświecie: społeczeństwo stwarza gnębiące je jednostki, aby wznosić się wyżej w hierarchii duchowej istnienia, rośnie w przez nie stwarzaną potęgę, aż po wielu fluktuacjach, dających pozory odwracalności, zabija twórcze indywidualium, aby odpocząć w bezruchu absolutnej, równej dla wszystkich doskonałości. Ale o tym później.

Na razie chodzi tylko o granice wytrzymałości ludzkiego systemu centralnego w stosunku do wymagań współczesnej cywilizacji. Sądzę, że jesteśmy niedaleko od punktu krytycznego i należy zastanowić się nad najbardziej doraźnymi środkami obrony przed zbliżającą się katastrofą. Są to problemy ważne w każdym ustroju społecznym i nic nie uwalnia nas od jak najintensywniejszego zajęcia się nimi natychmiast.

Demoniczne, niesamowite działanie węzłowiska ukrytego w gąszczu narośniętych nań podobnych przeżyć-reakcji (np. jak raz było w danym miejscu zahamowanie, zdarzy się drugi raz, trzeci i czwarty, stwarzając coraz grubsza warstwę otorbien, nieprzebijalną dla chcących dotrzeć do pierwotnego faktu przy pomocy introspekcji) najlepiej pokazać można na przykładzie — tu żadne czysto teoretyczne określenia nie pomogą, wyjaśni to najlepiej mechanizm danego poszczególnego zdarzenia. Weźmy przykład fikcyjny, może trochę „naciągnięty”, ale może właśnie dlatego lepiej sprawę ogólną ilustrujący: „dajmy na to” (jak to mówią w niektórych dzielnicach), że pewien pan idzie zerwać z narzeczoną, która „trochę” się niestosownie zachowała, robiąc oko do pewnego huzara na przykład. Obmyślił to wszystko bardzo pięknie: jak wejdzie, jak ucałuje ją wspaniałomyślnie w „czołko”, jak powie jej o swojej niezgłębionej miłości i proporcjonalnej do niej ambicji i wściekłych wymaganiach od siebie i najbliższych sobie, od otoczenia i życia w ogóle, a potem z godnością, „udrapowany” cierpieniem, wyjdzie, by nigdy nie wrócić.

Zaznaczamy mimochodem, że pan ten jest schizoidem hiperestetycznym (nadczułek) z lekką komponentą cyklotymiczną. Zaznaczamy jeszcze fakt pozornie nic nieznaczący z wczesnego dzieciństwa owego pana. Oto podczas lekcji francuskiego, gdy miał lat siedem, został, jak to mówią, „czynnie znieważony” przez przystojną nauczycielkę, pannę Eufrozyne, której bardzo jakimiś figłami (np. komponowaniem słów bez sensu) dokuczył. Panna Eufrozyna dała mu lekko w mordkę. A on zamiast jej to oddać skurczył się w sobie z bólu nie tyle fizycznego, co moralnego, poczerwieniał jak piwonia, łzy zdławione nie trysnęły z odpowiednich gruczołów (łzowych) i mało nie pękł z wściekłego wzruszenia, które nie było jednak czystą złością — to jest najważniejsze. Przecie owa panna Eufrozyna to była już jego druga dziecinna miłość. (Łączyła się z jakimś potajemnie przeczytanym nieprzyzwoitym wierszem o „złotym cielcu”, była tą, której nogi chciałby obejrzeć, tak jak oglądał je u dziewcząt wiejskich, niekrepujących się tak bardzo obnażania od dołu, ale nie takich jak Eufrozyna tajemniczych.) Otóż snardz ów nie oddał

<sup>39</sup>Spengler, Oswald Arnold Gottfried (1880–1936) — niem. filozof kultury i historii; autor publikacji *Zmierzch zachodu (Der Untergang des Abendlandes. Umrise einer Morphologie der Weltgeschichte, 1922)* zwiastującej upadek cywilizacji europejskiej; a także: *Państwo. Problem klas społecznych, państwa i historii filozofii politycznej (Der Staat. Das Problem der Stände, Staat und Geschichte Philosophie der Politik, 1924)*, *Człowiek i technika. Filozofia życia (Der Mensch und die Technik. Beitrag zu einer Philosophie des Lebens, 1931)* i in. [przypis edytorski]

ciosu i po chwili tłumaczył już jakiś kawałek z polskiego na francuski, dusząc w sobie kłęb nierozplątanymi myśli i uczuć, lykając z trudem przez zaciśniętą grdykę olbrzymie pakiety wzdargy dla samego siebie. Fakt ten został po roku gruntownie zapomniany. Po- zornie śladu pamięci o nim w świadomości p. X nie było. A jednak w istocie trwał w nim, jak go Freud nazywa, utajony uraz psychiczny i wszystkie podobne do poprzedniego fak- ty wtłaczały się już jakby w pewną koleinę, odegrywując<sup>40</sup> tamtą, dawno zapomnianą, zahamowaną reakcję. Fakt [ten] wyznaczał stosunek p. X do najróżniejszych spraw ży- ciowych i wiele razy już cierpiał ów X bardzo z powodu pewnej „niezdolności czynu” w chwilach odpowiednich. (A może był tu też wrodzony masochizm fizyczny, połączo- ny z sadyzmem psychicznym?) Tu nie palnął w mordę snardza, który mu coś przykrego powiedział, tam nie zbił jakiejś damy, która go bezczelnie zdradziła, tam okazał słabość wobec puszącego się nad nim przyjaciela, który go po prostu na dudka wystrychnął itp., itp. W ogóle wszędzie, gdzie p. X był skrzywdzony, zawsze reakcja jego była zahamowana i nie dochodziło nigdy do takiej siły wybuchu, jaka właśnie w danym wypadku mogła być wymagana: czyli zakręcone węzłowisko nie mogło się rozkręcić i rozpętać w reakcję dającą pełne zadowolenie spełnienia kompletnego, autentycznego czynu. Aż wreszcie przyszedł czas, że napięcie uczuć wzrosło do odpowiedniego stopnia, ale wyzwolona reakcja jako proporcjonalna odpowiedź na podniecie nie udała się: niby kompleks w pewien sposób sam się rozwiązał, ale nie w takim stopniu, jaki dla zdrowia duszy byłby konieczny, a przy tym w ogóle nie było pacjentowi uświadomione, dlaczego on właśnie tak, a nie inaczej na wszystkie tego samego rodzaju podniecie reagował. (Oczywiście dla wytworzenia się pewnego typu kompleksów potrzebne są podłoża o pewnym charakterze — i tu wracamy znów do Kretschmera: inne będą oczywiście kompleksy leptosomów, a inne pykników.)

A więc „nasz”, jak to mówią, pan X wchodzi do narzeczonej i zaczyna z nią mówić ściśle według programu. Ale już po paru minutach rozmowy on sam czuje (a ona wi- dzi przed sobą nie dawnego narzeczonego, tylko całkiem obcego jej, a nawet wstrętnego snardza), że plan wymyka mu się z rąk jak nieużyteczna szmata, wydarta podmuchem jakiegoś piekielnego samumu wiejącego mu z samych trzewiów, jakby z gorących warstw zwierzęcego mięsa i z tajemniczych centrów gruczołów rozmieszczonych po całym or- ganizmie. I rozpoczyna się dzika heca. Dawny kompleks (węzłowisko) działa. Wszystkie piękne postanowienia diabli biorą jedne po drugich; jest to niby tak zwana walka uczucia z rozumem czy na odwrót, ale w gruncie rzeczy jest tu coś więcej: są dwa uczucia i jeden rozum, będący wyrazem tylko tego uczucia świadomego, to drugie działa z ukrycia, skry- tobójczo, ale z tym większą pewnością — zwycięża prawie zawsze. Pan X zaczyna robić łagodne początkowo wyrzuty. Ale postać narzeczonej zlewa mu się z zapomnianą od wie- ków nauczycielką: jej jako takiej nie ma, została niejako „czysta forma”, w którą zostaje zapchana owa nieszczęsna huzarska kokietka; następuje tak zwana pseudomorfoza, jak kiedy dany roztwór krystalizuje się w formie pozostałej po innym kryształ i przyjmuje jego formę. Kończy się na tym, że doprowadzony do szału X, odegrywując całe okropne upokorzenie doznane wtedy od biednej panny Eufrozyny, wali narzeczoną w zapłakaną mordkę i wyzywa ją od ostatnich słów, a wreszcie ucieka, zapominając u niej ulubioną la- skę, bez której nigdy w życiu kroku nie zrobił; będzie mu ona potrzebna jako pretekst — nędzny, ale przecie — dla powrotu, bo w gruncie rzeczy on świadomie czuje, że postąpił jak ostatnia świnią i będzie musiał narzeczoną przeprosić, choćby bez nadziei nawiązania stosunków na nowo, a bez pretekstu może nie mieć siły dla pokonania fałszywej ambicji — po prostu chce wrócić, a nie wie, jak to uczynić, i tu podświadomość go wyręcza.

Oczywiście każąc „podświadomości” działać jak odrębnej postaci, wyrażamy się skró- towo — zastępczo, jak mówi Tadeusz Kotarbiński<sup>41</sup>, nie robiąc zresztą żadnej hipostazy. Tak samo mówimy o miłości, inteligencji, intuicji itp., nie myśląc o jakichś tzw. „wła- dzach” umysłu czy jaźni całej, tylko wyodrębniając z całości osobowości pewne jej wzglę- dnie samodzielne (pozornie) momenty (części, które kompletnie niezależnie bez całości innych istnieć nie mogą); w ten sposób ułatwiamy sobie opis niesłychanie zawilego gąsz-

Gniew

<sup>40</sup>odegrywując — dziś raczej: odgrywając. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Kotarbiński, Tadeusz (1886–1981) — pol. filozof, logik i etyk, przedstawiciel szkoły lwowsko-warszawskiej; twórca *reizmu* (materialistycznej, a właściw. fizykalnej koncepcji filoz.); drogą analizy semantycznej pojęć filoz. wyprowadził system *konkretyzmu* (będącego odmianą materialistycznego monizmu); znany jako współtwórca *prakseologii*, teorii sprawnego działania. [przypis edytorski]

czu psychiki naszej, gdzie uczuciowość, czucia cielesne jako takie (do których po części uczuciowa strona jest sprowadzalna), pojęciowość, pamięć i wyobrażenia (do których to ostatnich „gry” pojęciowość jest bez reszty sprowadzalna) tworzą pozornie niedający się rozplątać chaos, w którym jakimś dziwnym trafem tylko zdaje się panować pewna stała względnie organizacja. Jeśli zawsze będziemy sobie uświadamiać skrótowość pewnych pojęć psychologii (choćby nawet pojęć fenomenologów: aktu, intencjonalności, ideacji itp.), możemy ich płodnie używać, nie popadając w fałszujące rzeczywistość hipostazy, tzn. uprzedmiotowienia ich, uosobienia, wynoszenia ich do rangi potęg, oddzielnych bytów, władz czy nawet nieomal bóstw jakichś, bliżej nieokreślonych. Pojęcie podświadomości trzeba trzymać na wodzy, podobnie jak pojęcie kompleksu: uważać trzeba, aby pojęcia te nie wyrwały się nam z rąk i nie zaczęły żyć samoistnym życiem, panując nad nami i naszą teorią w psychologii, stwarzając w jej obrębie swoistą metafizykę i mitologię. To grozi, według mnie, niektórym psychoanalitikom.

Według opisanego zdarzenia urojonego możemy sobie wyobrazić łatwo działanie węzłówek duchowych w każdym poszczególnym wypadku. Każdy przykry fakt: doznana krzywda, obelga, upokorzenie, zawód, zostaje możliwie prędko jako taki zapomniany. Ale jego skutki pozostają, stwarzając całe szeregi specyficznych reakcji wokół „otorbionego” (jak echinokok<sup>42</sup> w swej wapiennej powłoczce) faktu pierwotnego, źle lub wcale nieodreagowanego. (Kompleksom tego rodzaju łatwiej podlegać muszą typy schizoidalne, o zahamowanych w ogóle reakcjach, niż łatwo się wyładowujący cyklotymicy.) I tak wlecze się ten utajony byt węzłowiska czasem życie całe, póki przypadkiem nie natrafi na swe ostateczne wyładowanie. Przeważnie jednak nie następuje to nigdy i człowiek do końca często jest ofiarą nieznanych mu, niepoznawalnych w ogóle, utajonych potęg. Wiele ciężkich chorób psychicznych da się w ten sposób wytłumaczyć i wiele też — przez uświadomienie i przez to usunięcie węzłowiska (tzw. jego „rozwiązanie”) — wyleczyć. Chodzi tylko o to, aby umiejętnie zabierać się do rozbabrania czyjejś duszy, by zamiast usunięcia zatrującego psychicznego ropienia nie nabawić pacjenta nowych ognisk nienormalności przez zasugestionowanie mu rzeczy, o których mu się nigdy nie śniło — tu w dosłownym freudowskim znaczeniu, bo według jego teorii sen jest, poza różnymi pozornie dowolnymi, przypadkowymi omyłkami, przemówieniami się i tzw. „umyślnymi przypadkami” itp., tym zjawiskiem, w którym podświadomość, uwolniona z oków<sup>43</sup> dziennej trzeźwości, zaczyna objawiać się pod postacią symbolicznych, pozornie nic z utajoną ich treścią niemających związku, obrazów, zdarzeń i przeżyć.

Nie będę tu streszczał obszernie rzeczy, które każdy znajdzie w książce Freuda w tłumaczeniu polskim pt. *Wstęp do psychoanalizy* (wydawnictwo Przeworskiego)<sup>44</sup>, wyjaśniając tylko, o co chodzi, na paru przykładach.

Po kilku dniach przerwy w pisaniu widzę, że *wymyślenie* dobrego przykładu na przemówienie się<sup>45</sup> jest wprost niemożliwe: dowód to jeszcze jeden na korzyść teorii Freuda: przykłady takie mogą powstać jako rzeczywistości, a nie fikcje, stworzone muszą być przez prawdziwe „węzłowiskowe natchnienie” — wymyślić ich nie sposób. Mogę tylko, w braku chwilowym wspomnień osobistych (każdy z nas miał z pewnością dziesiątki tego rodzaju zdarzeń, tylko ich nie pamięta), zacytować przykłady freudowskie:

1. Morderca, który zabijał przy pomocy bakterii, zamiast napisać „przy moich doświadczeniach na świnkach morskich” napisał mimo woli „na ludziach” i tym się zdradził; 2. jakiś pan mając mowę i chcąc powiedzieć: „*es kamm zum Vorschein*” (wyszło na jaw), powiedział: „*zum Vorschein*” (*Schwein* — świnia), ponieważ chciał ukryć, że przy sposobności wyszły na jaw jakieś świństwa, a „stan podświadomy” mu na to nie pozwolił, demaskując ukryte myśli przez przemówienie się. [3.] Przykład na chęć ominięcia niewygodnej sytuacji: pewien snarż idąc zerwać z narzeczoną (co było dlań bardzo przykrym) nie wiadomo czemu poszedł przez las, a nie, jak zwykle, drogą, wlaźł w gąszcz i rozerwał

<sup>42</sup>*echinokok* (łac. *Echinococcus granulosus*) — tasiemiec bąblowcowy, bąblowiec; groźny pasożyt, w postaci dojrzałej bytujący w jelicie cienkim psowatych, jeśli występuje u człowieka, jest on wówczas żywicielem pośrednim. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*oków* — dziś raczej: (z) okowów. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*książce Freuda w tłumaczeniu polskim pt. „Wstęp do psychoanalizy” (wydawnictwo Przeworskiego)* — por. Zygmunta Freuda, *Wstęp do psychoanalizy*, Wydawnictwo J. Przeworskiego, wyd. I, 1935; przekład dr. S. Kempnerówny i dr W. Zaniewidzkiego, pod red. dr. Gustawa Bychowskiego, doc. UW. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*przemówienie się* — dziś raczej: przejęzyczenie. [przypis edytorski]

sobie tak pończochy, że musiał wrócić do domu — wskutek czego odłożył przynajmniej przykrą sprawę „do jutra”.

Co do marzeń sennych, musimy stwierdzić, że przy powierzchownym nawet badaniu wykazują one pewną stałą symbolikę, której stałość i prawidłowość nie jest żadnym cudem, a polega po prostu na podobieństwie ludzi między sobą, a przede wszystkim na podobnych u nich zasadniczych sferach uczuć. Nie dziwimy się, że ludzie mają dwoje oczu i po jednym nosie, a nawet, że mają prawie te same uczucia i kompleksy myślowe, ale z chwilą kiedy kilku osobnikom, pod postacią panującego, profesora, księdza czy przełożonego lub pryncypała, śni się ojciec, to wydaje się nam czymś dzikim i naciągniętym. Tymczasem posiadanie ojca, specyficzne dla niego uczucia i specyficzne kompleksy czy węzłowiska, których te uczucia są powodem, są tak samo prawie wspólne wszystkim ludziom, jak para oczu i uszu lub uczucia erotyczne czy religijne. Wiele rzeczy, które w psychoanalizie rażą nas jako wynaturzone, wmówione, zasugestionowane, okazuje się zupełnie naturalnymi konsekwencjami wspólności struktur psychicznych, zupełnie analogicznymi do podobieństw konstrukcji cielesnych. Tak więc w snach przeżywamy wszystkie utajone w normalnej świadomości uczucia, kompensujemy je i uzupełniamy, jako też odegrywamy<sup>46</sup> siebie w stosunku do stłumień, które nam narzuciło i narzuca życie rodzinne i społeczne i w ogóle stosunek nasz do całości gatunku.

Obok węzłowisk erotycznych i rodzinnych najważniejszym jest opracowany przez Freuda, a także przez ucznia jego Adlera<sup>47</sup>, kompleks niższości (*Minderwertigkeitsgefühlkomplex, inferiority complex*), który będzie tu specjalnym tematem naszych rozważań<sup>48</sup>.

#### B. Kompleks (węzłowisko) niższości

Węzłowisko niższości jest tak samo oparte o najbardziej zasadnicze uczucia Istnienia Poszczególnego (żywego osobnika), a nawet może jeszcze jest bardziej istotne dla jego istnienia jak kompleksy erotyczne i rodzinne, jakkolwiek ostatecznie od erotyzmu się wywodzi. Chodzi tu o potwierdzenie samego faktu istnienia w jego najpierwotniejszej nagości: człowiek jest nie przez to, że jest po prostu i koniec, ale przez to, że ma pewien kierunek, rozwija się, że staje się czymś więcej, niż jest w danej chwili, że przerasta siebie, a przez to przerasta innych, staje się czymś wyróżniającym się, coraz wyraźniejszym dla siebie, często pośrednio lub bezpośrednio i z jakiegoś punktu widzenia dla gatunku czymś lepszym od reszty osobników. Jest to zasadnicze prawo wewnętrzne i zewnętrzne rozwoju indywiduum, a przez to rozwoju gatunku, który rozwija się właśnie w osobach najbardziej rozwijających się osobników. Z tego punktu widzenia węzłowiska erotyczne jako takie, poza samą prostą ich strukturą związaną z naturą popędu, muszą być do pewnego stopnia funkcjami szerszego ogólnego dążenia do samopotwierdzenia się i ugruntowania gatunku, będącego źródłem kompleksu niższości, związanego z tym pierwotnym faktem, że istnieć to znaczy rozwijać się i iść naprzód (i to do ostatnich niemal chwil życia), a stanie na miejscu jest równoznaczne z cofaniem się, z powolną śmiercią. W tym „transcendentalnym” prawie (w znaczeniu Kanta i Corneliusa, tzn. absolutnym prawie ontologicznym, jak bym to raczej sformułował) leży źródło kompleksu niższości, na tym tle, że mimo iż jest nam dany, jak by wyraził się Tadeusz Miciński<sup>49</sup>, „rozpęd do nie-

<sup>46</sup>odegrywamy — dziś: odgrywamy. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>Adler, Alfred (1870–1937) — austriacki psychiatra, psycholog i pedagog, kontynuator nauki Freuda, w 1911 r. odrzucił jednak koncepcję dominanty seksualnej we freudowskiej teorii osobowości, wystąpił z ruchu psychoanalitycznego, stworzył podstawy psychologii indywidualnej. Od 1924 roku zamieszkał w USA, a od 1929 r. był profesorem Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Autor m.in. *Praxis und Theorie der Individualpsychologie* (1920) i *Studien über die Minderwertigkeit von Organen* (1920); tę ostatnią zapewne wspomina Witkiewicz w przypisie jako główną pracę Adlera. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>Obok węzłowisk erotycznych i rodzinnych najważniejszym jest opracowany przez Freuda, a także przez ucznia jego Adlera, kompleks niższości — głównej pracy Adlera nie znam. *Znajomość natury ludzkiej* w tłumaczeniu polskim wydała mi się dziełem tak prymitywnym, że dałem spokój jej czytaniu. Podobno Adler uważany jest za odstępce od nauki mistrza. Według mnie nie wprowadził on zasadniczo nic nowego: teoria jego jest potencjalnie zawarta w dziele Freuda. [przypis autorski]

<sup>49</sup>Miciński, Tadeusz (1873–1918) — poeta, dramaturg i prozaik okresu modernizmu, prekursor polskiego ekspresjonizmu i surrealizmu; autor m.in. tomiku poezji *W mroku gwiazd* (1902), mistycznej powieści *Nietota* (1910) dramatu wyrastającego z kontekstu rewolucji 1905 roku *Książę Patiomkin* (1906) czy tragedii z historii Bizancjum X w. *W mrokach złotego pałacu, czyli Bazylissa Teofanu*. Przyjaciel i autorytet Witkacego. [przypis edytorski]

skończoności”, nikt z nas nie może go w swoim istnieniu w całej pełni ziszczyć i życie nasze jest wypadkową najróżniejszych starć naszych danych z otaczającym nas układem osób, sił społecznych i natury materialnej, których wypadkowa, często z punktu widzenia żądań jednostki wykoślawiona lub wręcz dla niej katastrofalna, stanowi to, co określamy mianem historii naszego życia.

Dobrze spełniony („wygrany” — lepsze określenie, ale nie podoba mi się jego, że tak powiem, „muzykał”) kompleks niższości, przy odpowiedniej dla istotnego rozwoju danego osobnika sumie warunków, może być powodem najistotniejszej, najautentyczniejszej jego twórczości, począwszy od objawów czysto indywidualnych: sztuki, filozofii, nauki, aż do działalności najbardziej bezpośrednio społecznej: na szczytach władzy prawowiernej lub rewolucji; źle spełniony staje się powodem przykrych deformacji osobnika, który przejawia się wtedy w życiu w formach wykoślawionych niespełnionej ambicji i zatruwa tak siebie, jak i swe otoczenie ptomainami<sup>50</sup> swego psychicznego rozkładu.

Węzłowisko niższości, według tak powszechnych, najistotniejszych dla samego czynnego bytu indywidualnego jego źródeł, musi być tak powszechne, jak są na tle konieczności przedłużenia istnienia gatunków węzłowiska erotyczne<sup>51</sup>: wynika ono z samych podstaw istnienia, które jest rozwojem, i z ograniczeń, które ten rozwój z konieczności na swej drodze napotyka. Ta zasada ograniczenia, to jest druga zasada transcendentalna (w znaczeniu konieczności dla całego aktualnego i wszelkiego możliwego bytu, a nie jakichś metafizycznych kombinacji w rodzaju „form zjawiskowych” czy „kategorii”<sup>52</sup>), jest tą, z której wypływają zasadnicze tego bytu cechy: wielość jego elementów ograniczonych czasowo i przestrzennie, powtarzalność stanów wewnętrznych i zjawisk i ich prawidłowość indywidualna, wewnątrz danej osobowości, biologiczna i psychologiczna, i prawidłowość statystyczna, w złudnym, a koniecznym świecie „materii martwej”. Z tego stanu rzeczy wynika, że właściwie różne formy kompleksu niższości muszą wytworzyć się w wszystkich indywidualach, począwszy od najniższych, a kończąc na najwyższych, bo właściwie pragnienia nasze — w związku z nieskończonością czasu i przestrzeni i potencjalną, graniczną, subiektywną możliwością nieskończoności we wszystkich swoich spełnieniach (zaczynając od pragnienia wiecznego trwania i rozpierania się nieskończonościowego w przestrzeni) — są nieogarnione i spełnienie ich jakiegokolwiek musi być w pewnym sensie ich ograniczeniem i kompromisem. Stąd smutek nieuchronny spełnionych zamiarów i marzeń, specyficzna melancholia dokonanych czynów, pewnych szczytowych osiągnięć, znana tak dobrze wszelkim działaczom społecznym, twórcom życia, władcom i transformatorom rzeczywistości. Może wolna od niej do pewnego stopnia jest twórczość artystyczna i filozoficzna; pierwsza przez ograniczone założenia w swym wyrazie prawo całego istnienia o zasadę jedności w wielości, dające się poznać w konstrukcjach będących jakby skondensowanymi pigułkami Tajemnicy Bytu, wyrażonej czysto formalnie, a nie treściowo — zniszczenie absolutnego nienasyceńca przez jego pogładową formalizację i stworzenie zamkniętej w sobie, absolutnie samowystarczalnej strukturalnej jedności; druga, tj. filozofia, przez ujęcie czysto pojęciowe w całościowej formie zasadniczych rysów Istnienia we wszystkich jego przejawach (materii martwej, stworach żywych, psychiki i życia społecznego tych stworów), przy czym za cenę pośredniości symbolicznej, w przeciwstawieniu do bezpośredniości rzeczywistej dzieła sztuki, zyskujemy całość absolutną, czego w zawsze cząstkowym, choć realnym tworze sztuki osiągnąć się nie da. Ale i tu nawet, mimo pozornego graniczenia z rzeczami ostatecznymi, prześladuje nas zasada ograniczoności: są to zawsze twory, tu i teraz przez jakiegoś ograniczonego „ktosia” dokonane, objęte zasadą niedoskonałości wszelkiego ludzkiego tworzenia, jego niesamowystarczalnością. Nieskończoności Aktualnej nie zgłębimy nigdy: ani pojęciowo, ani bezpośrednio, ani w przeżywaniu, ani w twórczości, a jednak musimy ją przyjąć — tu leży źródło wszelkich tajemnic i niezwalczonych zagadek bytu. I w tych sferach, pozornie zaprzeczających

Kondycja ludzka,  
Twórczość, Melancholia

Sztuka, Artysta

Filozof

Obraz świata, Kondycja  
ludzka, Twórczość

<sup>50</sup>ptomainy — aminy z grupy diaminoalkanów: putrescyna (1,4-diaminobutan) i kadaweryna (1,5-diaminopentan); wytwarzane w procesach gnilnych białek, charakteryzujące się nieprzyjemnym zapachem; pot. jady trupie. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Niestety nie ma w polskim języku na to odpowiedniego słowa. Na myśl o słowie „miłosny” przechodzi normalnego (?) człowieka dreszcz wstrętu — „płciowy” zaś jest słowem zanadto cielesnym. [przypis autorski]

<sup>52</sup>metafizycznych kombinacji w rodzaju „form zjawiskowych” czy „kategorii” — wszystko to są hipostazy niesamodzielnymi momentami najbardziej „codziennymi” i nie implikujących w zasadzie żadnej metafizyki, w złym znaczeniu, stanów rzeczy. [przypis autorski]

zasadzie Tożsamości Faktycznej Poszczególnej (czyli w języku Leibniza kontyngencji — tość i takość, a nie inność), oczekuje nas konieczny smutek i melancholia rzeczy dokonanych. Dlatego to nawet najbardziej doskonale „wygrany” kompleks niższości, objawiający się zrealizowaniem wszystkich marzeń w danym zakresie, pozostanie właśnie — na tle absolutnego bytowego nienasylenia Istnienia Poszczególnego — tylko i jedynie kompleksem nie do rozwiązania, jeśli popatrzymy na osobnika w ogóle pod kątem psychologicznym, a nie mierząc wartości jego według standardu dokonanych czynów, które mogą być wielkie i wspaniałe, a twórcy swemu — na tle niedosiężnej nieskończoności — pozostawić tylko wrażenie istotnej nudy i niesmaku mimo powierzchownego zadowolenia z samego faktu dokonania czegokolwiek bądź. Oczywiście, jak to z samej analizy tej psychologii wynika, schizoidzi mają w stosunku do tych uczuć i stanów pierwszeństwo przed cyklotymikami.

Tak więc węzłowisko niższości, które specjalnie od wczesnego dzieciństwa — na tle ciągłych ograniczeń pożądań, chętek i zamiarów dziecka — musi się rozwijać, tzn. że ciągle tworzą się urazy stwarzające z tych pożądań kompleksy właśnie, tj. nieświadome źródła ujemnej oceny swej osobowości przy świadomym dążeniu do przewyciężenia nurtującego w głębiach przykrego poczucia *upośledzenia*<sup>53</sup>, może być przyczyną największych czynów ludzkich, mających pierwszorzędną wagę dla całej ludzkości, a jednocześnie może być źródłem wszelkich niskich, najniższych może ze wszystkich, uczuć: zazdrości, zawiści i bezsilnej wściekłości tak zwanych z rosyjska „nieudaczników” (może nieudanków lub nieudałków) w stosunku do tych, których życie pociągnęło wzwyż. Ha, trudno! Nas będzie tu zajmowało specjalnie węzłowisko upośledzenia źle wygrane i nieprzyjemne skutki tego stanu rzeczy dla otoczenia obciążonych w ten sposób osobników, a także fakt istnienia tak szczególnie wielkiej ilości ludzi o tych źle wygranych (czy rozegranych) węzłowiskach, które zakładamy na tle powszechności pewnych praw u wszystkich absolutnie, najbardziej nawet zresztą względnie udanych ludzi w naszym kraju. Tu będę musiał się puścić na daleko idące hipotezy, których podstawy przekraczać będą znacznie moją kompetencję.

Istotą kompleksu niższości (węzłowiska upośledzenia) jest<sup>54</sup> pewne podświadome niezadowolenie ze swojego położenia czy stanowiska w świecie i ze stosunku otoczenia, które zdaje się być zbyt obojętne czy negatywne wobec rzekomych wartości i czynów danego osobnika. Zaznaczyć trzeba, że odbywa się ta ocena często w głęboko podświadomych warstwach i nikt by często nie poznał w danym, pozornie zadowolonym z siebie, osobniku kogoś ciężko psychicznie zranionego swoim nieodpowiednim położeniem w układzie, w którym los życ mu kazał. A jednak nieświadome ognisko złych myśli promieniuje swą ciemną emanacją, zmieniając różne reakcje na rzeczywistość do tego stopnia, że dana ofiara kompleksu często by się nie przyznała do swoich własnych, niezauważonych zwykle, drobnych postępków, do ich istotnego kierunku i intencji, gdyby mogła widzieć cały mechanizm swego wewnętrznego stawania się. Tak więc dwie są drogi wyjścia z fatalnego położenia stworzonego przez węzłowisko upośledzenia, o ile nie nastąpi zupełna równowaga między pragnieniami a rzeczywistością, marzeniem a jego spełnieniem, równowaga kompromisu i ugody, normalnego półzadowolonego wydzielnym kęsem istnienia i nasylenia własną osobowością, które jednak stanowi większą część ludzkiego bytu, miąższ wegetatywny społeczności, na której inne, obce jej pozornie wyrastają osobniki, uczucia i myśli; dwie są drogi: jedna droga — rzeczywistości — wiedzie przez realny trud do czynów usprawiedliwiających, choćby w męce, istnienie danego stworu na tej ziemi i w świecie całym i pozwala mu pozostawić za sobą, jako ślad jego bytu, wartościowe dla niego samego i dla innych, pośrednio lub bezpośrednio, twory; druga droga, droga nieprawdziwego napuszenia urojonej wielkością, którą na pewien czas

<sup>53</sup>przy świadomym dążeniu do przewyciężenia nurtującego w głębiach przykrego poczucia upośledzenia (...) — Czy to słowo nie byłoby lepsze do określenia istoty tego węzłowiska niż słowo niższość, które nie zawiera w sobie pojęcia reakcji wobec tej niższości? Ciągłe się słyszy na ten temat nieporozumienia. Zdumieni laicy pytają: „jak to niższości, chyba wyższości?”; a inni używają tego słowa (kompleksu niższości) na oznaczenie *świadomego* poczucia niższości, co nic nie ma z tym kompleksem do czynienia, jest jego nawet pewnym zaprzeczeniem. [przypis autorski]

<sup>54</sup>Istotą kompleksu niższości (węzłowiska upośledzenia) jest (...) całość bytu ludzkiego w danym społeczeństwie na wyższe szczeble podnosi — fragment ten został opublikowany jako artykuł pt. *Węzłowisko upośledzenia (Wyjątek z „Niemytych dusz”)* w dwumiesięczniku literackim „Skawa” nr 2, luty 1939. [przypis edytorski]



nawet innych zamamić można, wiedzie przez kraj brzydkiej i małej fikcji do niesławnego końca, który można by przyrównać do rozprucia pustego, nadętego śmiesznie balonu.

Ale często zdemaskowanie nie następuje równo z końcem danego napuszonego na sztuczną wielkość osobnika. Czasem on sam przez innych systematycznie podbechtywany uwierzy w swą ważność z taką siłą, że do końca życia w jej poczuciu dotrwa, a nawet długo po śmierci błąka się między ludźmi jego wydęty ponad wszelką miarę majak — balon, zanim sąd nadeszłych, nieomamionych pokoleń, sąd historii już powoli dech sztuczny z niego wypuści, okazując jego nicość i wewnętrzną pustkę. Nie mówię o wypadkach przeciwnych: rozpoznania ważności tych, których za życia za nieważnych w nieświadomości swej i głupocie uważaliśmy, bo jest to wprost codzienny banał, nieomal od najdawniejszych dziejów ludzkości. Nie idzie mi tu o te wielkie społeczne przejawy owej złudy, tylko raczej o ten codzienny jad małych zdarzeń tego typu, przejawiający się w małych duszach, niezdolnych nawet do wielkich kłamstw i zakłamań. On to bowiem stwarza atmosferę ogólną danej grupy, miasta czy społeczeństwa całego, na której dopiero inne bakcyle potężniejszych i straszniejszych chorób się zahodowują<sup>55</sup>.

Jest jasne, że pewna część tzw. „ludzisków” musi na tę chorobę chorować. Możliwe, że wszyscy w mniejszym lub większym stopniu natężenia i utajenia ją mamy. Ale na czym polega, że nasz właśnie kraj nieszczęśliwy, którego cała historia zda się być jedną wielką potworną omyłką, cierpieć zda się właśnie najbardziej ze wszystkich, o ile mi się zdaje, krain naszego globu?<sup>56</sup> Czemu przeciętnemu, a nawet, co najgorsze, wybitnemu osobnikowi naszej nacji zda się bardziej wprost zależeć, by się *wydać* czymś wydatnym niż *być* nim w istocie? Czemu nam właśnie wystarcza złuda naszej ważności wobec nas samych, a nade wszystko wobec innych, samo napuszenie się na wartość, sam blichtr dostojęstwa zewnętrzny niż sama ważność owa jako taka, sama wartość istotna, samo wewnętrzne dostojęstwo, oparte o rzeczywistość, a nie pozór spełnionych czynów? Nigdzie, zda się, ani w historii, ani w chwili obecnej nie nastąpiło ani nie następuje takie przemieszczenie i zwichnięcie wartości, jak w naszym nieszczęsnym narodzie<sup>57</sup>. Czy większa część nieszczęść, które naród ów sam na siebie w ciągu dziejów sprowadził, nie na tym mechanizmie utajonym każdej poszczególniej duszy się zasadza? Bo nie brak nam wielkich danych i wielkich talentów, zdolności i możliwości — tego bezsprzecznie odmówić nam nie można. I gdybyśmy inne cechy charakteru, konieczne dla realnej twórczości, posiadali — cuda wprost przy tamtych danych osiągnąć byśmy mogli. Ale unosi nas łatwa w pewnych warunkach do spełnienia żądza chwilowego, a nie dalekodystansowego świecenia blaskiem gwiazd pierwszej wielkości i dlatego stwarzamy raczej sztuczne, zwodniczym światłem błyszczące niby-gwiazdy, a w istocie tanie rakiety, które tylko pewien czas prawdziwe gwiazdy udawać mogą, a potem gasną bez śladu, nie zostawiając nawet trwalszej świetlistej smugi po swoim przejściu. A przekleństwem atmosfery kraju, w którym przewagę ma napuszenie nad ważnością samą, jest to, że gdy się zjawi wreszcie prawdziwie ważny ktoś, to materiału dla twórczości wedle swego wymiaru i potęgi nie znajduje i sam przez to zmarnieć musi. I czyż nie jest pełną przykładów takich, zmarnowanej ludzkiej potęgi, historia nasza?

Ja historię znam zbyt mało, aby się tutaj w zbyt uczone dysertacje wdawać. Ale gdy czytałem kiedyś dzieje nasze, to wprost aż wylem z oburzenia i rozpaczę i mimo woli pięści zaciskałem z wściekłości, że podobne rzeczy dziać się mogły i że naród tak wielkimi możliwościami wewnętrznymi i zewnętrznymi rozporządzający tak mało istotnego zdziałał i stworzył, a wszystkich prawie swoich, rzadkich zresztą, prawdziwie wielkich mężów

<sup>55</sup>Jad małych zdarzeń (...) stwarza atmosferę ogólną danej grupy, miasta czy społeczeństwa całego, na której dopiero inne bakcyle potężniejszych i straszniejszych chorób się zahodowują — szczególniej widać proces ten u nas w sferze sztuki, literatury i krytyki; ta ostatnia najbardziej jet chyba zakłamana. [Przypis dodany w pierwodruku fragmentu rozdziału: „Skawa” nr 2, luty 1939; red. WL] [przypis redakcyjny]

<sup>56</sup>Ale na czym polega, że nasz właśnie kraj nieszczęśliwy, którego cała historia zda się być jedną wielką potworną omyłką, cierpieć zda się właśnie najbardziej ze wszystkich, o ile mi się zdaje, krain naszego globu? — [w pierwodruku fragmentu „Skawa” nr 2, luty 1939:] Ale na czym polega to, że nasz właśnie kraj, którego historia tyle wielkich omyłek zawiera, cierpieć zda się na nią właśnie najbardziej ze wszystkich, o ile mi się zdaje, krajów naszego globu? [przypis redakcyjny]

<sup>57</sup>Nigdzie, zda się, ani w historii, ani w chwili obecnej nie nastąpiło ani nie następuje takie przemieszczenie i zwichnięcie wartości, jak w naszym nieszczęsnym narodzie — [w pierwodruku fragmentu „Skawa” nr 2, luty 1939:] Nigdzie, zda się, w historii nie nastąpiło takie przemieszczenie i zwichnięcie wartości, jak w naszym właśnie narodzie. [przypis redakcyjny]

— przez brak podtrzymania ich, a tępy zasię opór przeciw ich wielkości i hojnej dla innych potędze — zmarnował i mówiąc dalej tym trochę napuszonym stylem, zgnoił<sup>58</sup>. I tak było aż do czasów ostatnich i coraz rzadziej widzieliśmy prawdziwą wielkość między nami. Bo nie chodzi tylko o wielkość danych osobników, tylko o to też, jak ta wielkość całość bytu ludzkiego w danym społeczeństwie na wyższe szczeble podnosi<sup>59</sup>. Zaraz na ten temat pewną teorię przedstawię, opierając się na doskonałej książce panów Moreta i Davy'ego: *Des clans aux empires (Od klanów do imperiów). L'Evolution de l'humanité*. Synthèse collective. La Renaissance du livre.

## ZNACZENIE INDYWIDUUM W ROZWOJU SPOŁECZNYM I TRAGEDIA UPOŚLEDZONYCH

Wspomniani panowie: Moret<sup>60</sup> i Davy<sup>61</sup>, opisują w niezwykle ciekawy sposób tajemniczy wysoce proces powstawania zaczątków indywidualnej władzy w pierwotnym, prawie zupełnie *komunistycznym* klanie. Taki pierwszy załazek władcy, jaki widzimy w formie australijskiego klanowego „*alatumji*” (magika), jest postacią dość nieokreśloną. Według

<sup>58</sup>(...) a wszystkich prawie swoich, rzadkich zresztą, prawdziwie wielkich mężów — przez brak podtrzymania ich, a tępy zasię opór przeciw ich wielkości i hojnej dla innych potędze — zmarnował i mówiąc dalej tym trochę napuszonym stylem, zgnoił — [w pierwodruku fragmentu „Skawa” nr 2, luty 1939:] (...) a tak wielu swoich, rzadkich zresztą, prawdziwie wielkich mężów, przez brak podtrzymania ich, a tępy zasię opór przeciw ich wielkości i hojnej dla innych potędze, zmarnował i mówiąc dalej tym trochę napuszonym stylem, nie pozwolił im całkowicie swej misji na tej planecie wypełnić. [przypis redakcyjny]

<sup>59</sup>Bo nie chodzi tylko o wielkość danych osobników, tylko o to też, jak ta wielkość całość bytu ludzkiego w danym społeczeństwie na wyższe szczeble podnosi — [w pierwodruku fragmentu „Skawa” nr 2, luty 1939 zdanie uzupełnione o następujący passus:]

(...) podnosi, jak rozpuszczając się w nim potęguje nasycenie całego społecznego roztworu i aktywnością wyższą go naładowuje. (Tu następuje moja „teoria” masowo źle u nas wygranego węzłowiska upośledzenia, w związku ze szlachecką demokracją i na niej opartą kulturą.)

PS Po ukończeniu pisania *Niemitych dusz*, co nastąpiło w lecie w r. 1936, często zdarzało mi się spotykać w rozmowach z ludźmi względnie wykształconymi, a nawet w artykułach w prasie codziennej, z zupełnie fałszywym, wręcz odwrotnym zastosowaniem pojęcia „kompleksu (węzłowiska) niższości”, niż to by wynikało ze znaczenia jego w kontekście teorii Freuda. Mówiąc o puszeniu się czymś ponad zwykłą miarę i tłumacząc to kompleksem niższości, słyszałem np. zdanie: „To chyba kompleks wyższości, a nie niższości”; świadczyło to o tym, że interlokutor mój pojmował kompleks niższości jako świadome jej poczucie, a nie na odwrót, tj. jako poczucie podświadome, przy jednoczesnym świadomym sztucznym wywyższaniu się i puszeniu jako jego kompensacji. W jakiejś gazecie pisał ktoś kiedyś we wstępnym artykule o „narodowym kompleksie niższości Polaków”. którzy muszą szukać zawsze potwierdzenia w zagranicznych wzorach i uznania za granicą swych wytworów, nie mogą zdobyć się na samodzielność i zaufanie do siebie, bez sankcji jakiegoś autorytetu z zewnątrz. W ten sposób np. przesadna skromność, niewiara we własne siły, usuwanie się w cień, brak wszelkiej nadętości itp. uznawane są popularnie za objawy źle rozumianego „kompleksu niższości”. Rzecz ma się odwrotnie, co we wstępie do *Niemitych dusz* starałem się jasno wytłumaczyć: podświadome poczucie prawdziwej niższości, o którym posiadacz jego świadomie nic nie wie, ukrywając starannie ten stan rzeczy przed sobą, doprowadza go albo: 1. do dokonywania rzeczowych czynów, mających usunąć dręczącą go podświadomie zmorę, albo 2. do świadomego, ale nie programowego bynajmniej napuszania się ponad swoją prawdziwą wartość, dla pokrycia tamtych spraw sztucznie wytworzoną warstwą pseudowartości, czyli do tak zwanego popularnie „zakłajstrowania”. Tak więc posiadacz (porządnego, źle wygranego) kompleksu niższości, przy czym słowo „kompleks” oznacza podświadomość, jest raczej wstrętym megalomanem, a nie zahukany, świadomym swej niższości skromnisiem. Nie ma nic bardziej irytującego, jak kiedy tzw. „ludziska” gadają uczenie o czymś, nie mając o tym błędnego pojęcia, zamiast się poduczyć, ale jest już czymś strasznym, gdy piszą tak samo w gazetkach. Wtedy stają się szkodnikami społecznymi na wielką skalę.

[Rękopis powyższego fragmentu, opatrzony tytułem „PS do artykułu węzłowisko upośledzenia”, znajduje się w Muzeum Literatury w Warszawie; odczytany i opubl. w wyd. *Niemitych dusz* w oprac. Anny Micińskiej.] [przypis redakcyjny]

<sup>60</sup>Moret, *Alexandre* (1868–1938) — egiptolog francuski, od 1923 r. profesor College de France, od 1927 r. członek Akademii Francuskiej; współautor, wraz z Georges'em Davy *Des clans aux empires; l'organisation sociale chez les primitifs et dans l'Orient ancien* (1926), publikacji objaśniającej historycznie i teoretycznie kwestie totemizmu, władzy indywidualnej i komunistycznej oraz rozwoju społeczeństw od systemu klanowego do imperiów na przykładach ze starożytności (szczególnie Egiptu, ludów semickich i irańskich); autor *Histoire de l'Orient* 1936. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>Davy, *Georges* (1883–1976) — socjolog francuski, uczeń Émile'a Durkheima, opracował i wydał jego pisma (*Émile Durkheim: choix de textes avec étude du système sociologique*, 1911); wraz z Marcelem Mausem i Paulem Huvelin był pionierem studiów antropologicznych nad źródłami idei kontraktu. [przypis edytorski]

Frazera<sup>62</sup> (którego znam *Golden Bough*<sup>63</sup>) wszystko zaczyna się od publicznego czaro-  
dzieja; wiadomo, że magia jest najpierwotniejszą formą religii, odnoszącą się do potęg  
prawie jeszcze nieosobowych. Według mnie u podstawy ich leży cała „reszta” istnienia,  
czyli wszystko to, co nie jest „mną”, czemu ja się w pewnym sensie przeciwstawiam. Za-  
znaczę mimochodem, że jestem przeciwnikiem sprowadzania uczuć religijnych do uczuć  
życiowych, jak to czynił w swych *Wierzeniach religijnych* Bronisław Malinowski<sup>64</sup>. Jest to  
stanowisko tzw. naukowe (dla mnie „pseudo”), które polega na tym, aby nie impliko-  
wać zaraz u podstawy badań jakiejś mniej lub więcej określonej metafizyki, a właściwie  
ontologii. Ale czasem to właśnie niby-naukowe stanowisko prowadzi prostą drogą do  
stworzenia najbardziej jadowitej, bo fałszywej w dodatku, metafizyki, czego najdosko-  
nalszy przykład widzimy w tragicomedii materializmu, podjętej dziś na nowo na wielką  
skalę w trochę zmienionej postaci przez tzw. „*Wiener Kreis*”, szkołę filozofów wiedeń-  
skich<sup>65</sup>.

Prócz tego w każdym kraju znajduje się pewna ilość mniej lub więcej inteligentnych  
materialistów pseudonaukowców, których kierunek wiedeński sobie akaparuje, stwarza-  
jąc filie po świecie całym. Jak to we wszystkich moich pismach starałem się udowodnić<sup>66</sup>,  
jakaś metafizyka, w znaczeniu Ontologii Ogólnej, jest konieczna — chodzi tylko o to, *ja-  
ka*. Otóż udowodniona jest chyba dostatecznie niesamowystarczalność poglądu fizykalne-  
go (ostatnia transformacja materializmu na nim się opiera) w opisie całości świata. Pogląd  
ten tkwi korzeniami w poglądzie życiowym, w którym również tkwi cała problematyka  
filozoficzna. Pogląd fizykalny jest częścią poglądu życiowego, odpowiednio przetransfor-  
mowaną i rozwiniętą. Przy pomocy tego poglądu, wbrew twierdzeniom wiedeńców  
i innych mniej perfidnych gatunków materialistów, twierdzeniom opartym w ostatecznej  
instancji na niespełnialnych obietnicach wyników przyszłych eksperymentów<sup>67</sup>, nie mo-  
żemy absolutnie wyjaśnić istnienia zindywidualizowanej materii żywej, żrącej, przetwa-  
rzającej „materię martwą” na żywą, rozmnażającą się i regenerującą się, a nade wszystko  
nie możemy wyjaśnić istnienia czuć (a dalej myśli). Raczej jest częściowo prawdziwe psy-

<sup>62</sup>Frazer, James George sir (1854–1941) — szkocki antropolog społeczny, filolog i historyk religii; autor nie-  
zwykle wpływowej publikacji *Złota gałąź* (*The Golden Bough*, 1890); w 1914 r. otrzymał tytuł szlachecki. Frazer  
rozpatrywał religie jako fenomen kulturowy, nie stosując podejścia teologicznego, jako pierwszy opisał powią-  
zania pomiędzy mitami a rytuałami; wypracowana przez Frazera teoria totemizmu została później w antropologii  
zastąpiona teorią Claude’a Lévi-Straussa. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*Golden Bough* — pol. *Złota gałąź*; wielotomowe dzieło Jamesa George’a Frazera (1854–1941), studium sta-  
rożytnych kultów, rytuałów i mitów, oraz ich powiązań ze wczesnym chrześcijaństwem, opublikowane w 1890  
r. (w trzecim wyd. z 1915 rozszerzone do 12 tomów, w wyd. z 1936 r. uzupełnione o tom 13). [przypis edytorski]

<sup>64</sup>Malinowski, Bronisław (1884–1942) — antropolog społeczny i etnolog, współtwórca funkcjonalnej teorii  
kultury, autor koncepcji *obserwacji uczestniczącej*; przyjaciel Stanisława Ignacego Witkiewicza (Witkacego); autor  
m.in. publikacji dotyczącej genezy wierzeń religijnych *Wierzenia pierwotne i formy ustroju społecznego* (1915).  
[przypis edytorski]

<sup>65</sup>*szkoła filozofów wiedeńskich*, *Wiener Kreis* — Koło Wiedeńskie, istniejąca od 1922 r. grupa filoz. represen-  
tująca *pozytywizm logiczny*, skupiona wokół Katedry Filozofii i Historii Nauk Indukcyjnych, kierowanej przez  
Moritza Schlicka na Uniwersytecie Wiedeńskim; w jej skład wchodził: Gustav Bergmann, Rudolf Carnap,  
Philipp Frank, Hans Hahn, Victor Kraft, Karl Menger, Richard von Mises, Marcel Natkin, Otto Neurath,  
Olga Hahn-Neurath, Theodor Radaković, Rose Rand, Friedrich Waismann; wpływ na kierunek kształtowania  
się poglądów filozoficznych grupy wywarł Ludwig Wittgenstein, który uczestniczył w niektórych spotkaniach  
grupy. Ze strony polskiej kontakty z Kołem Wiedeńskim utrzymywali filozofowie ze szkoły lwowsko-war-  
szawskiej: Alfred Tarski, Kazimierz Ajdukiewicz, Leon Chwistek, Stanisław Leśniewski, Jan Łukasiewicz oraz  
Tadeusz Kotarbiński. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*we wszystkich moich pismach starałem się udowodnić, jakaś metafizyka, w znaczeniu Ontologii Ogólnej, jest  
konieczna* — patrz, kotku, mój główniak pt. *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia* (Kasa  
Mianowskiego, 1935) i artykuły w „Zecie”, „Drodze” i „Przeglądzie Filozoficznym” (XXXVI i XXXIX). [przypis  
autorski]

<sup>67</sup>*twierdzeniom (...) materialistów, opartym w ostatecznej instancji na niespełnialnych obietnicach wyników przy-  
szłych eksperymentów* — najlepiej ukatrupia się materialistę, zakładając jego najśmielsze marzenia jako spełnione:  
widzimy każdy ruszek każdego elektronu w naszym mózgu i w ciele jeźowca Driescha; czy przez to nastąpiło  
faktyczne sprowadzenie bezpośrednio danych (np. czerwonego koloru) i zjawisk regeneracji do poglądu „materii  
martwej”? [przypis autorski]

chologisticzne (poglądy Berkeleya<sup>68</sup>, Macha<sup>69</sup>, Avenarius<sup>70</sup> i najdoskonalszy, najkonsekwentniejszy pogląd Corneliusa, też mimo wszystko niesamowystarczalny — bo co robić z wielością jedności osobowości i takością, a nie innością świata?) sprowadzenie całego poglądu fizykalnego do danych „psychicznych” i wyrażenie go w terminach tych „bezpośrednio danych” (oj, dana, dana, ty moja bezpośrednio dana!), tj. części naszych przeżyć — jakości prostych: dotyków wewnętrznych (czuć organów i mięśni), zewnętrznych, barw, dźwięków, zapachów i smaków — bo z tych ostatecznie elementów, plus wspomnienia i wyobrażenia, ujętych w zespoły, czyli kompleksy, składają się ostatecznie tak nasze najsubtelniejsze uczucia, jak i najbardziej wzniosłe czy abstrakcyjne myśli, poza ich utrwaleniem w odpowiednich znakach. Ale tam, gdzie dla mnie jest „kupa jakości”, tam jest pani X sama dla siebie jako taka, rozciągnięta, cielesna, i na to nie ma rady, i tu zaczyna się właśnie monadyzm; bo czymże jest tzw. „materia martwa”, jeśli nie zbiorowiskiem takich bytów samych dla siebie (cielesnych jaźni), jeśli w ogóle realnie trwa, a nie jest majakiem idealistów, cudownie dla jedności świadomości skonstruowanym „intencjonalnym korelatem” ich „intencjonalnych przeżyć”? Fu — do czorta! Podobnym do błędu materialistów i psychologów jest błąd antymetafizycznych antropologów, etnologów i socjologów, chcących z niczego zrobić coś i ze strachu, miłości i głodu, tych uczuć fundamentalnych „życiowych”, tylko w jakichś niesamowitych natężeniach, stworzyć nowy wymiar: magiczny, a dalej religijny przeżywania, będący podstawą dalszej transformacji w pojęcia: „mana”<sup>71</sup> totemicznych konstrukcji i innych wyższych kultów, aż do czci jednego Boga. Otóż nie, największe natężenie głodu i strachu (zwykłego, tzn. przed określonym niebezpieczeństwem) nie potrafi stworzyć zupełnie nowego wymiaru religijnego przeżywania. Wymiar ten stwarza się w erotyzmie, bo tam wchodzi już w grę dziwność innego, podobnego stworzenia i zupełnie specyficzny do dziwności tej stosunek chwilowy, nietrwający ciągle i stale. Można by to samo powiedzieć o głodzie; ale tu jest przepaść, bo w miłości występuje kwestia drugiej „jaźni”, co zawiera już w sobie pewien element tajemniczości, podobnie jak sam fakt przeciwstawienia się cielesnego „ja” temu, co nim nie jest i którego częściami są inne, podobne temu „ja” stwory. Czyli w samym fakcie istnienia ograniczonego stworu żywego jest pewna tajemniczość jego dla niego samego, a także tajemniczość otaczającego świata, niebędącego nim, a wypełnionego podobnymi stworami. Bez tej „metafizyki” koniecznej — raczej prymitywnej, koniecznej ontologii za metafizykę w złym znaczeniu tego słowa uznanej, bo metafizyka<sup>72</sup> znaczy tylko to, czego w terminach czystego poglądu fizykalnego opisać absolutnie nie możemy (a więc psychologia i biologia wraz z anatomią, fizjologią, a dalej z paleontologią i historią wszystkich żywych stworzeń i ludzkiego rodzaju, a dalej socjologia) — nie da się stworzyć specyficznych uczuć religijnych jako zlepków z dobrze znanych z najcodzienniejszego przebiegu codziennego dnia uczuć życiowych. Wtedy, gdy to staramy się zrobić (a nie wtedy, gdy wpadamy w „metafizykę” pozornie, według naukowców typu materialistycznego i pochodnych), deformując rzeczywistość, fałszujemy ją właśnie gruntownie pod pozorem

Religia, Erotyzm

Filozof, Nauka

<sup>68</sup>Berkeley, George (1685–1753) — filozof irlandzki, biskup kościoła anglikańskiego, zwolennik skrajnego empiryzmu epistemologicznego; autor maksymy *esse est percipi* (łac.: być znaczy być postrzeganym); twórca idealistycznego systemu filozoficznego skierowanego przeciwko poglądom materialistycznym, w którym byt rzeczywisty mają tylko Bóg oraz umysły, zaś świat zewnętrzny istnieje jedynie jako zespół idei umysłu. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Mach, Ernst (1838–1916) — austriacki fizyk i filozof; profesor na uniwersytecie w Grazu, Pradze, Wiedniu; zajmował się mechaniką (zasada Macha), aerodynamiką, termodynamiką i optyką; twórca *empiriokrytycyzmu*, nurtu filoz. postulującego usunięcie z nauki czynników i pojęć metafizycznych i subiektywnych poprzez sprowadzenie tekstu naukowego do skrótowego opisu zjawisk danych w bezpośrednim, „czystym” doświadczeniu. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Avenarius, Richard Heinrich Ludwig (1843–1896) — filozof niemiecki, jeden z twórców (obok i niezależnie od E. Macha) *empiriokrytycyzmu*, postulującego konieczność usunięcia z nauki pojęć subiektywnych, apriorycznych i metafizycznych, ograniczenie jej do opisu „czystego doświadczenia”, do ekonomicznego, tj. skrótowego zapisu zjawisk; od 1876 profesor uniwersytetu w Zurychu, autor m.in. *Ludzkiego pojęcia świata* (1891). [przypis edytorski]

<sup>71</sup>mana — zawsze mi przychodzi na myśl, że w dźwiękowej analogii do manikiury i pedikiury przodkowie pederastów musieli czuć nie wielkie „mana”, ale jakieś wielkie „peda”. [przypis autorski]

<sup>72</sup>metafizyka znaczy tylko to, czego w terminach czystego poglądu fizykalnego opisać absolutnie nie możemy — niezależnie od przypadkowego pochodzenia tego słowa z tytułu pewnej książki Arystotelesa następującej po *Fizyce*. Ale ten przypadek udał się: metafizyka to jest to wszystko, co nie jest zawarte w fizyce, a więc psychologia i biologia też. [przypis autorski]

twierdzenia, że nie można dziękemu Arunta<sup>73</sup> czy Kuakiutl<sup>74</sup> imputować naszego, oparte-  
tego na długowiecznej kulturze światopoglądu. Zaprzeczamy wtedy temu podstawowemu  
faktowi, że istnienie (IP) (żywego stworu) jest przeciwstawieniem się jego całej strasznej  
i tajemniczej w najwyższym stopniu dookolnej rzeczywistości, że jest to fakt pierwotny,  
którego pewnego rodzaju zrozumienie wymaga minimum świadomości refleksyjnej, ja-  
ką już w wysokim stopniu przez mowę obdarzone są ludy najpierwotniejsze; a tkwi dalej  
po prostu w fakcie jeszcze pierwotniejszym: koniecznego ograniczenia każdego stworu  
w nieskończonym świecie i niepojętości zasadniczej dla niego samego tak istnienia jego  
samego, jak i tego świata.

Obraz świata, Wiedza

Nie biorąc tego stanu rzeczy pod uwagę, tylko rozpatrując uczucia religijne i ich  
wytwory jedynie jako pewną fantazję z punktu widzenia oddziwnionego kompletnie co-  
dziennego poglądu życiowego najpospolitszego naszego cywilizowanego człowieka pry-  
mitywnego (np. zmechanizowanego robotnika, urzędnika albo behawiorysty), wtedy do-  
piero fałszujemy kompletnie i beznadziejnie stan rzeczy, który opisać mamy.

Zwierzęta, Obraz świata,  
Tajemnica

Dlaczego zaś pierwotny człowiek wybiera zwierzęta i rośliny jako pierwsze pochodne  
uosobienia nieokreślonego, bezosobowego „mana”, będącego według mnie pierwotnie  
całym dookolnym światem, wydaje mi się znajdować objaśnienie w tym stanie rzeczy, że  
stworu te, wykazując pewne analogie do jego własnej osoby i jego jednogatunkowców,  
posiadają, poza pewną określoną indywidualnością osobową, właśnie pewną dziwność  
i odrębność, która nadaje się najlepiej do symbolizowania tajemniczych potęg opiekuń-  
czych lub złowrogich, w każdym razie tajemniczych (bo pochodnych od samej Wielkiej  
Tajemnicy) przestrzeni otaczających Istnienia w całości. Ciekawe jest — zaobserwowa-  
łem fakt ten w muzeach australijskich, nieporównanych jako bogactwo etnograficznego  
materiału — że u dzikich o większej stosunkowo kulturze, wyobrażających w drzewie  
i kamieniu swoje bóstwa, twarze tych ostatnich stanowią zupełne przeciwieństwo typu  
posiadanego przez ich twórców. To samo daje się zauważyć w rzeźbach murzyńskich.

Ale dość tej dygresji — wróćmy do pierwotnego klanu totemicznego jako organizacji  
społecznej.

W najpierwotniejszej formie swej jest to społeczeństwo bardzo ograniczone (pre-  
ważnie najwyższymi jednostkami są dwie fratry, podzielone na pewną ilość klanów —  
wyższe skupienia tworzą się dopiero przy już bardziej rozwiniętej i skonsolidowanej wła-  
dzy) co do ilości członków, żyjące prawie że w komunistycznej wspólnocie wszystkich  
dóbr, pierwotnie o macierzystym dziedziczeniu nazw, totemów<sup>75</sup>, odznak. Potem do-  
piero, w miarę osiedlania się koczowników i przejścia w wyższy stan kultury rolniczej,  
następuje zmiana macierzystego dziedziczenia na ojcowskie.

Zauważyć trzeba, że pierwotni dzicy nie mają pojęcia, że stosunki płciowe wywołują  
zapłodnienie kobiet, i wierzą, że wszyscy pochodzą wprost od totemu klanu, który bez-  
pośrednio (przy przejściu np. niedaleko niego) zstępuje na swoją oblubienicę. U wielu  
dzikich ojciec żyje w chałupie żony swej jedynie jako partner płciowy, niania swych dzieci  
(o których nie wie, że od niego pochodzą) i robotnik domowy i leśny (myśliwy), a rządzi  
rodziną brat jego żony, uważany za istotnego tej rodziny władcę, będący u siebie w domu  
takimże niepozornym faktotum<sup>76</sup>.

Ale nie o to chodzi. Główną sprawą, która nas tu zajmuje, jest fakt, że totemiczny klan  
komunistyczny w dalszym swym rozwoju wytwarza jednostkową, indywidualną władzę,  
aby — najwyraźniej — móc rozwijać się dalej i pozwolić członkom swym osiągnąć wyższy  
stopień kultury. Dzieje się to tak automatycznie, instynktowo, a nie programowo oczy-

<sup>73</sup>Arunta a. Arandowie — lud Aborygenów dawniej koczowniczy, obecnie zamieszkujący środkową Australię  
(okolice miasta Alice Springs), w których wierzeniach ważną rolę odgrywał totemizm. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Kuakiutl, właśc. Kwakiutlowie — grupa plemion Indian północnoamerykańskich zamieszkujących płn.  
część wyspy Vancouver i wybrzeża kanadyjskiej prowincji Kolumbia Brytyjska (oba tereny przedzielone przez  
cieśninę Królowej Charlotty); tradycyjna kultura tych plemion oparta jest na totemizmie i instytucji potłaczki;  
jednym z ważnych badaczy Kwakiutłów był Franz Boas. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>macierzystym dziedziczeniu nazw, totemów — to znaczy zwierzęcia będącego wspólnym przodkiem całego  
klanu. Przy tym ściśle przestrzegana jest egzogamia, czyli prawo żenienia się i wychodzenia za mąż tylko poza  
obrębem klanu, jako środek instynktowy przeciw degeneracji; siostra jest największym „tabu”. [przypis autorski]

<sup>76</sup>faktotum (z łac. *fac totum*: rób wszystko) — totumfacki, prawa ręka, służący do wszystkiego, popychadło.  
[przypis edytorski]

wiecie, jak wszelkie cuda instynktu u owadów, opisywane przez Fabre'a<sup>77</sup>. Wygląda na to, że życie społeczne o pewnym stopniu kultury, a nade wszystko związana z tym stopniem mowa, w związku z rozwojem kory mózgowej (ośrodków asocjacyjnych), co jest podstawą poprzednich zjawisk i wzbogaceniem na tym tle życia psychicznego, wymusza dalszy rozwój w pewnym kierunku, który może dalej polegać na podniesieniu kultury duchowej i niesłychanym, w stosunku do pierwotnych warunków, podniesieniu stopy życia pewnych członków tego społeczeństwa, raczej całych klas, na niekorzyść innych; te inne traktowane są przez demona gatunku raczej jako pewnego rodzaju gatunkowa gleba, na której rosną dopiero rzadkie okazy wybitnych indywiduali, prowadzących całość danej grupy ku wyższym jeszcze stopniom kultury i wyższym przeznaczeniom. Natrafiamy tu też na jakies prawo „transcendentalne”, absolutne, które widać musi rządzić wszelkimi możliwymi zjawiskami społecznymi w całym wszechświecie; prawo rozpuszczania się — w znaczeniu roztworu — wielkich ludzi w masie ludzkości, która rosnąc przez to w potęgę, utrudnia pojawianie się nowych wielkich indywidualności aż do zupełnego ich zaniku i zaniku indywidualnej twórczości.

Nie będę tu wchodził w szczegóły rozwoju indywidualnej władzy, tak świetnie przedstawione w książce Moreta i Davy'ego (warto by ją przetłumaczyć na polski zamiast tuzina np. jakichś obskurnych powieści, służących tylko do jeszcze większego zakłajstrowania i zagwazdrania mózgów naszej z dnia na dzień spadającej w umysłowej kulturze publiki). Ograniczę się tylko do paru słów.

Z tego, co różni ludzie piszą, widać, że powstawanie indywidualnej władzy nie jest procesem tak bardzo jednoznacznie dla wszystkich wyklarowanym. Są duże dywergencje zdań co do ważności różnych czynników tego procesu; jedno widać jasno, że proces ten jest złożony i że różne czynniki skupiają jakby swe wysiłki, aby władzę tę ukonstytuować. Jest to melanz społeczno-religijny, przy czym robi wrażenie — o ile można puścić się na nic niewyjaśniające zresztą skrótowe hipostazy — jakoby „demon gatunku”, chcący go podnieść na wyższy stopień (prawo ewolucji jest jednak faktem — jest to integralny element samego istnienia indywiduum i gatunku), zużytkowywał poczucie Tajemnicy Istnienia dla celów organizacyjno-społeczno-kulturalnych i przy pomocy sankcji magiczno-religijnych umacniał władzę wybitnej jednostki, która to władza ma źródło swe w istnieniu rodziny rządzonej ostatecznie zawsze przez kogoś, a nie stanowiącej bezstrukturalną masę. Tak jak coś jest w nas, co pcha nas do zakreślenia pewnej — stałej w pewnych granicach dla wszystkich — linii rozwojowej, która jest istnieniem naszym, tak samo jest coś takiego w gatunku. Takie pojęcia jak „*elan vital*” Bergsona<sup>78</sup>, wprowadzone jako ogólne skróty dla pewnych faktów, mogą być przyjęte na końcu danego systemu wykazującego konieczność danego stanu rzeczy przy pomocy innych pojęć; umieszczone na początku, jako niby pierwotne pojęcia hipostazyjne (lepiej niż hipostazyjne), nie wyjaśniają nic, tylko uwalniają — na tle powierzchownego (jak w wierze jakiejś dogmatycznej) uspokojenia — od dalszego badania ich źródeł w głębszych koniecznościach samego faktu istnienia żywego stworu, w wielościach indywiduów tego samego gatunku wśród „materii martwej”.

Specjalnie interesuje mnie tu nie skład tego *cocktailu* organizacyjno-religijnego, stanowiącego pierwszy stopień władzy, z którego ona, jakoś jeszcze odrętwiała i niemrawa, nie może ruszyć ku dalszej konsolidacji, ile stopień dalszy, którego warunki stwarza znów demon gatunku (skrótowo-zastępcze wyrażenie antyhipostazyjne) przez instytucję zwaną

Władza

<sup>77</sup>Fabre, Jean Henri Casimir (1823–1915) — fr. humanista, przyrodnik zajmujący się zwłaszcza entomologią, pisarz i poeta, nauczyciel szkolny i pedagog; jego główne dzieło, *Souvenirs entomologiques* (wyd. 1879–1907), obejmuje 10 tomów, było tłumaczone na 15 języków, również (w wyborze) na polski (*Z życia owadów* 1916). [przypis edytorski]

<sup>78</sup>Bergson, Henri (1859–1941) — francuski pisarz i filozof, intuicjonista i twórca koncepcji *elan vital*, tj. pędu życiowego, stanowiącego źródło aktywności wszystkich organizmów. [przypis edytorski]

„*potlatsch*”<sup>79</sup>. Robi to znowu wrażenie, jakby wyrwanie komunistycznego totemicznego klanu z jego samozadowolonego marazmu przy pomocy środków sankcyjno-religijnych nie doprowadziło do pożądanego rezultatu w kwestii uintensywnienia rozwoju. Wszystkie dane są: skrawek kory mózgowej w pysznym gatunku gotowy; jest prymitywna, niezbyt bogata może w osobne słowa dla podobnych rzeczy mowa; są zaczątki kultury materialnej (narzędziowej), mogącej rozwinąć się daleko; jest ogień; jest wiara, która nadaje już władzy nimb metafizyczny, a klan nie rusza się w dalszą drogę. A tu stworzywszy to wszystko, trzeba wyzyskać warunki do stworzenia wyższych wartości<sup>81</sup> — wszak (ohydne słowo, a tu muszę go użyć) żyje się tylko raz: gatunkowo i indywidualnie tak samo. Raz pewno tylko na całą wieczność powstały *takie* akurat wymoczki, płazy i ssa-ki, no i my też. „A nuże” — jak dziwnie krzyczały makbetańskie czarownice — trzeba wykorzystać ten niepojęty cud istnienia jak najpełniej i najpotężniej; gatunek — ma się wrażenie — „myśli” zupełnie tak jak indywidualium: oczywiście „myśli” tak sumą indywidualiów, z których się składa.

Poza płciowymi przeżyciami samce nie są bardzo zdolne do rywalizacji, wolą zasadniczo być spokojny i zrównoważony. A tu tylko ostra rywalizacja może wykrzesać coś nowego z zasypiających w wygodzie tych właśnie, w których tłąca się potencjalnie, a odpowiednio rozdmuchana wyższość nad innymi może pchnąć całą grupę na wyższe tory przeznaczeń. Nie będę wdawał się tu w detale tak świetnie opisane w cytowanej książce francuskiej. Z pół religijnych, pół na ekonomicznej podstawie<sup>82</sup> opartych świadczeń w naturze między grupami organizacyjnymi wytwarza się powoli owa ciekawa instytucja indywidualnego „*potlatschu*”, jakby pewnego rodzaju pojedynku bez broni, w którym chodzi o to, aby zaćmić w jakikolwiek sposób przeciwnika, wywyżżyć się ponad swe otoczenie i następnie (i to mi się wydaje istotne, jakkolwiek nie jest zaakcentowane u wspomnianych autorów) dociągać całą grupę do swojego podwyższonego poziomu. Tu jest istota społecznego znaczenia „*potlatschu*” i wynikającej z niego wszelkiej władzy. Wydaje się, jakby sam klan komunistyczny nie był w stanie wydzwignąć się z danego niskiego [w] stosunku do możliwości tkwiących w korach mózgowych jego członków [poziomu] na wyższy poziom kultury, na wyższy, potencjalnie już jakby istniejący jej szczebel. Musi powstać władca posiadający specjalne właściwości, przewyższający całe otoczenie siłą fizyczną, odwagą, inteligencją i zdolnością narzucenia swojej woli innym, musi wziąć klan za mordę i przez tresurę całej grupy, którą będzie starał się dociągnąć do swojego standardu (czyli wzorca?), rozpuści w niej tę siłę swoją jak cukier w ciepłej wodzie, uczyni własnością wszystkich, podwyższając natężenie duchowe, a przez to i materialną kulturę całego otoczenia. Wydaje mi się, że przebieg historii jest taki, że do pewnego punktu obie wielkości: natężenie indywidualium władającego (względnie jego najbliższego otoczenia i tych, między których ono rozdziela swą władzę) i natężenie całości społeczeństwa utrzymuje się w pewnej równowadze, przy czym następuje powolny podział na kasty, a dalej na klasy. Władca nie rozpuszcza się w swej potędze równomiernie między wszystkich i stwarza (również prawdopodobnie dla celów doraźnych, a w gruncie rzeczy instynktowo dla celów dalekodystansowych, gatunkowych) nierówności społeczne i różne napięcia społecznego potencjału wewnątrz grupy, która też przez to w całości wzmaga

Cud, Los, Obraz świata,  
Kondycja ludzka

Władza, Państwo

<sup>79</sup>instytucja zwana *potlacz* — ceremonia składania darów praktykowana przez plemiona zamieszkujące Północno-Zachodnie Wybrzeże Ameryki Północnej w przełomowych momentach życia członków tych społeczności (narodziny, inicjacje, osiągnięcie pełnoletności, zaślubiny, śmierć, a także wojna, nieszczęśliwy wypadek, wyznaczenie spadkobiercy czy okazanie mocy religijnej); instytucję tę analizowali m.in. Alan McMillan, Ruth Benedict czy George Peter Murdock; jako podstawową funkcję *potlaczu* wskazywano podtrzymywanie i potwierdzanie swego prestiżu i rangi, ale także po prostu dystrybucję dóbr. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*potlatsch* — zachowuję pisownię międzynarodową: samogłoski jak we włoskim, spółgłoski jak w angielskim; zdaje się, że zasada ta co do słów oryginalnych stosowana jest powszechnie. [Obecna pisownia polska: „*potlacz*”, tak jak się wymawia po polsku; red. WL.] [przypis autorski]

<sup>81</sup>stworzywszy to wszystko, trzeba wyzyskać warunki do stworzenia wyższych wartości — o ile to będą właśnie wyższe wartości, można oczywiście z pewnego punktu widzenia kwestionować, o ile weźmiemy pod uwagę gnębicielstwo potworne warstw upośledzonych, rozpoczęte za wielkich mocarstw starożytnych i trwające właściwie aż do naszych czasów. Ale za to kultura! A może bez niej byłoby lepiej pewnym ludziom? A może by tych ludzi wcale nie było? [przypis autorski]

<sup>82</sup>Z pół religijnych, pół na ekonomicznej podstawie opartych świadczeń w naturze między grupami organizacyjnymi wytwarza się powoli owa ciekawa instytucja indywidualnego „*potlatschu*” — ciekawe jest to, że nie zawsze względy ekonomiczne usprawiedliwiają skomplikowane wymiany płodów i produktów między grupami: klanami czy fratriami. [przypis autorski]

swoją twórczość we wszystkich dziedzinach. Do tego przyczyniają się wojny, ten „*potlatsch*” międzygrupowy, a dalej międzynarodowy. Po pewnym czasie występują objawy pewnego skostnienia tego ustroju; klasy rządzące przez ciągłe łączenie się między sobą degenerują się (prawo „egzogamii” nie jest w tym wypadku — na tle kwestii dziedziczenia dóbr i honorów — zachowane), a jednocześnie następuje coraz większe rozprzestrzenienie się i równomierniejsze rozłożenie dóbr duchowych między całą grupę („naród”), przy jednoczesnej nierównomierności materialnej. Następuje przeganianie się klas w pewnego rodzaju wyścigu i ostatecznie dawna struktura — na skutek samouświadomienia się i potęgi klas dorabiających się takiej, że aż przerastającej potęgę indywiduum w ogóle (a specjalnie rządzącego osobnika i jego najbliższej klasy: „podpór tronu”) — rozpada się i następna klasa (dorabiająca się) dostaje władzę w swoje ręce. Po czym następuje okres „kłamliwy”, zdaje się też konieczny, tzw. demokracji, czyli panowania kapitału. Początkowo kapitał tworzy nowe wartości kulturalne, przez swą koncentrację koncentrując organizację mas, po czym zaczyna się zmieniać w pasożytniczą na ludzkości nowotwora, grzebiącego większą część jej w swoich konstrukcjach i zużytkowującego cynicznie dla swych celów (zysku) dawne pozytywne nigdyś i twórcze uczucia narodowe w postaci wojen. Międzynarodowej organizacji kapitału przeciwstawia się międzynarodowa organizacja robotnicza (czasowo też u początku swego istnienia na małych odcinkach kompromisowa organizacja faszystowska), po czym kapitał prywatny zostaje usunięty na korzyść samorządzącego się państwa pracy, obejmującego całą ludzkość i organizującego racjonalną (w przeciwieństwie do dzikiej, dla zysku) wytwórczość i rozdział dóbr.

Cóż się dzieje w tym przewrocie z indywiduami władczymi, z typami dawnych władców? Następuje kompletna transformacja władcy rozpuszczającego mimo woli potęgę swą wśród mas na władcę-sługę klas dorabiających się: początkowo trzeciego, a potem czwartego stanu<sup>83</sup>.

Zdaje się, że ten proces jest nieunikniony i jeśli kultura wyższa ma być na jakiejś planecie, wśród jakichś (IPN), (żywych stworów)<sup>84</sup> operujących mową, osiągnięta, to musi to odbywać się mniej więcej w taki sam sposób, jak u nas.

Od razu nie można osiągnąć i wyższej kultury, i ogólnego szczęścia: najpierw jedno, poprzez męki uciśnionych — musi być ludzka miazga, na której wyrastają pyszne kwiaty wielkich indywiduów-obdarzycieli całości, a potem dopiero drugie, na tle samouświadomienia się masy i już innego gatunku zaprzężenia wielkich indywiduów (ale już innego typu) do świadomej pracy dla dobra całej ludzkości.

Nie jestem tutaj jakimś „rzecznikiem wstecznictwa”: przeciwnie, mam najradykałniejsze przekonania społeczne (można by to nazwać pewną formą nie falansterowego, broń Boże, socjalizmu<sup>85</sup>) — chodzi mi tylko o to, czy może być zasadniczo inny przebieg procesu wytworzenia idealnego szczęścia na ziemi, tj. braku nędzy i nierówności dóbr przy jednoczesnym wysokim kulturalnym poziomie; przychodzę do wniosku, że nie. Jest to, zdaje się, tragedia wszelkich gatunków (IPN) we wszechświecie. Chodzi tylko o to, aby kłamliwy — pozornie dający równy start dla wszystkich, a w gruncie rzeczy implikujący najohydniejsze niewolnictwo — okres fałszywej, zakłamanej demokracji trwał jak najkrócej. Niestety, nie możemy przetelegrafować naszych zdobyczy na księżyc Jowisza, gdzie może tworzy się właśnie jakaś ludzkość w postaci odpowiadającej naszej Rewolucji Francuskiej. Ba (jak to mówią i piszą niektórzy), sami dla siebie nie umiemy wyprowadzić najprostszyc wniosków z naszej własnej historii. Zamiast rewolucji od góry, która mogłaby dać szczęście milionom, bez żadnego rozlewu krwi, przy pomocy jednego de-

<sup>83</sup>kompletna transformacja władcy rozpuszczającego mimo woli potęgę swą wśród mas na władcę-sługę klas dorabiających się: początkowo trzeciego, a potem czwartego stanu — nic tak nie irytuje, jak gadanie różnych „spłyciarzy” (I, Ió, Ładoga), że — „panie dziejku” — wszystko jest samo, władza jest zawsze, i Stalin czy Lenin to to samo, co Wilhelm II, a ten to to samo, co Napoleon, Ludwik XIV, Cezar i Aleksander Wielki. Ludzie ci nie widzą kompletnego przemieszczenia typów ludzkich i klas na danych położeniach społecznych w ciągu historii, widzą zaś banalne i powierzchowne analogie, które są zupełnie nieważne. [przypis autorski]

<sup>84</sup>IPN (żywych stworów) — (IP): Istnienie Poszczególne, stwór żywy cielesno-osobowy; (N): liczba mnoga. [przypis autorski]

<sup>85</sup>mam najradykałniejsze przekonania społeczne (można by to nazwać pewną formą nie falansterowego, broń Boże, socjalizmu) — raczej prawdziwej bezklasowej demokracji z „domkiem z ogródkiem” i względną swobodą indywidualną w granicach organizacji ogólnej. [przypis autorski]



kretu podpisanego przez uświadomionego co do obowiązków swych władcę, co chwila widzimy wyrzucanych gwałtem władców tych, którzy z dziwnym uporem trzymali się beznadziejnie swych fikcji, oraz walkę klas, która jest widać złem koniecznym, nie do uniknięcia na tym tzw. „padole”.

Chodziłoby o to, aby zmądrzały nareszcie klasy rządzące tam, gdzie nie zostały jeszcze zmienione przez władców innego typu, pochodzących z zupełnie innych warstw społecznych i psychicznych — to najważniejsze — i zaczęły robić rewolucję od góry, póki czas. Mając w swym ręku skondensowaną już władzę, nie potrzebując z trudem jej zdobywać, jest to po prostu igraszka: parę dekretów i koniec. Ale przekleństwem ludzi władających tego typu jest to, że muszą być — po niepotrzebnym wylaniu rzek krwi, cofnięciu kultury, zniszczeniu tzw. kulturalnego dorobku — na zbity łeb wylani, choć mogliby być błogosławionymi po wieczność dobroczyńcami ludzkości. Mieć władzę i nie użyć jej dla dobra większej części społeczeństwa, i popierać międzynarodową bandę wyzyskiwaczy i maniaków siły kapitału dla jego siły — jest mimowolną czasem, ale jednak zbrodnią. Ale rewolucja od góry jest widać niespełnialną utopią, bo mężowie stanu są to przede wszystkim ludzie nieumiejący wyciągać wniosków z przeszłości na przyszłość, niedbający o dobro ogółu w szerokim znaczeniu tego słowa i jeśli nie dbający o wartości osobiste, jakie daje władza, to w każdym razie zapatrzeni w jakieś fikcyjne prestiże, wielkomo-carstwowe imperializmy i niewidzący tego, że ziemia pali się im pod nogami. „A nuż za mojego życia nie trzeba będzie zrezygnować”, tak sobie myśli każdy albo z powodów ogólnoi-deowych, albo osobistych. Ale te elementy splatają się czasem w nierozdzielną całość, a u „niemytych dusz” łatwo jest bardzo o wszelkie podstawienia, mniej lub więcej wygodne. Utożsamić się z ideą, „jedząc langustę w cylindrze”<sup>86</sup> (tzn. mając samemu cylinder na głowie, a nie to, że niby sama langusta itd. — nie warto gadać, jak mówił pewien stary hrabia), jest bardzo łatwo; trudniej jest uczynić to siedząc w smrodliwym więzieniu i będąc zjadanym przez robactwo i bitym systematycznie po mordzie: są idee wygodne i niewygodne. Uświadomić sobie niewygodną ideę i wprowadzić ją w czyn jest bohaterstwem. Mało jest bohaterów na czołowych stanowiskach kuli ziemskiej: są albo szczerzy stronnicy ginącego świata w imię przebrzmiałych w istocie dawno już fikcji, albo cynicy. Fikcje te zdają się być potrzebne tylko jeszcze jedynie przedstawicielom gnijącego nowotworu — kapitału, dla ich potwornych przedśmiertno-drgawkowych machinacji<sup>87</sup>. Trudno — rewolucja od góry jest widać beznadziejną utopią, a podburzanie i rewoltowanie rządzącej elity — co tu na małą niezmiernie skalę robię — pracą beznadziejną i niewdzięczną.

Jeśli tylko wyjątkowi ludzie mogą świadomie zmniejszyć materialny standard swego życia na rzecz innych ludzi lub jakichś wartości duchowych, trudno wymagać tego od osobników rekrutujących się przeważnie z klas, którym zależy na jak najdłuższym przynajmniej utrzymaniu *status quo ante*, lub też będących dorobkiewiczami, arywistami z klas niższych.

Niezaprzeczalnym faktem historycznym, dotąd ważnym na naszej planecie (ale zdaje się, że i wszędzie nieuniknionym — przynajmniej inna droga osiągnięcia pewnych wartości jest niewyobrażalna), zdaje się być konieczność epoki, w której tworzą się wielkie organizmy państwowe, oparte na władzy jednostki lub nielicznej grupy najbliższego jej otoczenia i na nierówności, na hierarchii klas, przy czym najniższe klasy zmuszone są wieść żywot względnie nędzny, nie mogąc sobie nawet uświadomić w tych warunkach bezcennej wartości samego faktu istnienia w związku z olbrzymią przewagą ujemnych przeżyć: po prostu i niedelikatnie mówiąc, *życie ich jest torturą*. Ten stan rzeczy, potworny i ohydny w swej istocie — jeśli staniemy na punkcie widzenia istotnej zasadniczej równości potencjalnej wszystkich członków naszego gatunku (a świadczy o tym wybijanie się wyjątkowych osobistości z klas najniższych przy odpowiednich warunkach) — jest

Władza, Pozycja społeczna,  
Rewolucja, Zbrodnia

Władza

Idealista, Pozycja społeczna,  
Bohaterstwo

<sup>86</sup> Utożsamić się z ideą, „jedząc langustę w cylindrze”, jest bardzo łatwo — można by jeszcze dodać „w *sleepingu*”: szczyt niewygody. [przypis autorski]

<sup>87</sup> Fikcje te zdają się być potrzebne (...) przedstawicielom gnijącego nowotworu — kapitału, dla ich potwornych przedśmiertno-drgawkowych machinacji — faszyzm, nie tylko włoski oczywiście (ten ostatni zdrowy jeszcze od-ruch dawnej ludzkości, raczej dawnej jej, upadającej indywidualistycznej elity), też nie lubi tego gnijącego cielska i chce z nim walczyć. Ale z założenia samego rady sobie z tym nie da i może być raczej przez nowotworowe czynniki zużyty, czyli wygranym. [przypis autorski]

widać, na nieszczęście, konieczny dla stworzenia podwalin kultury i materialnej, i duchowej, na której podstawie dopiero, przy ukróceniu jednostki przez organizującą się masę, świadomą już swych dróg i możliwych osiągnięć w przyszłości, może powstać możliwość ogólnego szczęścia i sprawiedliwości, przy zachowaniu zdobytej już kultury — ale za cenę pewnego zmniejszenia natężenia porywu indywidualnej twórczości. Czymś trzeba za to zapłacić — to trudno. Asceta za swą wewnętrzną doskonałość płaci wyrzeczeniem się bogactwa przeżyć i użycia — musi zapłacić i ludzkość, z tym trzeba się pogodzić. Jeszcze przed wojną, w r. 1912 i [19]13, doszedłem do wniosku, że za cenę doskonałości uspołecznienia ludzkość musi zapłacić: a) końcem religii (i tak zresztą w naturalny sposób kończącej swą rolę długowiecznej wychowawczyni ludzkości) jako „pierwszego metafizycznego przybliżenia”<sup>88</sup>, b) samobójstwem filozofii — w postaci negatywnego raczej (ograniczającego granicę Tajemnicy, implikowanej przez niemożność zdefiniowania wszystkich pojęć systemu i konieczność przyjęcia pojęć pierwotnych) co do swych wyników systemu ogólnego, do którego zdążamy i który połączy pozorne sprzeczności, implikowane przez istnienie w każdym ujęciu pojęciowym i c) upadkiem sztuki, która wyczerpawszy przedwcześnie wszystkie środki działania, musi skończyć się albo w powtarzaniu tego, co było, albo w zupełnej perwersji, obłędzie i dezorganizacji swych form konstrukcyjnych. Oczywiście dawniej, zaledwie wychylając się ze swego arystokratyczno- (ale nie w hrabskim znaczeniu) -estetycznego światopoglądu, podszytego zwątpieniem filozoficznym na tle utknięcia w systemie Corneliusa, którego studiowałem od dziesiętnastego roku życia, byłem z wymienionych wyżej powodów w rozpacz. Teraz, po wyrzeczeniu się sztuki i napisaniu mego główniaka (1917–1932), pogodziłem się z tym wszystkim jako z wielką koniecznością dziejową i sądzę, że tak powinni pogodzić się z tym wszyscy, a wtedy zapamiętuje raj na ziemi: niestety łatwiej byłoby to zrobić mnie niż np. Karolowi Rumuńskiemu. Trudno. Wyciekną tzw. morza krwi, kultura się cofnie, nic się już wartościowego w wymiarach tej walki po stronie tzw. „konserwy” nie stworzy — to jest „więcej niż pewne”, jak to mówią — a wyjdzie na to samo, gdyby bez tych wszystkich ujemnych stron tego procesu ktoś nacisnął guzik i jednym dekretem zmienił kurs całej historii świata. Ale ci, którzy mają w swych rękach napięcia społecznego na kwindycyliony parowych Aleksandrów Macedońskich, wolą tę siłę powoli zmarnować, aby zgniła im w ręku, wolą żyć poniżej samych siebie lub być sługami ginącego świata, gnijącego nowotworu, niż zużyć ją we właściwy sposób, choćby mieli przy tym sami pęknąć lub co najmniej zmniejszyć standard życia i osobistego napuszenia władzy na wzór dawnych tyranów.

Upadek

Czy okres gnębienia warstw niższych i tworzenia kultury indywidualnej, z której potem korzystać może dalszy rozwój kultury kolektywnej, społecznej, jest absolutnie konieczny, nie moim zadaniem rozstrzygnąć tu definitywnie; w każdym razie konieczność ta wydaje się nieskończenie prawdopodobna.

Historia, Obraz świata

Następuje powolne rozpuszczanie się wielkich ludzi w ludzkość i powolne wzrastanie siły klas tzw. niższych, przy czym następuje powolne również przemieszczanie się typu władcy, przy jednoczesnej jego transformacji, z jednej warstwy do drugiej. Przykładem niech będzie panowanie nad światem dzisiejszej finansjery, należącej do stanu trzeciego, który zwałił (raczej zaczął walić) świat wielkich mocarstw i „dobrze urodzonych” władców dawnego typu od Egiptu i Asyrii do Rewolucji Francuskiej. Dawni władcy, o ile się utrzymali za cenę kompromisu, grali i grają rolę błazeńskich, symbolicznych postaci, będących w gruncie rzeczy marionetkami w rękach istotnych rządców świata, podobnie jak narzędziami ich są idee narodowo-szowinistyczne, narzędziami koncentracji ich ponadnarodowej potęgi, mającej źródło w zysku bez względu na dobro i potrzeby reszty ludzkości. Dlatego skrajni, szczyrzy narodowcy wszelkich gatunków<sup>89</sup> należą dziś według mnie do omamionych: wydaje im się, że postępują według najszczytniejszych w ich mniemaniu idei, a tymczasem działalność ich jest tylko tajną funkcją jakichś zamasko-

Władza, Upadek,  
Nacjonalizm, Interes

<sup>88</sup>za cenę doskonałości uspołecznienia ludzkość musi zapłacić: a) końcem religii (...) jako „pierwszego metafizycznego przybliżenia” — sam jestem człowiekiem absolutnie a-religijnym i nigdy nim w istocie, poza próbami kompromisu, nawet w dzieciństwie nie byłem. Mówię o tym kompletnie bezstronnie, szanując każdą wiarę, która prowadzi do prawdziwego postępu i twórczości. [przypis autorski]

<sup>89</sup>Nie mówię o uczciwym i zgodnym istnieniu narodów obok siebie w kulturalnym współżyciu, mimo zachowania języka, obyczajów i innych odrębności kulturalnych, przed ostateczną standaryzacją, która je i tak, i tak kiedyś czeka. To jest możliwe zupełnie przy maksymalnym nawet uspołecznieniu. [przypis autorski]

wanych potęg kapitalistycznych, zużywających nacjonalizm dla ich bezproduktywnych i implikujących krzywdę milionów ludzi celów.

Chodzi mi w tej chwili o uwydatnienie różnicy pomiędzy Polską a innymi krajami kuli ziemskiej w tym czasie, kiedy się tworzyła nasza zachodnia kultura. Na mnie robi to takie wrażenie, jakbym na względnie czystej i pięknej twarzy oglądał jakiś ropiejący wrzód. Przestańmy rozdymać fikcyjne wielkości naszej przeszłości i wmawiać w siebie, żeśmy mieli wszystko, i sztukę, i naukę, i heretyków morowych, i filozofię, i technikę, i diabli wiedzą co, bo w gruncie rzeczy mieliśmy to przeważnie urządzone, a w każdym razie zapoczątkowane przez obcych. A co do osławionego indywidualizmu polskiego, którego rozwojowi nic na przeszkodzie (w wymiarach szlacheckich) nie stało, i „wzniosłych” (niby) instytucji poświęconych swobodzie, jak np. *liberum veto* (które podziwiał kome-diancki prorok nigdy niespełnialnego snu o nadczłowieku-indywidualiście w tej właśnie epoce ludzkości), to właśnie całość tych instytucji (może dobra, gdyby się stosowała do *wszystkich* — ale na to trzeba znów większej kultury) i przedwczesny ten, a zarazem spóźniony indywidualizm, raczej nieodpowiednie rozłożenie jego wśród jego różnokul-turalnych warstw szlacheckich, były przyczyną wszystkich naszych nieszczęść dawnych i obecnego niskiego pod każdym względem prawie poziomu naszego kraju.

Historia polska jest historią tragicznych i ohydnych (słabościowych) omyłek. Nie będę tu, nie mając odpowiedniego wykształcenia, wdawał się w ich krytykę. Pierwsza zasadnicza omyłka: przyjęcie chrześcijaństwa i w ogóle kultury z Zachodu, a nie od stro-ny Bizancjum, było tym błędem inicjalnym, który zwichnął całą naszą historię i misję narodową, a wszystkie dalsze pomyłki są już jego prostą funkcją; ciągłe szarpanie się w połowiczności między istotnym przeznaczeniem a skutkami pierwszego potknięcia się, a do tego jeszcze pewne nasze wyłącznie specjalności, w szczególności zaś jedna, która jak tamten błąd niosący w sobie potencjalnie wszystkie klęski zawiera w sobie źródło zwichnięcia naszego charakteru narodowego, zahamowania swoistej kultury i wypacze-nia tych właściwości duszy, które mogłyby być podstawą wielkich czynów społecznych i wielkiej twórczości: mam tu na myśli tego potwora, którego nikt w tych czasach nie spłodził, tylko my: *szlachecką demokrację*. Sama nazwa swą jakąś dziką, bezczelną sprzecz-nością budzi dreszcz wstrętu i obrzydzenia. „Jest to potwór, który raz się rodzi i nigdy lat swych nie dochodzi” — można powiedzieć o tej ohydnej hybrydzie instytucyjnej; rzeczywiście lat swych nie doszła, bo znudzone naszą ohydą państwa ościenne odebrały nam swobodę dalszego gnicia we własnym śmierdzącym sosie. Kara była w zupełności zasłużona, ale jakim sposobem stało się, że naród tak pod każdym względem uzdolnio-ny mógł sprowadzić na siebie tak zasadniczo kłamliwą i niemrawą formę bytu, podczas gdy wszędzie gdzie indziej, mimo wszelkich wojen, zamieszania i chaosu, utrzymywała się w społeczeństwach hierarchiczna struktura wewnętrzna, po której powierzchni tylko przewalały się wszelkie zdarzenia, struktura pozwalająca na to, aby mimo całej „niespo-kojności czasów” kultura poszczególnych krajów prawie równomiernie rosła niemal aż do Rewolucji Francuskiej, markującej tak prawie zasadniczy etap rozwoju ludzkości, jak powstanie wielkiego państwa z totemicznego klanu. Jedynie równie ważnym zdarzeniem jest Rewolucja Rosyjska, ten na fantastycznie wielką skalę zrobiony eksperyment, mar-kujący<sup>90</sup> znowu początek końca kłamliwej ery demokracji i panowania kapitału<sup>91</sup>. My zrealizowaliśmy jakąś karykaturę demokracji wcześniej niż wszyscy — przecie Polak za-wsze pierwszy! — i to stanowi naszą hańbę, coś, co zaprzecza istnieniu w nas zdrowego instynktu rasowego i społecznego. Brak wszelkiej struktury w naszej kulturze, przy-padkowe przyjmowanie wszystkiego z zewnątrz, wspaniałe początki bez odpowiednich końców (ta kardynalna cecha najbardziej nawet wybitnych Polaków, podczas gdy każda krytyka potępiona jest jako tzw. „samoopluwanie się *a la maniere russe*”), brak wszelkiej oryginalności w wytwórczości naukowej, artystycznej i filozoficznej, przy kolosalnych danych na tę oryginalność (to jest najokropniejsze!), to wszystko przypisuję bałaganowi

<sup>90</sup>markować — tu: zaznaczać. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>Rewolucja Rosyjska, ten na fantastycznie wielką skalę zrobiony eksperyment, markujący znowu początek końca kłamliwej ery demokracji i panowania kapitału — nie chodzi o to, jak (szczegółowo) zostanie to zrealizowane: czy zaraz, czy po jakichś wahaniach, czy transformacjach, chodzi o to, że początek nieodwracalny jest zrobiony; pewne rzeczy cofnąć się już nie dadzą. Za ten eksperyment płaci Rosja straszliwymi mękami, ale może cieszyć się tym, że wielkość dziś na świecie jest jedynie po jej stronie. [przypis autorski]

szlacheckiej demokracji, stwarzającej bagno chaosu i rozpad indywidualności bez dyscypliny wewnętrznej zamiast jego swobodnego rozwoju. Swobodę trzeba zdobyć — to jest kardynalne prawo ewolucji społecznej i indywidualnej, a do tego potrzebna jest dyscyplina.

O ile cały rozwój kultury w innych krajach zachodził wewnątrz ściśle zhierarchizowanej piramidy i przez to właśnie mógł posiadać wewnętrzną dyscyplinę na skutek rozłożenia ciśnienia wewnątrz tej piramidy<sup>92</sup>, posiadającej określoną formę, to u nas piramida ta nie istniała prawie wcale: płynne instytucje, płynna przechodnia władza, chaos i rozpad. To jest właśnie ciekawe, że Zachód (a nawet Wschód, „barbarzyńska Rosja” — tam była jednak struktura, prymitywna i dzika, ale była — Piotr Wielki miał przynajmniej dobry materiał dla swej twórczości) wytrzymał tak potworny chaos wojen i walk religijnych, nie tracąc kulturalnej wysokości. Twierdzę, że było tak dlatego, że wśród spiętrzonych fal armii przelewających się z kraju do kraju rdzeń krain tych pozostał nietknięty; walczyli przeważnie królowie i panowie na czele najemnych wojsk — jądro danego kraju (w przeciwieństwie do dzisiejszych wojen wplątujących do czynnej postawy wszystkie warstwy narodu): chłop i mały burżuj pozostawali nietknięci. A przy tym ci, co walczyli, to nie była nadęta hołota, tylko prawdziwi, względnie rzadcy, rasowi panowie, którzy jednak swoją potęgą, siłą swych ambicji, pragnień, idei i przekonań wynosili też walczące pod ich dowództwem grupy na wyższy poziom życiowego napięcia. Wszystko to robione było z potęgą: był to jeszcze okres rozpuszczania się wielkich ludzi w tłumie i względnie słabej więzby społecznej, poza gniotem władców i ich wasali.

Oczywiście, jak piramida zaczęła gnić od góry, jak typy władców fizycznie i duchowo się zdegenerowały, jak klasa ich przestała wydawać naprawdę silne indywidualności, a karmiące się tylko siłą przodków wśród form i prerogatyw władzy, przerastających jej rzeczywistość wydajność w ich karlejących postaciach, piramida musiała zgnieć i runąć i nowe czynniki musiały objąć kierownictwo twórczości życiowej i społecznej ludzkości. W każdym razie na Zachodzie, a później na Wschodzie, konflikt został doprowadzony do ostatnich granic dramatyczności i napięć sił działających. U nas, w ohydnej, gówniastej demokracji szlacheckiej, siły rozkładały się bez wielkich różnic potencjałów i napięć i dlatego wytworzył się ten ohydny kocioł społecznego, narodowego i indywidualnego niżu, to zagłębienie psychicznego, społecznego i ideowego upadku, w które musiały wlać się sąsiednie, debordujące potęgą twórczą twory państwowe. Państwa (i ludzie też) nie lubią próżni dookoła: popuść no trochę „bliźniego”, a zaraz ci na mordę wlizie; cóż dopiero mówić o plemiennych czy narodowych albo sztucznie państwowych grupach ludzkich o wysokiej prężności i wynikającej z niej skłonności do ekspansji, na tle dawnej i głębokiej kultury, która jeszcze nie zaczęła się degrengolować<sup>93</sup>.

Jest faktem chyba pewnym, że Polska utrzymywała się we względnej równowadze i jakiej takiej twórczości, dopóki jeszcze były w niej ślady klasycznej struktury tych czasów (nazwijmy ją piramidalną), dopóki „piramida” jej był względnie zachowany. Oczywiście — na tle specjalnego położenia geograficznego i stosunków etnicznych, w związku z popełnionym kardynalnym bykiem: przyjęcia kultury z Zachodu, na tle przeszłego okresu walk książąt dzielnicowych, co utrudniło tak przyszłą konsolidację — zachowanie tego „piramidału” było niezmiernie utrudnione, a trudności te spotęgowane były jeszcze cechami narodowymi, które wszyscy znamy. „Mądry Polak po szkodzie” (byłoby jeszcze dobrze, ale on i po szkodzie był głupi, tzn. nie głupi — inteligencji u nas nie brakło — tylko lekkomyślny), to „jakoś to będzie”, krótkodystansowość, aprenudedeluzizm<sup>94</sup>, robienie wszystkiego „na łapu-capu” (piękne słowo, co?), ten, że tak powiem, „jebał-pieszizm” (termin zmarłego pejzażysty Jana Stanisławskiego), ten parszywy pseudoin-

Władza, Upadek, Rewolucja

Polak, Polska

<sup>92</sup>rozwoju kultury (...) zachodził wewnątrz ściśle zhierarchizowanej piramidy i przez to właśnie mógł posiadać wewnętrzną dyscyplinę (...) — jak świętą tresurą był ucisk Kościoła w wiekach średnich! Tylko ten ucisk i tresura myśli na scholastycznej filozofii wywołały wspaniałą wytrysk zdyscyplinowanych sił w okresie renesansu. [przypis autorski]

<sup>93</sup>grupach ludzkich o wysokiej prężności i wynikającej z niej skłonności do ekspansji, na tle dawnej i głębokiej kultury, która jeszcze nie zaczęła się degrengolować — chociaż Spengler mówi, że dopiero zaczynająca obumierać kultura zaczyna mieć ekspansywne skłonności i ten okres właśnie nazywa nie kulturą, a cywilizacją. [przypis autorski]

<sup>94</sup>aprenudedeluzizm (neol.) — rzeczownik ukuty od wyrażenia *après nous le déluge* (fr.): po nas choćby potop. Było ono popularne w okresie na przełomie wieków, w kręgach dekadentkich i odnosiło się do postawy używania życia bez oglądania się na to, co będzie później, co się zostawi w spadku przyszłym pokoleniom. [przypis edytorski]

dywidualizm, dobry wtedy, gdy trzeba było się bić, gardłować, pić i jeszcze co najwyżej nabijać kabzę, ale nie myśleć — to były wady, które razem z poprzednimi „koordynatami” musiały dać w rezultacie zupełny upadek.

Nie moją rzeczą jest głębsza analiza tych spraw na tym miejscu i w ogóle, ponieważ brak mi w tym kierunku wykształcenia, a nawet ochoty. Nie mogłem nigdy czytać dużo o historii polskiej, bo mnie zatykało ze wstydu i oburzenia, tym bardziej że sam, jak i wszyscy moi ziomkowie, byłem produktem tej okropnej machinacji dziejowej — czułem sam na sobie jej skutki. Ale muszę stwierdzić, że dzięki pewnej pracy nad sobą, dzięki Kretschmerowi, Freudowi i dr de Beaurain zdołałem przynajmniej pewne rzeczy odparować. W ostatnich czasach wiele dał mi do myślenia widok (inaczej nie mogę powiedzieć, bo niestety patrzyłem na to jak z łoża, nie będąc w stanie przyjąć w tym żadnego udziału z powodu schizoidalnych zahamowań) Rewolucji Rosyjskiej, od lutego 1917 do czerwca 1918. Obserwowałem to niebywale zdarzenie zupełnie z bliska, będąc oficerem Pawłowskiego Pułku Gwardii, który je rozpoczął<sup>95</sup>. Uważam wprost za nieszczęsnego kalekę tego, który tego ewenementu z bliska nie przeżył. Bliższe opisy i wyjaśnienia znajdują swe miejsce w pismach pośmiertnych. (Tom XIV, wyd. 1978 r.)

Podczas tego, gdy inne ugrupowania ludzkie, w przybliżeniu narodowe, wypracowywały w mękach twórczych swoje kultury, stwarzając podstawy dla samouświadomionej już cywilizacji o tendencji wszechludzkiej naszych czasów (mimo potwornych sprzeczności, błędów i programowego cynicznego świństwa tak jest — może w małym jeszcze stopniu, ale to cechuje okres, który rozpoczęła Rewolucja Francuska), co działo się właściwie u nas? Oczywiście działo się coś podobnego, co gdzie indziej, tylko w szalonym stopniu zahamowania przez wyżej wspomniane czynniki wewnętrzne, psychiczne i będące do pewnego stopnia ich funkcją czynniki instytucyjno-formalne.

Zamiast tego, aby piramida gniotła wszystkich równomiernie, względnie do ich stanowisk, potęgowało się coraz bardziej rozwydrzenie ambicji arystokracji, której przedstawiciele musieli mieć większe ilości adherentów, na których znów mogliby się w walkach swoich oprzeć. Dlatego uszlachcali całe masy ludzi niemających środków do tego, aby podołać i moralnie, i fizycznie spadającemu na nich dostojeństwu, które w dodatku, teoretycznie tylko, ale i tak wystarczająco, aby wykoślawić charaktery i odebrać wszelki krytycyzm, czyniło ich „równymi” największym panom, a nawet, w zasadzie, królom; bo teoretycznie nawet najędźniejsza jakaś szerepetka też do korony pretendować mogła, nie mówiąc o magnatach, z których każdy uważał się za pokrzywdzonego, że nie jest królem lub co najmniej księciem udzielnym na swoich dobrach, co praktycznie często się zdarzało. Tak więc (nie wiem dokładnie, kto zaczął ten proceder upadku, ale zdaje się raczej magnateria zbyt „zindywidualizowana”) spsienie arystokracji połączone było ze spsieniem, zdemokratyzowaniem i zdewaluowaniem w kulturalnym procesie samej instytucji szlachectwa, która w innych krajach w tej epoce służyła do podciągnięcia wyżej danej społecznej struktury; bądź co bądź wszystko jedno, czy z obecnego punktu widzenia uważamy to za złe i wolelibyśmy chrześcijańskie katakumby lub totemiczny klan jako ustrój całej ludzkości, wtedy tradycja szlachecka — przez ambicję dociągnięcia się do sławnych (zawsze) z czynów nadzwyczajnych przodków — była czynnikiem pchającym całość wzwyż.

U nas, na tle tego, że takie ilości ludzi zostawały szlachtą za byle co, głównie za podlizywanie się i służalstwo wobec możnych<sup>96</sup>, potrzebujących podpór dla swych wychodkowych zaiste troników, kwestia tradycji i atmosfera wielkich czynów, poza czysto szablową odwagą, była odwartościowana. Oczywiście nie neguję wartości odwagi osobistej, z której

<sup>95</sup>Obserwowałem to niebywale zdarzenie zupełnie z bliska, będąc oficerem Pawłowskiego Pułku Gwardii, który je rozpoczął — do czwartej rotacji zapasowego batalionu tego pułku, która rewolucję naprawdę zaczęła, miałem zaszczyt być później wybranym przez moich rannych żołnierzy z frontu (byłem tylko w jednej bitwie pod Witonieżem nad Stochodem). Zawdzięczam ten zaszczyt słabym zasługom negatywnym: nie biłem w mordę, nie kłamałem „pa matuszkie”, karałem słabo i byłem względnie grzeczny — nic ponadto; trzystu ludzi zamkniętych w ogromnej, okrągłej, pułkowej stajni przez kilka dni walczyło przeciw całej carskiej Rosji. Rota ta miała przywilej, że na paradach szła przed pierwszą, a za nią pierwsza, druga i trzecia. [przypis autorski]

<sup>96</sup>takie ilości ludzi zostawały szlachtą za byle co, głównie za podlizywanie się i służalstwo wobec możnych — do tego dołączała się kwestia kolonizowania szlachtą kresów wschodnich, tej stale otwartej rany państwa polskiego. Też nie była ta kresowość instytucją zbyt moralną, bo stwarzała ze szlachty ciemiężców chłopów wyższego jeszcze rzędu niż wewnątrz kraju, a z chłopów ujarzmionych tubylców kolonialnych. [przypis autorski]

Polska, Historia, Polak

Rosja, Rewolucja

Historia, Rewolucja

Szlachcic, Pozycja społeczna

Odwaga, Polak

Polacy słynęli. Odwaga to wielka rzecz; ale jeśli nie jest oparta o całokształt dodatnich właściwości danego osobnika, traci niezmiernie na swej wartości. Iluż jest odważnych bandytów lub awanturników bez czci i sumienia? Za dużo było u nas odważnych do szaleństwa warcholów i wtedy tym gorzej dla nas, bo lepiej by było, aby właśnie warcholi mieli mniej temperamentu i byli na mniejszą skalę stworzeni, w zamian za ludzi uczciwych, którzy jakoś znów u nas przeważnie jaj nie mieli lub też mieli je zbyt jakoś ukryte. Wielki charakter, wielki rozum i wielka odwaga stwarzają dopiero prawdziwie wielkiego człowieka. Takich było mało albo ginęli u nas w ogólnym bałaganie niewidocznie, jak muchy w lepie. Naprawdę na pewno nie można chyba powiedzieć, kto zaczął, ale że chyba arystony były najbardziej winne, to jest bardzo prawdopodobne; bo oni przecie musieli hodować i korumpować szarą ćmę szlachecką, aby z niej sobie wiernych wasalów na sejmikach stworzyć, a ewentualnie spreparowaną już dobrze bandę w gardłowych sprawach, zajazdach czy to już jawnych buntach przeciw władzy swojej (a dla obcej) używać.

Rozum, Odwaga

Tak więc banda ludzi bez wykształcenia, bez poczucia obowiązku i właściwie bez uświadomionej dobrze przynależności państwowej, niedyscyplinowana, niezhierarchizowana, banda, w której, na wzór jej elementów-pierwowzorów (o ile tak powiedzieć można), tj. magnaterii, każdy — według potwornej na owe czasy z punktu „europejskiego” widzenia zasady: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie” — uważał się za pierwszego i nadymał się też odpowiednio, aby swoje ubóstwo, swój strój szaraczkowy, swój brak ogłady i wykształcenia pokryć.

Polak, Szlachcic

W instytucji jedynej w swoim rodzaju *demokracji szlacheckiej mamy główne źródło tej naszej wady narodowej, na którą w wymiarach pychy rodowej pierwszy explicite w naszych czasach zwrócił uwagę Boy*, tj. tzw. *przeze mnie puszenia się*. Każdy Polak, na tle charakteru struktury (pseudo) swego społeczeństwa, powoli skonsolidowanej w ciągu historii, musiał się napuszać na większą wartość i potęgę niż ta, którą istotnie posiadał.

Polak, Pycha

Zasada, że każdy szlachcic mógł zostać królem, pogłębiająca różnicę między szlachcą a nieszlachcą (czy gdzie trzeci stan lub chłopci byli traktowani z podobną pogardą jak u nas?), była przyczyną przede wszystkim napuszenia się do pęknięcia nieomal wielkich panów. Bo mało było prawdopodobieństwa, żeby królem został np. pan Piegłasiwicz, ale że mógł nim przy pewnym napuszeniu się i zwerbowaniu odpowiedniej ilości zwolenników zostać jakiś Lubomirski czy Radziwiłł, to było zupełnie naturalne.

W ten sposób każdy magnat napuszał się faktycznie już, a nie tylko teoretycznie, na możliwego króla i uważał się w gruncie rzeczy za pokrzywdzonego, jeśli nim nie był. W każdym razie, nawet przy braku świadomego dążenia do władzy królewskiej, taki był zasadniczy podkład podświadomy jego psychiki — stąd też (chyba) nazwa „królewietą”. Pycha i chęć wyniesienia się ponad drugich były dominującymi uczuciami każdego pana i co gorzej, półpana, a ponieważ nikt nie mógł zadowolić swych ambicji, więc biedne arystony nadymały się sztucznie do pełna ze swymi pożądaniami, sztukując wzrost (w znaczeniu przenośnym), „obcasami” i „czapami z piór”. Stąd każdy Polak ma tendencje do wspinania się choćby na palcach, aby wydać się wyższym, i do tworzenia sobie tego, co nazywam „kołpakiem napuszenia”, sztucznej nadbudówki ponad siebie, pustej, a dekoracyjnej, mającej omamić drugich co do istotnej wartości głowy, która się pod tym kołpakiem kryje. Nie dokonywanie wielkich czynów w celu faktycznego wzniesienia się nad drugich przez „*potlatsch*”, przy pewnym zefasowaniu swej indywidualności w ramach państwowych i ścisłym zhierarchizowaniu wartości istotnej, stało się celem głównym, ale napuszenie się do rozmiarów pseudo-króla, królika w swoim powiecie czy województwie, odgrywanie wobec odpowiednio pomniejszonej widowni (pomniejszonej nie tylko ilościowo, ale jakościowo — to jest ważniejsze) roli absolutnie fikcyjnej zamiast rzeczywistej — w tym ostatnim wypadku nie na fikcyjnym wierzchołku, tylko na miejscu realnym, gdzieś trochę poniżej faktycznego szczytu władzy. Oczywiście hierarchia była, ale piramida zamiast piętrzyć się twardo prostymi liniami „wybrzuszała się”<sup>97</sup>, niebezpiecznie się deformowała i galareciała, stawała się koloidalną, aż wreszcie zmieniała się w bezkształtną kupę na wpół płynnych ekskrementaliów za Sasów i Poniatowskiego.

Mimo istnienia wysiłków wyjścia z tej ohydy u pewnych jednostek wskutek chro-

Polska, Szlachcic, Chłop,  
Rewolucja

<sup>97</sup> *wybrzuszała się* — wyrażenie wzięte w tym znaczeniu właśnie odnośnie do piramidy z książki gen. Składkowskiego o marszałku Piłsudskim. [przypis autorski]

nicznego upadku ogółu i połowiczności nawet wielkich względnie ludzi, nie nastąpiła żadna poprawa radykalna. Gdyby uwolniono chłopów i gdyby gilotynka porządnie sobie parę lat u nas popracowała, inaczej by wyglądała Polska, a nawet pośrednio i Rosja wieku XIX.

Ha, trudno — za późno trochę nad tym biadkać.

Mimo zarzutu, który można zrobić Piłsudskiemu, że nie zużył kolosalnych złogów swej siły i autorytetu moralnego, które zdobył, był to jedyny *naprawdę wielki człowiek* od XVI wieku w Polsce. Gdy inni spali w tchórzliwym wygodnictwie, on jeden dokonał *czynu* w samotności nieomal zupełnej, otoczony garstką przypadkowych współpracowników, których dane intelektualne mogły nie dorównywać w pewnych wypadkach natężeniu siły, odwagi, ofiarności i charakterowi. Ale i on nie mógł stworzyć tak wielkich rzeczy, do jakich był powołany. Obawiał się rozprężenia w razie daleko idących przekształceń społecznych, które by go zbliżyły do pierwszego okresu działalności, a po drugie, nie zawsze może umiał dobierać odpowiednich pod względem umysłowej struktury współpracowników. Tę trudną do zdobycia, w braku instynktu, właściwość posiadał np. Napoleon, który nawet skończonych wrogów swych: Talleyranda<sup>98</sup> i Fouchégo<sup>99</sup>, umiał do ostatnich niemal chwil dla swoich celów wyzyskać. Ale Napoleon rósł w wielkość w miarę ciężarów, które brał na siebie. Dźwiganie Francji i świata całego na spiętrzeniach jego myśli wydzwigwały znów myśl tę coraz wyżej, a siłę dawała mu także przeszła burza rewolucji, której musiał się stać wszechświatowym rozprzestrzenicielem: musiał — inaczej by zginął zaraz na początku swej kariery<sup>100</sup>. Polska nie miała takiej tradycji albo też ją zagubiła: prócz zyskania własnej swobody nie mogła nic dać światu. I Piłsudski, nad którego głową już zaczynało chwilami ukazywać się blade widmo piórami zdobnego kołpaka, przez dziwną ascezę w stosunku do wielkości chwili (bo chwila obecna jest od Rewolucji Francuskiej jedną z największych w historii naszej galki) nie wziął na siebie całkowitego brzemienia odpowiedzialności i zamiast być całkowicie sobą pozwolił na swobodną grę sił obok swojej niezupełnie ucieleśnionej woli<sup>101</sup>. A Polska z niedosłej czy też raczej zdeformowanej męczennicy stała się *zwykłym* państwem obecnej chwili. (Niezwyczajnym czymś, wszystko jedno, jak to będziemy interpretować, jest dziś w świecie tylko Rosja.) Cylindry, przyjęcia, ordery, posunięcia, posunięcia i posunięcia — ale idei kierowniczej nie ma i przy tym składzie i rozkładzie sił działających być nawet nie może. Idei nie można szukać i sztucznie jej *wytwarzać*: ona musi *być* w masie narodu i trzeba ją tylko ogniskować albo trzeba ją ze swych najgłębszych bebeczków spontanicznie w jakimś szale twórczym *stworzyć*.

Ale wróćmy znów do dawnych czasów. Kiedy mówiłem o moich historycznych „teoriach” Karolowi Konińskiemu<sup>102</sup>, powiedział mi, że jakkolwiek też nie jest sympatykiem

Przywódca, Siła, Polityka

Polska, Rosja, Państwo,  
Idealista

Polska, Historia, Szlachcic

<sup>98</sup>Talleyrand, właśc. *Charles-Maurice de Talleyrand-Périgord* (1754–1838) — fr. dyplomata i polityk, książę; zasłynął jako inteligentny, cyniczny i bezwzględny pragmatyk, pełniąc funkcje agenta dyplomatycznego lub ministra spraw wewnętrznych kolejnych rządów: Dyrektoriatu, Napoleona, Burbonów i Ludwika Filipa I. Mimo że był duchownym (biskupem), poparł swym autorytetem rewolucję 1789 roku i został wkrótce przewodniczącym Konwentu, gdzie wcześniej patronował przeprowadzeniu ustaw dotyczących sekularyzacji dóbr kościelnych (w 1791 ekskomunikowany). Był reprezentantem Francji na Kongresie Wiedeńskim. Talleyrand znany był m.in. z ciętych a trafnych wypowiedzi; przypisywane jest mu zdanie, które miał wypowiedzieć w rozmowie z Napoleonem: „Bagnetami można załatwić wszystko, *sire*. Mają jednak wadę: nie można na nich usiąść”. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>Fouché, *Joseph* (1759–1820) — fr. polityk, oceniany jako przebiegły i bezwzględny karierowicz; członek Konwentu w okresie rewolucji francuskiej, odpowiedzialny za krwawe stłumienie powstania w Lyonie w 1793, minister policji podczas panowania Napoleona, po jego upadku w 1815 został prezydentem rządu tymczasowego, następnie ministrem policji króla Ludwika XVIII. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>Napoleon rósł w wielkość w miarę ciężarów, które brał na siebie (...) inaczej by zginął zaraz na początku swej kariery — kto wie, czy nie największym był właśnie w dniach ostatecznej klęski, kiedy poświęcił swoją osobistą ambicję dla dobra Francji. [przypis autorski]

<sup>101</sup>Piłsudski (...) nie wziął na siebie całkowitego brzemienia odpowiedzialności i zamiast być całkowicie sobą pozwolił na swobodną grę sił obok swojej niezupełnie ucieleśnionej woli — oczywiście łatwo coś wielkiego nawet krytykować, a trudniej dokonać, a jeszcze trudniej, najtrudniej daną rzecz do ostatniej doskonałości wyczelować. [przypis autorski]

<sup>102</sup>Koniński, *Karol Ludwik* (1891–1943) — publicysta, krytyk literacki, prozaik, badacz kultury ludowej; publikował m.in. w czasopiśmie „Głos Narodu”, „Przegląd Warszawski”, „Myśl Narodowa”, „Przegląd Współczesny”, „Teatr Ludowy”, „Prosto z Mostu”, „Przegląd Powszechny”, „Zet”, „Ateneum”; jakkolwiek jego myślenie było politycznie zbliżone do obozu narodowego, jednak był przeciwnikiem antysemityzmu i przestrzegał przed faszyzmem; kładł nacisk na wymiar etyczny kultury i sztuki; autor opowiadań (m.in. *Straszny czwartek w domu*)

demokracji szlacheckiej, to jednak zdaje mu się, że ilość potworna szlacheckiego mrowia przez natężenie i skumulowanie ambicji indywidualnej dała tyle godności całemu narodowi, że pomógł mu ten stan rzeczy do godnego wytrzymania niewoli, a nawet do wybrnięcia z niej. Może tak i jest, ale wobec tego, że w razie wytworzenia się innej struktury w poprzednich okresach upadku mogło wcale nie być, słabe to byłoby dla mnie pocieszenie.

O ile tak się czuli magnaci, jak to starałem się przedstawić, to bardzo podobnie musiała się czuć reszta deformującej się piramidy, tylko w różnych proporcjach, zależnie od oddalenia od podstawy. Sama podstawa — chłop, tzw. „czern”, nie istnieli nieomal zupełnie. Była to kompletnie inerta, martwa masa, pozbawiona wszelkiej struktury i jakichkolwiek zorganizowanych dążeń, zagnębiona zupełnie niewolą u szerepetków, szlachciurów, półpanków (typ specyficznie polski) i panów prawdziwych.

Otóż skutek takiego nastawienia warstw najwyższych, ciągle niezadowolonych z niemożności wygrania swego, pożał się Boże, tzw. „indywidualizmu”, warstwy o szczebel niższe czuły się też nie na miejscu i oczywiście zamiast starać się zmienić to miejsce przez jakąś wybitną działalność nadywały się sztucznie do rangi królewiat i „robiły”, tj. odstawiały, wielkich panów nie w swojej nawet klasie, a o klasę wyżej, tzn. za wysoko, nieproporcjonalnie do swego istotnego położenia i środków. Wieczne niezadowolenie i wieczne nadęcie ponad możliwość, i życie ponad stan fizyczne i poniekąd duchowe, jeśli chodzi o poczucie ważności i władzy, stało się zasadniczym rysem psychicznym każdego niemal Polaka. W ten sposób dobra materialne, które mogły być zużyte na istotne podniesienie wytwórczości i kultury, szły na wzmożenie tzw. „blichtru”, na rywalizację, na „*potlat-sche*”, ale nie dotyczące wartości istotnych, tylko pozorów. Wskutek tego bogactwa kraju marnowały się w sposób nietwórczy i niedający nic na przyszłość. A ludzie kapcianieli i deformowali się w tym nadymaniu się coraz gruntowniej; wytwarzała się ta ogólnoszlachecka („ślachcicka”) choroba, której symptomy skomplikowane można streścić w tym zdaniu: *że pozory są ważniejsze niż rzeczywistość, że wobec braku dalekich perspektyw użycie i pozorna twórczość jest istotniejsza niż spełnianie trudnych czasem i niewdzięcznych zadań na daleki dystans, z myślą o drugich współczesnych i dalszych pokoleniach*. A wszyscy pieli się chaotycznie w górę jedni przez drugich, wywyższając się w fikcyjnych wartościach pochodzenia, bogactwa zużywanego na nieproporcjonalne do istotnego stanu efekty zewnętrzne i urojonego znaczenia.

Gdzie indziej wszystko było zhierarchizowane; aby przejść o klasę wyżej, należało czegoś dokonać naprawdę, a nie napuszać się lub podlizać się komuś więcej jeszcze napuszonemu. Jak to już raz wspomniałem w książce o narkotykach *à propos* puszenia się u nas w wymiarach rodowo-heraldycznych, które jest tylko jedną formą puszenia się ogólnego, we Francji np. książę de St. Simon walczył całe życie, zdaje się, o to, aby mieć wyższy numerek książęcy od pana marszałka de Luxembourg. Ale wynik tej walki nie zależał od siły napuszenia się obu tych panów, tylko od faktycznych danych: dat, zasług przodków i kolidacji (czyli czystości rasy), i dlatego tak trudną i żmudną było rzeczą stosunek ten ustanowić. Ale właśnie te rzeczy ustanawiano i dlatego piramida nie wybrzuszała się, a jak się raz wybrzuszyła, to tak porządnie, że ją diabli wzięli, bo te warstwy (trzeci stan przede wszystkim), które ją podkopały (tzn. ten czubek właśnie tuż ponad trzecim stanem), były same nasycone potęgą przez to rozpuszczanie się sił pierwszorzędnej jakości od góry piramidy i związaną z tym wysoką tresurą, a dalej przez olbrzymią kulturę umysłową, przez stałe wyrabianie charakterów w stałej walce o prawdziwe podniesienie swego poziomu: społecznego i wewnętrznego. W każdej chwili pod dostatkiem było wybitnych ludzi na odpowiednie stanowiska, kiedy tylko sytuacja dojrzała odpowiednio do zmian istotnych. A tego nie można powiedzieć o naszym kraju, który wszystkie siły swe, zdaje się, wydał na wytworzenie pseudowielkich indywidualności w wiekach poprzednich; panuje u nas straszliwy brak prawdziwie morowych, genialnych ludzi, tj. snardzów mających intuicję chwili i umiejących w tej odpowiedniej chwili kondensować odpowiednie układy sił. Ale to daje przede wszystkim posiadanie jakiejś idei, naprawdę przyszłościowej na daleki dystans, w którą się naprawdę wierzy, która jest po prostu warunkiem koniecznym

Chłop, Szlachcic

Polak

Polak, Pozory

*pastora, Dalsze losy pastora Hubiny*) oraz pamiętnika intymnego o charakterze religijnym, opracował i wydał antologię *Pisarze ludowi* (1938). [przypis edytorski]



życia danego indywiduum (do tego musi dojść odpowiednie natężenie intelektualne, na które u nas nie zwraca się nigdy dostatecznej uwagi), a której wcielenie jest warunkiem istotnego postępu całej ludzkości, a nie tylko danego narodu lub klasy kosztem innych. Skończyła się epoka kultur izolowanych, ziemia stała się organizmem, a każdy jej dwunogi *mówiący* mieszkaniec stał się przynajmniej potencjalnie równym co do możliwości jego sprawiedliwego użytkowania dla dobra jego i ogółu jej obywateli. W każdym razie *musimy* wierzyć, że w najbliższej przyszłości to nastąpi.

Obraz świata

Tak więc pewne właściwości wrodzone narodowi polskiemu, połączone z jego potęgą się w swych charakterystycznych rysach strukturą szlachecko-demokratyczną, będącą do pewnego stopnia też ich funkcją, wytworzyły z Polaków naród ludzi niezadowolonych ze swego losu, tzw. z rosyjska „nieudaczników”, którzy jako jedyny ratunek przeciw niespełnionym ambicjom musieli widzieć w sztucznym napuszeniu się do nieosiągniętej realnie wielkości: pić, bić się i puszyć się do ostatecznych granic możliwości — to był jedyny ratunek na nieprzyjemny podświadomy podkład poczucia własnej małości<sup>103</sup>. Więc przede wszystkim alkohol, ten wielki pocieszyciel, o którym przeczytać można parę nieuprzejmych słów w książce mojej o narkotykach, do której Appendix nr II będzie umieszczony na końcu niniejszego dziełka<sup>104</sup>.

Polak

Alkohol bowiem ma właściwość chwilowego podnoszenia każdego najędzniejszego nawet stworu o kilka pięt w hierarchii Istnień Poszczególnych, podnoszenia oczywiście urojonego, po którym upadek trzeba zalać jeszcze większą porcją, aby osiągnąć tę samą wysokość, co poprzednio. Niestety prawo nalogu jest takie, że coraz wyższe dawki powodują coraz większą gławę (moje doskonałe słowo na katzenjammer, które nie chce się uparcie przyjąć wśród ogółu alkoholików) i upadek, i coraz większych dawek trzeba, aby się z niego na platformę optymizmu wywindować. Ale i to nie jest procederem o stosunkach stałych, ponieważ poziom dobrego samopoczucia osiągalny maksymalnymi dawkami poniżej tzw. „zachlania się na trupa” staje się z każdą chwilą coraz niższy — potem już bez względu na dawkę, która osiąga również swoją wartość graniczną. Mówiąc bardziej technicznie, choć niedokładnie z punktu widzenia fizykalnego porównania, tzw. „*Randbedingungen*” (warunki kresowe) całego pijackiego pola zwiężają swój zakres, a dawka osiąga swoją maksymalną wartość graniczną (*Grenzwert*) i następuje po prostu „szlus” — snardz (facet) jest „gotów”.

Alkohol

Bicie się (wojny, podjazdowe walki, zajazdy i pojedynki) były też świetnym usprawiedliwieniem dla wewnętrznej nicości i dla braku ochoty na wszelką twórczą, względnie tylko konstruktywną pracę czy robotę.

Bijatyka, Szlachcic

I tak wytworzyło się tzw. „odwalanie zajęć” na „olaboga” czy „na łeb na szyję” lub „na dziłbol pajs” i przeżywanie reszty czasu w atmosferze tymczasowości, w oczekiwaniu jakichś szczęśliwych zbiegów okoliczności, które wszystko na lepsze zmienić mogą. Tymczasowość i ten ohydny, specyficznie polsko-szlachecki „jakoś to bądźzizm” to są przyszwary, które trwają dziś w nie mniejszym natężeniu niż za czasów saskich, a kto wie, czy nawet w ostatnich latach (trzydziestych) nie potęgują się powoli. Tymczasowy nastrój zaczyna się już na pewnej wysokości, poniżej trochę tych szczytów, na których panuje jeszcze „względnie radosna twórczość”. Na tym polega piekielny charakter miasta Warszawy, co do którego istoty długi czas nie mogłem zdać sobie sprawy: pośpiech gorączkowy powierzchowności (nie wyteżona szybkość autentyczna istotnej pracy), wszystko na „aby zbyć” (a nie istotnie dokonane), tymczasowość i załatwianie „po łebkach”, bo nie wiadomo, co będzie jutro.

Polak, Szlachcic, Historia

Warszawa

<sup>103</sup> *pić, bić się i puszyć się do ostatecznych granic możliwości (...) ratunek na nieprzyjemny podświadomy podkład poczucia własnej małości* — dziś też jest picie wprost niesamowite, tylko miejsce bicia się zajęły: sport rekordowy (każdy przecie może być ostatecznie Bronkiem Czechem, ale nie każdy Bronkiem Linke: patrz mój artykuł w „Tygodniku Ilustrowanym”, luty 1936 r.), dancing, bridge i radio. Nikt dziś nie zdaje sobie sprawy z fatalnych skutków tych czterech demonów współczesnego życia. Szczególnie ostatnie zatłamsza swym hałasem resztki inteligencji i czasu potrzebnego do zajęcia się czymś istotnie pożytecznym. [przypis autorski]

<sup>104</sup> *alkohol, ten wielki pocieszyciel, o którym przeczytać można parę nieuprzejmych słów w książce mojej o narkotykach* — występuję oczywiście przeciw nalogom. Kto może bez popadania w nałóg urznąć się nawet parę razy do roku, ten może sobie na to bezwzględnie pozwolić. Nawet dobra jest taka „wstriaska” [z ros. *встряска*: wstrząs; red. WL]. Ohydny mświństwem jest każdy nałóg, począwszy od niewinnych pozornie „papierosików”, które są jedną z największych klęsk narodów zaciągających się, aż do najwyższej marki jadów tzw. „białych”. [przypis autorski]

Niepewność materialnego jutra, a ideowego pojutrze i co gorsze, popojutrze jest rozpowszechniona do pewnego stopnia na całym świecie: cały kłamiwy okres demokracji jest czymś tymczasowym, przelotnym. Ale te narody i grupy, a nawet indywidualia będą miały głos w organizacji przyszłej lepszej ludzkości, które w tym okropnym okresie szybkiego i słabego pulsu zachowają: 1. maksimum długodystansowości, 2. wiary w trwałe wartości wysiłków kulturalnych, może doraźnie nic niedających wobec parszywego tempa całości, może na razie spełnianych bezinteresownie, w szerokim znaczeniu tego słowa, obejmującym nie tylko pieniądze, ale i tzw. „sławę” i 3. uporczywej wiary w jakieś, zatracone obecnie wśród ogólnego cynizmu, wyższe wartości organizacyjne i społecznie twórcze rodzaju ludzkiego. Bo to, co dziś się za twórczość społeczną uważa, to są przeważnie trociny, które zdmuchnie pierwszy zefirek zwiastujący wielki huragan przemian na wielką skalę, którego (mówiąc poetycznie) odległy szum i pałacy dech (jak przed uderzeniem wichru halnego) daje się nieomal słyszeć i odczuwać od strony mrocznej dali burzliwej przyszłości. Mam tu na myśli organizację gospodarczą całej kuli ziemskiej przy zgodnym współżyciu narodów bez zatury ich indywidualności, organizację podobną do współżycia organów w organizmie.

Umieć nie być tymczasowym w atmosferze palącego się domu i zakładać w nim np. dzwonki elektryczne, polewając drugą ręką płomienie z małego kubeczka, wielką byłoby zaiste sztuką. A takim musi być trochę człowiek dzisiejszy, o ile chce wytrzymać napór przemian przyszłościowych, które mogą się rozpocząć lada chwila, o ile biała rasa ogłupiałych geniuszów nie zginie samobójczą śmiercią w nowej długotrwałej wojnie. Ale wtedy jest kolej na rasy żółte i czarne — cała możliwa wiara jest chyba w tym „szwarcgelbie”, bo na białych nie można mieć już wielkiej nadziei. Ludzkość będzie żyć, ale na kolorowo, i może biali ludzie będą jeździć w wagonach z napisami „white people” (jak to jest dziś z Murzynami w Ameryce, którzy jeżdżą w wagonach z napisem „coloured people”) w idealnie urządzonym czarno-żółtym Państwie (pracy) Całego Globu. Ale to są ostateczności. Może odezwie się zdrowy zwierzęcy instynkt gatunku i przemówi ponad przemądrzałymi, bezsilnymi, ucylintronionymi głowami mężów stanu i dyplomatów<sup>105</sup>, przemówi do niezdegenerowanych jeszcze mózgow, że czas już najwyższy, aby elita mózgow, o ile naprawdę jest, dokonała bezkrwawej transformacji bez utraty wysokości ogólnej i bez zniszczenia dotychczasowego dorobku kultury. Może pomoże ludzkości w tym samouświadomieniu eksperyment rosyjski, który — częściowo chociaż pouczający w związku z tym, że odbywa się w nienormalnych warunkach — powinien wiele dać do myślenia, ale dotychczas — i to jest ciekawe — nie daje.

Ale wróćmy po tych dygresjach i powierzchownym zbadaniu tła węzłowiska upośledzenia u nas do szczegółowej analizy codziennych jego przejawów, zaturawających według mnie nieznacznie całość kulturalnego życia naszego kraju.

Czy jest gdzie tyłu nieudanych ludzi, co u nas? Pewien Francuz mówił: „*Mais c'est inouï — mais alors tous les Polonais sont des gens détraqués.*”<sup>106</sup> I jest to do pewnego stopnia prawdą. Każdy Polak jest nie na swoim miejscu, każde miejsce jest dla niego za niskie. I mogłoby tak być, o ile do zajmowania miejsc wyższych dążyłoby się przez rzetelną pracę, uczciwy wysiłek i wytwarzanie realnych wartości, a nie przez wydymanie swej pustki do rozmiarów fikcyjnej, urojonej rzeczywistości. Czy gdziekolwiek jest tyłu ludzi niepełniających swych najprostszyc obowiązków, co u nas? Każdy wie, że tylko realnym wysiłkiem może wydobyć się ze stanu, który wydaje mu się nieodpowiedni. Wyłamują się z tego prawa tylko oszuści, złodzieje, bandyci i zbrodniarze. U nas jest jeszcze jeden środek: *napuszenie*, który w gruncie rzeczy jest wprost zbrodniczy. Ktoś powiedział słusznie:

<sup>105</sup>Może odezwie się zdrowy zwierzęcy instynkt gatunku i przemówi ponad przemądrzałymi, bezsilnymi, ucylintronionymi głowami mężów stanu i dyplomatów (...) — marzyłem zawsze, że Hitler, ten bezsprzecznie jedyny naprawdę prócz Stalina z jajami facet w Europie, skondensowawszy siłę do maksimum zrobi czysto społeczne szpryngla, tzn. rewolucję, raczej transformację od góry, i zaprowadzi radykalnie socjalistyczny ustrój, tzn. naprawdę demokratyczny, bez zakłamań dotychczasowej demokracji, ustrój pozbawiony jednocześnie koszarowości i falansteryzmu. Ustrój, w którym będzie miejsce na to moje minimum własności: szcztokę do zębów, kobietę i domek z ogródkiem, a mimo to wyzysk jednych ludzi przez drugich i niewolnictwo będzie uniemożliwione. Niestety oczekiwanie to zawiodło. Będzie on na równi z innymi uciekać kiedyś jak tyłu innych zamiast być błogosławionym przez wszystkich dobroczyńcą. [przypis autorski]

<sup>106</sup>*Mais c'est inouï — mais alors tous les Polonais sont des gens détraqués?* (fr.) — Ależ to niesłychane, czyż wszyscy Polacy to szaleńcy? [przypis edytorski]

Wizja, Obraz świata

Pożar, Kondycja ludzka

Wizja, Obraz świata

Rosja, Rewolucja, Historia

Polak

Praca, Zbrodnia

„you can fool some people all the time, you can fool all the people some time, but you can't never fool all the people all the time”. (Można nabierać pewnych ludzi cały czas, można nabierać wszystkich ludzi pewien czas, *ale nigdy nie można nabierać wszystkich ludzi cały czas.*) U nas żyje się tak, jakby to ostatnie właśnie było możliwe, i dlatego tak często są krachy wielkich pozornie osobistości, załamania wzorcowych okazów, szybkie wykańczania się ludzi zdolnych i inteligentnych: brak im oceny własnej i charakterów; „*eine masslose Selb-  
stüberschätzung*”<sup>107</sup>, jak pisze Kretschmer o niektórych schizoidach, cechuje wszystkich. Jest szalenie trudną rzeczą poznać samego siebie (tego zdania z kaligraficznych wzorków nikt z nas nie bierze na serio), a jeszcze trudniej jest, szczególnie schizoidom, poznać „kimi” są w danej grupie, w danym narodzie, a nade wszystko w danym czasie: do jakiej grupy należą — schodzącej w dół czy wstępującej, do ludzi przyszłości czy też do degeneratów dawnego porządku. Mimo wszelkich wysiłków i pozornych sukcesów ja np. zupełnie nie znałem siebie (i drugich), aż do przeczytania Kretschmera i istotnego dopiero na tym tle zrozumienia Freuda, do lat blisko czterdziestu pięciu, mimo że bawilem się w psychologiczne analizy i rady, w pisanie powieści i rysowałem psychologiczne portrety często nawet jako takie właśnie udane.

Nie ma na świecie istoty bardziej zakłamej na temat swego stanowiska i znaczenia w czasoprzestrzennym kontinuum świata jak przeciętny Polak. W ogóle zaznaczyć pragnę, że mówię tu zawsze o wielkich przeciętnych, a nie o poszczególnych indywidualach i ich wyczynach. Na wszystkie wywody te mogą mi zawsze odpowiedzieć optymiści „różniczkowi”: ale przecież był Kazimierz Wielki, Skarga, Chodkiewicz, Żółkiewski, Zamoyski, Kościuszko, Kollątaj itp. i inni — cytuję pierwsze lepsze nazwiska z dawnej przeszłości ze strony „duchów jasnych”, z prawa. Owszem byli — i co z tego? Czyż nie zmieniło się wszystko w śmierzące świństwo już za Sasów, by skończyć się za Poniatowskiego i trwać w istocie, choć w mniejszych natężeniach, mimo przebłysku dwóch powstań, legionów Piłsudskiego i jego twórczości aż do naszych czasów? *Byli* morowi<sup>108</sup> ludzie, ale z powodu braku materiału nie mogli stworzyć tego, co byliby stworzyć mogli. I może połowa niespełnionych czynów Piłsudskiego ma tutaj źródło swe, bo dajcie Michałowi Aniołowi kądz jakiegos pólplynnego nie pachnącego materiału zamiast marmuru, a też posągu z tego nie zrobi. Chybaby musiał ten „materiał” „zamrozić”, a na to nie każdy ma siły i ochotę, no i dostateczny „mróz w kościach” — na to trzeba być już satrapą z krwi i kości, jakim Piłsudski, mimo czysto zewnętrznych pozorów, z powodu choćby swej socjalistycznej tradycji w istocie swej nigdy nie był. Na to trzeba by innego kalibru indywidualu, o innej wprost jakości. Nie wytworzyliśmy ich dotąd i „da Bóg” nie stworzymy, bo za nas w dookolnym świecie zrobią inne „ugrupowania” tę robotę i nasza pomoc będzie już wtedy zbyteczna. My będziemy wtedy ograniczać prawa karteli lub podwyższać o 5% bezpieczeństwo robotnika w hutach czy coś podobnego. Ale świat nas minie w swej drodze ku sprawiedliwości i u nas zrobią to wszystko za nas obcy przybysze ze Wschodu czy Zachodu. Wtedy już będzie to zupełnie obojętnym. Polska zawsze mogłaby odegrać dziejową rolę, ale zawsze się od tego wstrzymuje. Wstrzymała się też nawet w osobie ostatniego na razie wielkiego swego człowieka, Piłsudskiego. Może to instynkt niepozwalający brać na siebie zbyt ciężkich przeznaczeń, niedający lekkomyślnie „mierzyć sił na zamiary”. Ale bez tego ostatniego nic się prawdziwie wielkiego w historii świata niestety nie wydarza i wydarzać nie będzie. Czy zgadzamy się z ideami i obecnymi metodami komunizmu, czy nie, w tym jest też, musimy to przyznać, wielkość obecnej Rosji. Było to nastawienie na wielkość bezwzględnie i u nas, ale z powodów wyżej wymienionych nie było do ostatka dociągnięte.

Potworne ilości napuszonych kłamliwie w arystokratycznej demokracji osobników (pojęcie wręcz sprzeczne) nie mogły dać innego rezultatu jak ten, który nagle w końcu XVIII wieku ku przerażeniu swemu ujrzeli płascy optymiści, jak również i wyznawcy maksymy, że „Polska nierządem stoi”. To dziedzictwo przygniata nas dotąd i przygniatać będzie jeszcze, gdy inni za nas, nami samymi, historię przyszłej ludzkości tworzyć będą. I kto wie, czy to nie będą u nas właśnie, jako typowi niezadowolenicy, Żydzi (w tej chwili zrobił mi się „żyd” na papierze, a gdy chciałem go rozmazać, utworzył się obraz jakby

Polak

Polska, Obraz świata

Obraz świata, Czyn, Siła, Przemiana

Rosja, Rewolucja

Polska, Historia

<sup>107</sup> *eine masslose Selbüberschätzung* — bezgraniczne przecenianie siebie. [przypis autorski]

<sup>108</sup> *morowy* — tu: wybitny, świetny; super. [przypis edytorski]

Żyda z profilu — uważam to za prorocstwo), bo tak jakoś na razie to wygląda<sup>109</sup>. Ale nie bawmy się w przepowiednie — terazniejszość jest dość zajmująca jako taka, zajmująca i potworna — bez względu nawet na to, co z niej wychynąć może. Chociaż ja głęboko wierzę, że kłamstwo musi się załamać i nastaną lepsze społecznie czasy za cenę jedynie sztuki i filozofii, no i trochę zniszczonej kultury (ha, trudno — za wszystko musi się płacić, i za doskonałość społeczną też), o ile współcześni wszechświatowi mężowie stanu nie zmadrzeją i nie zarządzą jakiejś dekretowej transformacji od góry. Bo ostatecznie po co są?<sup>110</sup> A tak dalej być nie może. Czemu ci właśnie panowie uważają się za upoważnionych do tego, aby w ich osobach ludzkość miała popełniać zbiorowe samobójstwo przez ich krótkowzroczność, ich klasowy mężostański egoizm i po prostu chwilami, zdaje się, brak inteligencji. Bo chyba nie tylko jakieś dziwne zaczarowanie dawno miniętej przeszłości prowadzi myśli ich i plany ani nie zwykłe niedbalstwo i zaślepienie w chęci użycia śmierdzącego już ogonka uchodzącej w dal niepowrotną przeszłości. Tak źle nie jest. Ale obserwując to świadome staczanie się w otchłań, musi się przyjść do wniosku, że działają tu siły międzynarodowe, ponadludzkie, mimo że przez ludzi pozornie kierowane, które wymknęły się spod naszej kontroli i „hasają” po świecie bez istotnego celu, jak krowy na wiosnę. Są to siły międzynarodowego kapitału, co był kiedyś organem i stworzył naszą obecną kulturę, a zmienił się z biegiem czasu w złośliwego nowotwora.

Na tym zakończę ten pobieżny szkic tła, na którym wyrasta nasza zbiorowa psychologia nadętych na wielkość nierobów, z których masą jako materiałem społecznej twórczości nawet prawdziwi geniusze czynu nic poradzić sobie ani w przeszłości, ani obecnie nie mogli. Mam wrażenie, że kompleks ten da się rozwiązać przez uświadomienie go, i piszę to wszystko: 1. nie przez chęć samoopluwania się (bo sam dzięki zbiegowi okoliczności zapewne mam tej wady narodowej względnie mało — mam inne, nie przeczę, ale ta jest u mnie wraz z zawiścią i zazdrością dość wytłamszona) ani 2. zrobienia komuś niepotrzebnej przykrości (czego nie cierpię — robię tylko przykrości programowe w imię tzw. „celów wyższych”), ani 3. przez megalomanię (bo nie uważam się bynajmniej za żadną doskonałość), tylko po prostu chcę raz zrobić coś dla drugich (poza książką o narkotykach) i przyczynić się, choćby minimalnie, do lekkiego choćby odmienienia ogólnej atmosfery naszego kraju, która jest już przykra dla ludzi mogących się od zbiorowego życia wyizolować, a dla pewnych osobników do tego życia społecznego zmuszonych może być wprost nie do zniesienia, nie mówiąc już o atmosferach w poszczególnych przestrzeniach i zakamarach współbytu kulturalnego. Działalność moja w kwestii choćby krytyki literackiej, filozoficznego i ogólnego wykształcenia literatów i rzeczowych dyskusji spaliła, jak to mówią, na panewce zupełnie. Może ta książka, która mi ani sympatii ogółu, ani popularności (za którą nigdy zresztą nie goniłem, uważając, że jest to nagminną wadą literatów polskich wojennych i powojennych) nie przyniesie na pewno, przyczyni się do tego, że każdy jej ucziwy (a jak mało naprawdę intelektualnie ucziwych ludzi jest u nas!) czytelnik zrobi sobie mały rachunek sumienia i zastanowi się na chwilę, w wolnej właśnie chwili od kart, radia, dancingu i kina (no i pracy zawodowej oczywiście) — kim jest, czym jest jego otoczenie, w jakich czasach żyje i co on ma właśnie przed sobą do zrobienia. To już będzie wiele. Mam wrażenie, że w innych krajach ludzie myślą na te tematy i nie marnują się tam przez to tak kolosalne ilości energii indywidualnej i społecznej na próżno.

Nie będę tu gadał wielkich słów (mam wstręt do tego — od tego są obchody), nie będę bił się w piersi i wrywał pękami włosów, skąd się da (od tego są inni). Ale mam wrażenie, że ludzie u nas są tak zblazowani na frazes, że raczej może przemówić do nich ciche poufne gadanie niż ryk jakiegoś nawet genialnego frazesmana z odpowiednio przystrojonej estrady. Nie chcę też poruszać tu tzw. wielkich zagadnień — też nie jestem od nich, poza jedną może filozofią, specjalistą. Co innego w powieści — tam mogą sobie użyć w świecie ordynarnej fikcji, choćby nie wiadomo jak do rzeczywistości zbliżonej.

<sup>109</sup>inni za nas, nami samymi, historię przyszłej ludzkości tworzyć będą. I kto wie, czy to nie będą u nas właśnie, jako typowi niezadowoleni, Żydzi (...) tak jakoś na razie to wygląda — o ile nie opamiętają się w swej zbrodniczej, opartej o krótkodystansowość i krótkowzroczność, robocie nasi antysemici. [przypis autorski]

<sup>110</sup>(...) o ile współcześni wszechświatowi mężowie stanu nie zmadrzeją i nie zarządzą jakiejś dekretowej transformacji od góry. Bo ostatecznie po co są? — możliwe, że Roosevelt jest zaczątkiem nowego typu męża stanu, ale to nie jest jeszcze zupełnie zadeklarowane. [przypis autorski]

Takie pisanie, jak to, to jest właśnie sama rzeczywistość i miara musi być w nim zachowana większa niż w najbardziej życiowym czy społecznym romansie, który też musi być uczciwą robotą, a nie bezczelnym podlizywaniem się najgorszej publice za parę groszy, co się u nas coraz namiętniej i nagminniej robi<sup>111</sup>. Zagwazdranie ogólne, fazdrygulstwo (fastrygowanie połączone z bałagulstwem) i gnypalstwo (grzebanie palcem w tym, czego traktowanie wymaga precyzyjnych instrumentów) doszło u nas do takich szczytów, że już łagodnie mówić i pisać o tym nie można.

Brud, Polska

Trzeba zacząć walić w mordy, myć niechlujne pyski i głowy, i trząść, i łbami zafajdany walić o jakieś chlewne ściany z całych sił, bo naprawdę, jak przyjdą wypadki przerażające naszą epokę obecną — łatwych tryumfów w Lidze Narodów czy czymś podobnym — to mogą zastać już nie naród, a kupę płynnej zgnilizny: „*vermine de l'Europe*”<sup>112</sup>, jak nazywał swych ziomeków pewien polski dyplomata.

Przejdę teraz nagle od zupełnych ogólników do całego szeregu drobnych zagadnień poszczególnych codziennego dnia w tym przekonaniu, że ten codzienny dzień, często niezauważony jako taki, nierozpoznany w swym charakterze, jest w stanie zatruć skumulowanym, scałkowanym działaniem swych różniczkowych wartości wielkie momenty dziejowe i uniemożliwić wyzyskanie wszystkich sił, gdy nareszcie w odpowiednim czasie wielka chwila nadejdzie. To samo tyczy się narodów, jak i poszczególnych osobników. Ważne chwile rozwojowo-zwrotne nie zdarzają się co dzień, podobnie jak chwile natchnienia<sup>113</sup> w dowolnej sferze działalności ludzkiej: od społecznej aż do artystycznej. Cała sztuka polega na ujęciu ich w kluby, na maksymalnym, racjonalnym zużyciu wybuchowych materiałów, które każdy z nas ma w sobie: pyroksyliną na wolnym powietrzu spala się spokojnie — w odpowiednim zamknięciu nabiera potwornej siły prężności. Charakter życia w Polsce jest przeciwny skupieniu wielkich zasobów sił i wydawaniu ich we właściwy sposób w odpowiednim natężeniu, raczej, i to na tle źle rozegranego kompleksu niższości (węzłowiska upośledzenia), prowadzi do powolnego rozładowania ich w drobnych utarczkach codzienności, w zażeraniu się marnym, choć wzajemnym, poszczególnych snardzów o jakiś ochłap, bez wytworzenia silnych potencjałów. Życie nasze jest bezforemne i rozproszkowane wskutek tego, że każdy nie spełnia drobnych obowiązków wobec siebie i innych, uważając się za postawionego na miejscu nieodpowiednim, oczywiście zbyt niskim, i pokrzywdzonego przez los. A ponieważ brak mu istotnych właściwości do faktycznego wzniesienia się ponad siebie, więc musi się z konieczności nadymać i puszyć niepomiarowo. Nie mówię tu o faktycznie pokrzywdzonych przez bandę wyzyskiwaczy nieszczęśnikach ani o ludziach rzeczywiście zepchniętych poniżej ich zdolności i możliwości. Polska jest krajem niewyzyskanych zdolności — to jest inna sprawa, ale to, na tle zresztą tych samych właściwości duchowych, stosuje się tylko do wyjątków: całe tabuny ludzi, którzy mogliby podnieść faktycznie kulturę kraju, muszą zarabiać w nieistotny sposób na życie, aby resztkami sił, na marginesie swojej egzystencji, tworzyć rzeczy najważniejsze dla nich i dla innych — czego to ostatniego zwykle we właściwym czasie się nie dostrzega. Ale ogół składa się przeważnie z nadętych pyszałków, lepszych do wszystkiego, tylko nie do tego, czym są i być powinni. Dlatego poza wyjątkową (chyba Ameryka przewyższa nas pod tym względem) obojętnością na niedolę drugich odznaczają się Polacy wprost mistrzostwem we wzajemnym i niczym nie uzasadnionym okazywaniu pogardy — mówię: *okazywaniu*, gdyż w 98% nie mają do niej żadnej przyczyny — ani w swej własnej wyższości (bo ta jest na ogół urojona), ani w niższości swego przeciwwzgardziela, którego sztucznie się poniża (przeważnie w myślach swych), aby nim skutecznie pogardzać móc. Bo jedynym prawie i niezawodnym środkiem wy-

Polska, Polak

Polska

Polak, Pogarda

<sup>111</sup>romansie, który też musi być uczciwą robotą, a nie bezczelnym podlizywaniem się najgorszej publice za parę groszy, co się u nas coraz namiętniej i nagminniej robi — mam wrażenie, że ohydny stosunek wydawców do pisarzy ma też tu swoje źródło. Trudno nie traktować *en canaille* [fr. na kanalie; red. WL] snardza, który gdy się z nim mówi, śmierdzi cały czymś wstrętnym, co tylko co za marną flotę lizal; a do tego przeważnie jest głupi i niewykształcony. [przypis autorski]

<sup>112</sup>*vermine de l'Europe* (fr.) — robactwo Europy. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>chwile natchnienia — termin ten, nadużyty w tzw. „górnolotnym” znaczeniu, został niesłusznie ośmieszony. Natchnienie bywa we wszystkich sferach działalności ludzkiej. Poza wyjątkowym napięciem wszystkich władz „ducha i ciała” (skrót) polega ono na pewnym skumulowaniu przeszłości. O ile przeszłość ta nie została odpowiednio przeżyta, moment natchnienia musi być zmarnowany. [przypis autorski]

wyższenia się w sposób nieistotny jest pogarda dla drugich. O tych rzeczach chcę teraz pomówić szczegółowo.

## ATMOSFERA MIAST<sup>114</sup>

Zastanawiałem się dawniej wiele razy, na czym polega to, co nazywamy atmosferą danego miasta, a które czyni, że w jednym mieście — i to niezależnie od takich rzucających się w oczy czynników, jak: architektura, kompozycja miasta jako całości (w razie jego małości) lub części (w razie nieobejmowalnej łatwo wielkości), stopień natężenia ruchu i jego charakter, które wpływają na stosunek nasz do danego skupiska ludzkiego, ale dają się łatwo wyeliminować w sędzie o nim przez odpowiednią analizę i abstrakcję — czuję się fatalnie lub świetnie. Otóż te „imponderabilia”, których dawniej jako zamknięty w sobie (raczej w sztucznej jakiejś przezroczystej kulce arystokratyczno-artystycznego światopoglądu) leptosom-schizoid nie widziałem, ujrzałem nagle po przejściu pewnej granicy spyknienia, którą osiągnąłem, poza naturalnym rozwojem w tym kierunku, przez radykalne przewyciężenie używania tytoniu<sup>115</sup>. Nie widziałem zaś ich dlatego, że byłem, *en ma qualite de schizoide*<sup>116</sup>, odcięty zupełnie od ludzi i nie rozumiałem ich wysoce zróżnicowanych charakterów. Odkrycie to może wydać się wielu z moich czytelników-pykników banalnym — dla mnie było epokowym, jak wszystko w ogóle w czasie tej gwałtownej zmiany charakteru i usposobienia. Otóż tym, co stanowi o nieuchwytniej różnicy międzymiastowej, co nadaje tak silne, a tak mało uchwytnie jakości wszystkim naszym przeżyciom w danej miejscowości, którą zwiedzamy, jest *ogólny charakter stosunku wzajemnego ludzi w niej panujący*. Jeśli długo gdzieś mieszkamy, zatracamy zupełnie zdolność reakcji na dany stan rzeczy: najlepiej obserwować zjawiska atmosfery moralnej przy zmianie miejsca połączonej z przeniesieniem w okolice nieznanne.

Miasto

Twierdzę, że zasadniczym stosunkiem Polaka do Polaka jest wzajemna pogarda, jeśli nie naturalna, to sztuczna, a to jest jeszcze gorzej. „*Morga castillana*” — piekielne podobno puszenie się i dżganie się o byle co kastylskich grandów i szlachciców, jest niczym wobec naszej „morgi”, ale raczej w ponurym znaczeniu paryskim. U nich było to zhierarchizowane, obiektywne, u nas nie: puszenie się jest zdeorganizowane przez nadrabianie miną, zapychanie pustek pakułami, wydymanie pustych pęcherzy aż do granic pęknięcia. Na ten temat z dużym wysiłkiem humoralnym skomponował poeta następujący czterowierszyk:

Polak, Pogarda

Hrabia de Bushy<sup>117</sup>

Bardzo się puszy,  
Lecz on wie z czego,  
Choć to nic mądrego.

Pisałem już o tym puszeniu się w wymiarach pseudoarystokratycznych w książce o narkotykach, dziełku ku szkodzie ogółu mało niestety czytany<sup>118</sup>. Ta sama zasada rozszerzyć się da na wszystkie dziedziny. Doszedłem do przekonania, że w Polsce np. są cztery gatunki hrabiów: 1. ci, co mają tytuł i używają go; 2. ci, co mają tytuł i nie używają go (gatunek niezmiernie rzadki, ale sam znam takiego, który dla idei opuścił dom, rodzinę, tytułu nie używa i żyje w nędzy); 3. ci, co nie mają tytułu i używają go i 4.

<sup>114</sup>*Atmosfera miast* — rozdział ten został opublikowany jako artykuł pt. *Atmosfera miast (fragment z „Niemytych dusz”)* w dwumiesięczniku literackim „Skawa” nr 1 z grudnia 1938 r. (s. 6–9). [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*po przejściu pewnej granicy spyknienia, którą osiągnąłem (...) przez radykalne przewyciężenie używania tytoniu* — szczegóły o tych kwestiach pojawiają się w dodatku, który będzie drugim appendiksem do książki mojej o narkotykach. Fajka *bez zaciągania się* może być dla chcących bądź co bądź coś palącego się w pysku trzymać doskonałym wybrnięciem, ale tylko po radykalnym przewyciężeniu istotnej potrzeby tytoniu. [przypis autorski]

<sup>116</sup>*en ma qualite de schizoide* (fr.) — jako schizoid. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*Hrabia de Bushy* — postać rycerska z jednego z królewskich dramatów Szekspira, z walk między Anglikami a Francuzami. [przypis autorski]

<sup>118</sup>*w książce o narkotykach, dziełku ku szkodzie ogółu mało niestety czytany* — podejrzewam, że monopol państwowy przy pomocy jemu tylko wiadomych a potężnych środków zarządną tę cenną książeczkę ze względów czysto egoistycznych. Okropnie! Przypomnijcie sobie tylko artykuły w „Kurierku” namawiające na palenie: „papieros odświeża myśl”, „papieros umacnia przyjaźń” itp. ohydy. [przypis autorski]

gatunek najdziwniejszy, iście polski: ci, co nie mają tytułu i nie używają go, a jednak, nie wiadomo jak, są mimo to hrabiami; on sam, pytany, stanowczo temu zaprzeczy, skarci lokaja, który doń tak powie, i słusznie, a jednak hrabią jest — nie ma na to rady, jak na pluskwy. Ktoś (pewien znany pianista) radził mi, abym się według mojej teorii zaczął teraz dobrze puszyć, to może na siedemdziesiąt rocznicę urodzin dopuszczę się do hrabiego. Ale nie wykonałem tego mając inne rzeczy do roboty, a po wtóre nie wiadomo, jak świat za dwadzieścia lat wyglądać będzie — może nawet w Polsce takie rzeczy stracą wreszcie wartość.

Robak

Otóż u nas każdy napusza się tak, aby móc na drugiego z pogardą patrzeć. Twierdzą, że u nas 85% ludzi, poza normalnym odżywianiem się, żyje, wprost tyje i puchnie z pogardy dla „bliźnich”. Jest to tak dalece potrzebne dla większości naszego społeczeństwa jak oddychanie. Nie karmieni pogardą dla innych ludzie tacy wędną, zamierają, flaczeją i gasną marnie. Powróć do tego problemu w innych transformacjach dalej — na razie chodzi mi o ulicę. Przede wszystkim zawsze można zrobić zarzut taki komuś, który takie rzeczy, jak ja teraz, opowiada: „Masz manię prześladowczą połączoną z megalomanią i wszystko to ci się tylko zdaje. Ciągłe jesteś zwrócony na siebie, przewrażliwiony, przedrażniony, o chorobliwej ambicji” itp., itd.

Pogarda

Jest to bardzo przykry i rozpowszechniony sposób odparowywania wszelkich takich zarzutów, szczególnie jeśli chodzi o oczyszczenie z elementów ohydy zakłamania stosunków przyjacielskich. Jest to jeden z pierwszych objawów oporu u osobników, których przy pomocy analizy ich węzłowisk chce się trochę wyważyć z ich zbyt dobrego o sobie mniemania i uniemożliwić im np. znęcanie się nad drugimi przez odgrywanie na nich swego kompleksu niższości i zatłamszonych, nienasyconych ambicji. Przyznaję, że ja, z moim charakterem i położeniem społecznym, specjalnie byłem narażony na tego rodzaju traktowanie. Ale przeciwnie niż by wydawać się mogło, z wiekiem, mimo wielu gorzkich doświadczeń, i to nieraz na ludziach, którzy mi się zdawali najlepszymi przyjaciółmi, wszelkie rozgoryczenie, które może w małym stopniu miałem w młodości, opuściło mnie zupełnie. Patrzę na najgorsze świństwa względnie pogodnie, albowiem pojąłem ich ukryte mechanizmy. I tam, gdzie w wielu wypadkach widziałbym perfidię, złą wolę, sadyzm czy też świadomą chęć upokorzenia — widzę tylko nieszczęsnego snarżda, zdanego na pastwę swych bolesnych węzłowisk i popełniającego trzy czwarte swych drobnych, a nawet wielkich świństwek zupełnie podświadomie, tylko dla odegrania się jakimś cudem ze swoim kompleksem niższości, w przekonaniu, że jest najszlachetniejszym człowiekiem pod słońcem. I w gruncie rzeczy onże szlachetnym i jest w istocie swej, tylko niemytą duszyczkę ma, o czym zupełnie nie wie i żadnych środków ku jej umyciu nie ma i nie przedsięwzięje.

Brud, Dusza

Wracając do tematu: zauważyłem, że chodzenie po ulicach Warszawy wyczerpuje mnie w specjalny sposób. Wychodziłem z domu zdrów i rzeźwy, i względnie zadowolony z dokonanych czynów, siedłem tam, gdzie miałem ochotę i gdzie nic złego spotkać mnie nie mogło, a dochodziłem na miejsce jakiś skwaśniały, zniechęcony i poźółkły, jakby w stanie lekkiej głątwy czy depresji i fizycznego nawet osłabienia.

Jako właściciel wielkiej firmy gębowzorów, czyli będąc po prostu psychologicznym portrecistą, mam tę wadę, że gęba ludzka w niesamowity sposób mnie interesuje. Normalnie idąc po ulicy musiałem każdą twarz zarejestrować: wziąć ją w siebie, szybko strawić, „intuicyjnie” określić i wyrzygać; każdą — to przesada, ale co drugą, trzecią na pewno, a kraj nasz obfituje w ciężko zakłamate, interesująco zamaskowane i dziwne, skomplikowane i życiowo zmasakrowane mordy — to trzeba mu przyznać. Po kwadransie takiego pracowitego spaceru byłem gotów: uciekała ze mnie wszelka radość życia i bez troska, mordy zatrwały mnie mniej lub więcej wyraźnie wyrażoną pogardą. Patrzyłem też, jak inni się patrzają na innych — to samo: pogarda, cicha, zatłamszona i jadowita lub bezczelna, pyszałkowata, „jurna, butna, junacka, zawadiacka” (ładne wyrazy, co?) i plugawa — zawsze plugawa i śmierdząca. Przestałem patrzeć na twarze i — „o dziwo!” (jak mówił poeta!) — zmęczenie przeszło, bez troska i zadowolenie trwały na ulicy nawet bez przerwy i donosiłem tam, gdzie chciałem, moje dobre samopoczucie bez uszczerbku. Odkryłem tajemnicę miast: tzw. „mal ochio” nie jest błagą — ludzie męczą się i wysysają

Wzrok, Artysta, Pogarda,  
Polak

spojrzeniami, tak jak dodają sobie energii i otuchy<sup>119</sup>. To ostatnie czynią narody o zdrowym instynkcie solidarności: Anglicy, Francuzi, Niemcy, Rosjanie, Włosi, Syngalezi, Tamile i dzicy Australczycy i pewno inni, których nie znam — Polacy nie! — zasadniczo nie szanują się oni wzajemnie, bo nikt nigdy, przynajmniej z początku, nie wie, czy ma do czynienia z pustym, wygniłym w środku, napchanym pakułami „diabłem”, czy też z naprawdę „ludzkim” człowiekiem i dlatego też z góry sobą pogardzają, sycąc w ten nieszlachetny sposób poczucie swej własnej małości i nędzy, zamiast dokonać czegoś, co by mogło ich naprawdę wynieść ponad siebie i świat ukazać w nieznannej piękności. Brrr...

## LOKALE PUBLICZNE

To samo co na ulicy dzieje się też w lokalach publicznych, tylko w jeszcze bardziej intensywny sposób. O ile na ulicy ludzie śpieszą się, myślą o rzeczach aktualnych, dla których się śpieszą, są zatroskani i roztargnieni i tylko bokiem, że tak powiem, załatwiają wzajemne okazywanie pogardy, o tyle w lokalach — poza zabawą, która zaczyna się przeważnie po większych już dawkach alkoholu, paraliżującego, jak wiadomo, przeważnie nastawienie pogardliwe, a wyzwalającego, przynajmniej we wczesnych stadiach nałogowego zatrucia, pogodną i pobłażliwą megalomanię (u pederastów megalopedię) — okazywanie pogardy wchodzącym, wychodzącym, moszczącym się i już siedzącym staje się chorobą nagminną. Jest to niemal jedyna rozkosz lokalu poza wdychaniem ohydnych wyziewów tytoniowych (nie palę bezwzględnie trzy i pół roku<sup>120</sup> — o tym później w appendiksie), słuchaniem rwącej nerwy na strzępy muzyki, tarciem się w tańcu i mówieniem bzdur, które na szczęście tłumi ogólny gwar i ryk ludzi i instrumentów, bo przecie o rozmowie tzw. dawniej „istotnej” (typ ten rozmów jest obecnie prawie na zaginięciu wobec ogólnego zgłupienia i spospolicenia, popieranego usilnie przez odpowiednią literaturę podlizywaczy wstrętnej kłepy — publiki) nie może być w lokalu mowy. Za to puszenie się „odchodzi”, jak pięknie mówiono dawniej w Małopolsce, na całego. „Jak ty śmiesz, szuropadło jedne, siedzieć, gdzie ja się znajduję” — zdają się mówić oczy wszystkich. Ogólne patrzyenie na siebie Polaków w miejscach publicznych przypomina bardzo dewizażowanie się wzajemne kobiet, szczególnie tej „lepszey” (*elle est tres bien*<sup>121</sup>) w stosunku do tej troszkę gorszej.

Pycha

Nikt tak szybko (znowu) nie rozpozna i nie zanalizuje czyichś wad psychofizycznych, jak trochę brzydsza kobieta u tej trochę ładniejszej, wobec której jest speszona: lewe ramię niżej, krzywy obojczyk, nos w lewo, oko prawe opada, rysa koło ust, *O-Beine*<sup>122</sup>, paznokcie na każdym palcu inne, kolana za grube, szyja w fałdach, kostki za cienkie, podbicie za niskie, prawdopodobnie na małym palcu nagniotek — to jest w stanie powiedzieć kobieta o przeciętnej spostrzegawczości o swojej rywalce po piętnastosekundowej obserwacji w ruchu. Otóż podobnie, o ile mi się zdaje, starają się na gwałt odkryć wady „przeciwnie” dwaj Polacy, dążąc przede wszystkim do najszybszego zlekceważenia swego przygodnego *vis-a-vis*, interlokutora czy świeżego znajomego.

Znałem człowieka wyjątkowo inteligentnego, który przedstawiał typ nałogowego, zawodowego lekceważyciela; a ponieważ był odważnym (bił się kilkakrotnie w pojedynkach) i mocnym w pysku dialektykiem, więc nie ograniczał się do ironicznych spojrzeń, podśpiewywał, przytupywał i uśmiechów, tylko miażdżył wprost ludzi zupełnie. „Ilu żeś ich dziś zlekceważył, drogi Percy?” — pytaliśmy go z innym typem gnębiiciela bliższych (na zimno, podstępnie, nieznacznie), trawestując Szekspira — tam było: „zabił”. „Tylko siedmiu — niech diabli wezmą takie beczynne życie” — odpowiadał dosłownym zdaniem biednego Percy’ego, bo do tego znał na pamięć wszystkie podpisy w ilustrowanym wydaniu Szekspira ze wspaniałymi rysunkami de Seluze’a (kto tego nie zna, jest dla mnie po prostu kaleką). Oprócz spojrzeń i uśmiechów, i wyduęcia całej postaci (co było najwyraźniej dla niektórych zlekceważycieli za mało) weszło ostatnio po wojnie w mo-

Śpiew, Pycha, Pojedynek

<sup>119</sup>ludzie męczą się i wysysają spojrzeńiami, tak jak dodają sobie energii i otuchy — ostatnio (1937) przeczytałem o tym ciekawą książeczkę Hübnera *Menschen als Arznei und Gift*, którą dostałem w prezencie od Krystyny Ejból. [przypis autorski]

<sup>120</sup>nie palę bezwzględnie trzy i pół roku — obecnie już piąty rok! Fajka bez zaciągania się (FBZ), co wypróbowałem ostatnio, nie jest właściwie paleniem: jest to pykanie nie zmieniające zupełnie stanu psychicznego w sposób narkotyczny. [przypis autorski]

<sup>121</sup>*elle est tres bien* (fr.) — ona jest bardzo dobra (także w znaczeniu: pochodzi z dobrej rodziny, ma wysoką pozycję towarzyską itp.). [przypis edytorski]

<sup>122</sup>*O-Beine* (niem.) — krzywe, pałkowate nogi. [przypis edytorski]



dę podśpiewywanie przy mijaniu na ulicy lub nawet w polu czy w lesie. Idzie taki pan zupełnie spokojnie; aliści na kilka kroków zaczyna śpiewać czy nucić przeważnie *bez-sensowną* melodię, nuci cały czas mijając i jakie jeszcze dwa-trzy kroki za, potem nagle urywa. Trudno za taką rzecz bić z punktu w mordę, a jednak u wielu pozostaje pewien nieprzyjemny osad, o ile nie zdobędą się na szybką reakcję i nie zaryczą np. jakiejś arii na cały głos. To zwykle peszy bardzo subtelnego zlekceważyciela i z podkurczonym ogonem oddala się jak niepyszny. Ale jeśli przechodzień na śpiew ten nie zareaguje — zdradliwy śpiewak cudownie się zaraz po minięciu ofiary swej poczuje, jakoś mu różniej się zaraz zrobi, świat się piękniejszy zda, kolacyjka i tzw. „kobietki” lepiej smakować będą i sen przyjdzie „niefrasobliwy”, czy jak tam jeszcze ohydniej wszystko to wyrazić można. Zlekcewał taki gość, nie wiadomo po co, Bogu ducha winnego bliźniego i w ten sposób wywyższył się przed sobą, i własna nicość nie gniecie go już tak parszywie w dołku jak przedtem.

Wszystkie takie drobne objawy, zadowalając czające się w głębiach węzłowisko upośledzenia, nasycając żądę własnej ważności w sposób drobnostkowy i niski, uniemożliwiają przez rozmięcenie istotnej wartości tego kompleksu na „drobne”, i to dość parszywe, zużytkowanie go na tle skumulowania ukrytej w nim siły działania w sposób wartościowy. Ciągłe rozpraszenie sił indywidualnych na czynności osłabiające zbiorowość musiało odbić się ujemnie na twórczości całego narodu, która stoi bezwzględnie poniżej przeciętnej europejskiej. Nic tu nie pomogą pocieszania się stuletnią niewolą i krótkością samodzielnego bytu państwowego — właśnie powinno być inaczej: sto lat niewoli powinno było u normalnego narodu skondensować siły, które powinny były wybuchnąć jak wulkan w czasie swobody. Nic podobnego nie widzimy; następuje coraz gorsze zagwazdranie naszych wartości kulturalnych: rozwija się tylko sport rekordowy, radio, coraz bardziej zapełniają się dancingi i kina, ale o wielkiej twórczości nie słychać nic.

Można by mnie zwrócić uwagę, że z tą pogardą to albo mam manię prześladowczą, albo jestem okazem wyjątkowym, słusznie nienawidzonym. Pierwsze, wobec niezwyklej jak dotąd pogody ducha u mnie, mimo przeciwności, jest jawnym fałszem. Co do drugiego, to nie wypada mi się tu wygłupiać w żądaniach choćby obiektywnego sądu, bo jak mówią Niemcy, „*Selbstlob stinkt*” — samochwał śmierdzi. Nie — nie wszystkie takie historie są złudzeniem; coś takiego obiektywnie istnieje i trzeba walczyć z tym przez uświadomienie, bo większość ludzi tak postępujących nie czyni tego przez złość wrodzoną i cynizm, tylko przez nierozpoznanie u siebie fatalnie skierowanego działania węzłowiska upośledzenia, którego napięcia ześrodkowane w kierunku realnej pracy i twórczości mogą dać wspaniałe rezultaty. Skanalizowanie kompleksu niższości powinno być jednym z postulatów wychowawczych w naszym kraju, od wczesnej młodości odpowiednich bubków zaczynając. (Mam wrażenie, że kobiety mają znacznie mniej tego problemu od mężczyzn: one tylko obserwują bacznie wydęcia tych ostatnich i zastosowują do ich stopnia swoje postępowanie, ale jako takie puszą się stosunkowo bardzo mało i to ich puszenie się wpływa niewiele na zatrucie ogólnej atmosfery moralnej. Tak mi się zdaje — oby to było prawdą!)

## PRYWATA

Tak zwana prywata, o której tyle można się nasłuchać w ciągu historii polskiej, jest pośrednio też wynikiem tego samego kompleksu niższości źle ku działaniu obróconego. Jest to w związku z krótkodystansowością indywidualistów, która zsumowana, scałkowana daje krótkodystansowość całego narodu: nie warto się wypinać na nic istotnego, byle jak przeżyć, możliwie znośnie, to życie, a co będzie potem — wsio rawno<sup>123</sup>. Cześć dla przodków, tak rozwinięta w Chinach, tym do niedawna najwspanialszym kraju naszej kuli, jest zupełnie pięknym objawem — nawet poza wszelkimi problemami arystokracji, puszenia się na ten temat i ordynarnego snobizmu. Przodkowie bowiem nasi, oczywiście w tych częściach ludzkości, które zachowały zdrowy instynkt życia, przygotowali naszą przyszłość i im to w dużej mierze zawdzięczamy, jak żyjemy (poza tym, że żyjemy w ogóle) i jaką my znowu mamy platformę dla przyszłościowej twórczości. Nie bardzo mamy za co być wdzięczni naszym dawniejszym przodkom, którzy właśnie przez prywatę, czyli

<sup>123</sup>*wsio rawno* (z ros.) — wszystko jedno. [przypis edytorski]

patrzenie zaledwie na dystans własnego, często parszywego życia, stwarzali dla następnych pokoleń coraz gorsze warunki bytu, zakończone katastrofą rozbiorów i setką lat niewoli. I jeśli się weźmie niemrawość naszą przez całe setki lat ciągle wzrastającą, to zupełnie obiektywnie i bez żadnego lizogonstwa wobec kogokolwiek bądź mówiąc, czyn Piłsudskiego, irracjonalny w początku wojny, a jeszcze bardziej przed wojną, zupełnie nieomal bezpodstawowy, fantastyczny — urasta do gigantycznych rozmiarów. Nie ma drugiego męża w naszej historii, który tak nic dosłownie jako podstawę dla działalności swej nie mając, stworzyłby taki ogrom płodnych w następstwa czynów. Do tzw. wypadków majowych włącznie — wielkość jest bezsprzecznie po jego stronie. Potem miał więcej siły, niż jej dla całości społeczeństwa zużyć pragnął czy mógł.

Otóż tzw. prywata jest to zatrata instynktu trwania gatunkowego, a nie tylko egoizm jednostkowy; ten ostatni prowadzi czasem też do wielkich czynów. To jest więcej: to jest spsienie poczucia solidarności w czasie, czyli po prostu zguba narodu. Można być nawet dobrym i nieegoistycznym człowiekiem na małą skalę i dbać o doraźne potrzeby swych bliźnich zamiast patrzeć w daleką przyszłość. Jeśli większość nawet takich osobników przeważa w danej grupie, jest to dla niej wyrokiem śmierci; cóż dopiero mówić o nas, gdzie może 25% było tego typu, a pozostałe 75% najgorszego warcholstwa. Dlatego chrześcijaństwo nie mogło jako takie utrzymać się w pierwotnym stanie swym w czystej formie, bo „królestwo jego nie było z tego świata”: aby trwać już w stanie deformacji w stosunku do swej idei pierwotnej, musiało przejść okres pseudomorfozy i wcielić się w zupełnie obce organizmy tworzących się państw, tworząc siebie w postaci hybrydycznego nowotwora na pograniczu sprzeczności wyrosłego.

Nasi rzadcy kulturmani w ciągu historii robią na mnie wrażenie ludzi, którzy szczególnie rozstrzygają odpowiedniość miejsc dla powieszenia obrazów w domu, który się pali od dachu, a zalewany jest wodą od fundamentów. Dlatego robota ich, polegająca przeważnie na przyswajaniu prawdziwych zdobyczy twórczych innych narodów, w ogólnym rachunku jest prawie równa zeru. Nic nie pomoże wydymanie tragicznych typów przeszłości, którzy zginęli w bagnie ogólnej miernoty watowanych co najmniej do połowy pseudoobywateli. Połową przyczyny naszej tzw. prywaty była właśnie wata wypychająca manekiny ludzkie na tle źle skierowanej energii węzłowisk upośledzenia. Czy zjawisko watowania, wszelkiego nadymania, podklejania, zakłajstrowywania, i lakierowania jest tak obce naszej współczesnej epoce u nas? Sądzę, że nie — zmieniły się tylko formy, istota pozostała ta sama<sup>124</sup>.

Dziedzictwo szlacheckiej demokracji trwa dotąd, bo jak słusznie zauważył Tadeusz Szturm de Sztrem<sup>125</sup>, nieszlachta dociągała się zawsze do szlacheckiego ideału i mimo pozornego (o jakże pozornego!) zniesienia przywilejów proces ten, doszlachciana się indywiduów i całych warstw społecznych, polega przede wszystkim na przejmowaniu przywar tzw. „klas wyższych” ze względu na nikłość ich zalet. Bo że coś tam ostatecznie powstało, bo po prostu bezwładem samym powstać musiało, nie może wobec otchłani niedoróbstwa być przedmiotem podziwu. Takie postawy osłabiają wysiłek na przyszłość i gorsze są stokroć od samoopluwania się, któremu oddają się tu oto przed wami, „o bracia moi smutni (bez was nijako byłoby mi, bracia)”<sup>126</sup>.

<sup>124</sup> Czy zjawisko watowania, wszelkiego nadymania, podklejania, zakłajstrowywania, i lakierowania jest tak obce naszej współczesnej epoce u nas? Sądzę, że nie (...) — oczywiście komuś znającemu mnie z plotek gawiedzi może się wydać śmiesznym, że blagier, pornograf, erotoman, narkoman, megaloman i czort wie co jeszcze — „uderzył” w ton moralizatora. Nie uważam się za ideał, ale muszę stwierdzić niebywale przeszarżowanie mojej sylwety psychicznej w kierunku ujemnym w opinii przeciętnych kretynów. [przypis autorski]

<sup>125</sup> Szturm de Sztrem, Tadeusz (1892–1968) — polski działacz socjalistyczny i niepodległościowy, członek PPS, żołnierz legionów Piłsudskiego, współzałożyciel PPS-WRN; w międzywojniu autor publikacji m.in. na temat podatku inflacyjnego, bezrobocia i teorii kryzysu. [przypis edytorski]

<sup>126</sup> o bracia moi smutni (bez was nijako byłoby mi, bracia) — powiedzonko ze świetnych wierszy Ludgarda Grocholskiego, który nie wiadomo czemu zaprzepścił się w jakimś parszywym Instytucie Heraldycznym i nawet tego, co dotąd spłodził, mimo moich nalegań nie wydał. Stosunki osobiste oczywiście zerwane. Przecie ja ze wszystkimi zrywam bez powodu, jak mówił pewien idiota. [przypis autorski]

Naród, Samolubstwo

Polska

Polak, Szlachcic, Polska,  
Dziedzictwo

## HODOWLA PRZYJEMNIACZKÓW

Przyjemniaczkami w ścisłym znaczeniu nazywam takie typki, które inni sobie po prostu „przyhołubiają”, aby z nich mieć pociechę jako z okazów do systematycznego zlekceważania i okazywania pogardy.

Przede wszystkim wszelkie drabiny hierarchiczne w urzędach państwowych i prywatnych instytucjach dają pole do stałego nasycania poczucia swej wyższości, często zresztą uczciwie zasłużonego. Nierówność nie da się usunąć w żadnym ustroju, nawet falansterowym; chodziłoby tylko o to, aby każdy typ człowieka był odpowiednio do swych zdolności i w ogóle danych użytkowywany i aby z tego faktu, że dany osobnik z konieczności stoi w danej hierarchii niżej od innego (jako zastosowanie danego stopnia inteligencji czy charakteru), a dalej — skutek tego stanu rzeczy — niżej jako odpowiedzialność, nie były wyciągane konsekwencje co do możliwości jego osobistego traktowania jako stworza godnego specjalnej pogardy. Przeważnie drabina hierarchiczna daje możliwość pewnym typom ludzkim (raczej nieludzkim) do odgrywania ich węzłowiska upośledzenia przez znęcanie się nad swymi podwładnymi. Ci upośledzeni, którzy w danej hierarchii nie są w stanie się ze swymi kompleksami wyładować, używają sobie w innej sferze: np. gnębiony urzędnik odbija sobie doznane upokorzenia w domu czy też na innego rodzaju „najbliższym otoczeniu”. Zjawiska tego rodzaju, pomijając notorycznych, urodzonych sadystów np., a nie ludzi kompleksowych, mogłyby być przez psychoanalizę zupełnie usunięte, a uświadomione poczucie niższości znalazłoby swoje naturalne, produktywne, dodatnie ujście.

Nie dość jest jednak znaleźć odpowiedni typ do nasycania wymienionych wyżej niezadowolonych pożądanym zlekceważaniem jakiejś żywej ludzkiej istoty (są takie prymitywy, którym wystarczają zwierzęta), trzeba go umieć, mimo systematycznych zlekceważań, przy sobie na stałe zatrzymać. Bo coś z tego, jeśli się kogoś raz machnie, a ten wypnie się na nas i odejdzie. Umiejętność tę nazwałem właśnie „hodowlą przyjemniaczków”. Są ludzie, którzy po prostu w tym celują. A sprawa nie jest łatwa, gdyż trzeba zaprowadzić jakąś szatańską miarę między przyciągającym pochlebstwem i zręcznie podpuszczaną trucizną, i to w takiej formie, aby poszkodowany musiał ją połknąć, nic nie mówiąc, nie stawiając problemu *explicite* (o czym mowa poniżej — jest to problem zupełnie specjalny), bo takie postawienie niszczy wszystkie wyniki hodowli i obezwładnia zlekceważyciela momentalnie. Dlatego „oni” (wrażna mania prześladowcza) bardzo nie lubią eksplicitnych „rozmów istotnych” na ten temat.

Dozowanie jądów zlekceważenia jest główną sztuką hodowców. Mam wrażenie, że ja specjalnie nadawałem się do tych celów z moją naturą pykniczną w kierunku „bliźnich” i z moim niewyraźnym stanowiskiem jako malarza, pisarza czy filozofa. Dlatego poznałem dobrze ten mechanizm, do tego dołączyło się dziwne szczęście natrafiania przeważnie na typy wyrafinowanych hodowców. Chociaż twierdę, że pewne typy budzą w większości ludzi ukryte nawet własności, bo przy moim obiektywizmie i absolutnym braku manii prześladowczej (*qui s'excuse s'accuse*<sup>127</sup>) trudno przypuścić, abym spotykał tylko typy wyraźnie sadystycznych zlekceważycieli i to zręcznych hodowców. Na tym kierunku pyknicznym w stosunku do ludzi, a następnie na istic leptosomicznej wrażliwości na złośliwość, chamstwo, brutalność i w ogóle świństwa wszelkiego rodzaju polegało to moje słynne już teraz zrywanie ciągle ze wszystkimi, o którym nie wahałem się pisać w poważnym swym organie dowcipniś tej miary co Antoni Słonimski<sup>128</sup>. (Na tym miejscu oświadczam, że na skutek jego dowcipów właśnie, niezbyt pierwszej jakości, zrywam z nim stosunki definitywnie — 26 IV 1936.) Zlekceważyć tak sobie byle znów kogo to nie jest maksymalna frajda. Wyjść na rynek i okazać pogardę jakiejś przekupce czy woźnicy albo zgoła gówniarzowi nieszczęsnemu, co ekskrementy z miast nieskanalizowanych usuwa lub w kanałach

<sup>127</sup> *qui s'excuse s'accuse* (fr.) — kto się tłumaczy, ten się oskarża. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> *Słonimski, Antoni* (1895–1976) — polski poeta, satyryk, felietonista i krytyk teatralny. Współtworzył kabaret literacki Pikador i grupę poetycką Skamander. W międzywojniu współpracował z „Wiadomościami Literackimi”. Wiele kabaretów (m.in. kabarety Czarny Kot, Qui Pro Quo, Cyrulik Warszawski) korzystało z jego tekstów satyrycznych. W czasie wojny przebywał na emigracji w Paryżu i w Londynie, po wojnie działał w Związku Literatów Polskich i w opozycji. [przypis edytorski]

Urzędnik

Przemoc, Trucizna, Pycha

Pycha, Pozycja społeczna

pracuje<sup>129</sup>, to niewielka pociecha. Bo w świecie panuje niestety nierówność i hierarchia, która będzie przez odpowiednie użytkowanie i poprawienie ogólnego bytu złagodzona, ale całkowicie usunięta nie będzie nigdy.

Otóż ja, ponieważ byłem kimś do pewnego stopnia znanym, a jednocześnie nieznanym i posądzanym o czort wie co, o błagę, nabieranie na powagę wymyślnych, udanych teorii<sup>130</sup>, pisanie na farsę dramatów i powieści, plus jeszcze dzikie i niesamowite plotki, które się mojej osoby stale czepiały, nadawałem się specjalnie do tej roli, w którą dzięki naiwności i braniu ludzi takimi, jakimi mi się wydawali, zawsze po uszy włożyłem, a następnie, zraniony jakimś już wyjątkowo chamskim wyczynem, zrywałem z „hodowcą” stosunki, co było często pozornie nieproporcjonalne do danego przewinienia, a wynikało z podsumowania w danej chwili całego szeregu poprzednich nieodreagowanych złośliwości i zlekceważań. Trudność sytuacji polega na tym, że nie każdy może się zdobyć na rozmowę wyjaśniającą; na to trzeba mieć środki specjalne: przede wszystkim trzeba być dobrym dialektykiem, a następnie dobrym psychologiem, że tak powiem „detailednym”; inaczej hodowca ośmieszy swą ofiarę w ten sposób, że przez ambicję będzie ona musiała się nadal poddawać jego wybrykom w milczeniu i zjadać jad w dowolnych dawkach, na tle właśnie wypadku nieudanego wyjaśnienia mechanizmu puszczanego w ruch przez dręczyciela.

Opisując jednak powyższy mechanizm szczegółowo, daję broń w rękę nawet tym moim kolegom-ofiarom, którzy sami nie posiadają dość środków pod ręką, aby wydać walkę zręcznemu dręczycielowi; bo w razie gdy jeden atak na hodowcę się nie uda, biada nieszczęsnemu przyjemniaczkowi: nigdy nie zdoła on się już podnieść z upadku.

Daję broń ofiarom, ale mogę uświadomić też danego hodowcę, który nie jest urodzonym, świadomym, zimnym drańcem na małą skalę i który tylko przez nieświadomienie odgrywa w tak parszywy sposób swój nieszczęsny kompleks niższości zamiast zużyć tę energię na faktyczne podniesienie się w hierarchii myślących (IPN).

Weźmy jakiś przykład konkretny. Dla mego przyjaciela, wysokiego dygnitarza, np. jestem świetnym medium dla jego upośledzeniowych odgrywek. Nie pójdzie przecie do Boya czy Irzykowskiego, czy innego jakiego akademika i nie będzie się przed nim wypinał. To są wielkości uznane i szybko by takiego pana z jego złośliwościami zlikwidowały. „Przyjaźń” zaś ze mną daje mu specjalne prawa: tu może sobie pod tą pokrywką na wiele bezkarnie pozwolić. Zresztą człowiek taki (o ile człowiekiem go nazwać można) ma doskonałą intuicję, taką miarę dozwolonej nieprawości, jak biedny Bigda<sup>131</sup> miał swoją „miarę czasu”. Nie powie czegoś takiego, wskutek czego przyjaciel jego (nawet przy tym kolosalnym koeficjencie, czyli po prostu współczynniku zrywalności, co ja np.) zerwać by stosunki się odważył. On powie coś takiego, czego owoce będzie sam w cichości smacznie pożywał, podczas gdy jego ofiara w bezsilnej złości skręcać się po cichu będzie, bo na wyzwolenie się z pajęczych sieci sił jej nie starczy. Będzie tak, o ile oczywiście ofiara ta kwestii *explicite* z całą ostrością nie postawi. Wtedy po chwilowym tryumfie<sup>132</sup>, o ile ofiara wytrzyma w ataku, w którym przewagę daje właśnie tortur-majstrowi *explicitne* postawienie kwestii, może zacząć być z nim źle. Tylko nie ustawać i dognębić do końca, a może, poza osobistym tryumfem, uratujemy uczciwego snardza od wielu pozornie małych, a jednak z punktu widzenia przyjaciela np. dość grubawych świństwewek.

Ofiara, Słowo

<sup>129</sup>gówniarzowi nieszczęsnemu, co ekskrementy z miast nieskanalizowanych usuwa lub w kanałach pracuje — piszę to nie dlatego, abym sam tymi fachami pogardzał. Nie ma uczciwego zajęcia (z wyjątkiem kata, bo kary śmierci być nie powinno), które by jako takie pogardy godnym było. Piszę tak z ogólnego, bliżej nieokreślonego punktu widzenia. [przypis autorski]

<sup>130</sup>byłem kimś do pewnego stopnia znanym, a jednocześnie nieznanym i posądzanym (...) o błagę, nabieranie na powagę wymyślnych, udanych teorii — jeśli kiedy będzie w historii literatury przeprowadzona rewizja, to dostanie się za takie opinie niektórym porządnie. Tak Grzymała-Siedlecki albo i sam Irzykowski między innymi smutne sobie wystawili umysłowe świadectwo, uznając za zupełne bajki rzeczy, nad którymi trzeba było tylko trochę pomyśleć, no i dla których zrozumienia trzeba było coś samemu umieć. [przypis autorski]

<sup>131</sup>Bigda — tytułowy bohater powieści Juliusza Kadena-Bandrowskiego *Mateusz Bigda*, urodzony w nędznej chłopskiej rodzinie ludowy przywódca, który dochodzi do stanowiska premiera Rzeczypospolitej. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>tryumf — co ja się nawściekałem na ten ohydny „triumf” (albo jednozgłoskowo, albo „tri-umf”) i teraz wyszło na moje. A przedtem największe powagi mi tłumaczyły, że właśnie tak, a nie inaczej trzeba. Biednaż ty polska pisownio, biednaż, jak by powiedział poeta. Ale co przy tym z innymi słowami zrobiono, jest wprost potwornością! [przypis autorski]

Muszę podać tu jeden choćby przykład konkretny, który starczy za tomy całe omawiających wyjaśnień. Jest to przykład nieomal klasyczny i dlatego mimo pewnych osobistych dla mnie niedokładności w nim zawartych muszę go tu detalicznie omówić. Nie uważam się bynajmniej za geniusza (jak to mi paru niepoczciwców starało się wmówić — tzn. nie genialność bynajmniej, tylko właśnie uważanie się za geniusza jako takie), ale znowu nie mogę zgodzić się z sądami różnych, niezbyt oczywiście dla mnie miarodajnych czynników, które chcą mnie zmieszać z błotem i odmówić wszelkiej wartości malarskiej, pisarskiej, scenicznej i filozoficznej. Jestem dość od siebie wymagający i mam wrażenie, że mój trzeźwy sąd (jestem przecie spsyoanalizowany dokładnie — to jest bardzo ważne) o sobie niewiele odbiega od rzeczywistości *in plus*, a w chwilach depresji *in minus*. Dowcipy i aluzje na temat megalomanii byłyby dowcipne w stosunku do kogoś, który by zdradzał tę wadę. Ów dygnitarz jest zaś znawcą dowcipu i czyjąś nawet lekką gafę ocenia natychmiastowo z dużą dozą słuszności. Jest przy tym jako życiowiec wyjątkowo sprawiedliwy i czuły na najdrobniejsze psychologiczne subtelnosci, mogące przynieść zmianę w ocenie czynu w kierunku dodatnim dla „oskarżonego”. Jest to człowiek notorycznie dobry i uczynny, czego nieraz na sobie doświadczyłem. Jest przy tym normalnie bardzo delikatny, nawet subtelny w obcowaniu z ludźmi. Czemuż niektórzy stanowią w stosunku do niego trwałe (jak ja), inni zmienny wyjątek?

Ogólne moje twierdzenie jest: *gdziekolwiek widzisz, że notorycznie dobry snardz okazał się okrutny, zimny, bezwzględny i nieuczynny, gdziekolwiek osoba zwykle delikatna (tj. taka, która „nie mówi o sznurze w domu powieszzonego”) łapnie nagle jakąś obscurną brutalnośćkę dla kogoś niezmiernie przykra, jeśli ktoś pocziwy jak baran nagle wypuści z siebie śmierzącą złośliwość itp., itp. wypadki bez liku, w których gość zaprzecza znienacka swemu istotnemu charakterowi, szukaj kompleksu, a przede wszystkim źle odegranego kompleksu niższości, czyli węzłowiska uposledzenia. W ten sposób da się wytłumaczyć mnóstwo odstępstw od charakteru, mnóstwo niespodzianek, wobec których często i dobrzy nawet psychologowie normalnego typu stają jako wobec nierozwiązalnych zagadek, a przez nowy pogląd na te sprawy mnóstwo sądów bezwzględnych o ludziach, nieporozumień, zadanych niepotrzebnie ran, zerwań, a nawet zbrodni (psychicznych i zwykłych fizycznych) może być łatwo usuniętych. (Chciałbym choć raz w życiu być „dobroczyńcą ludzkości” bezpośrednio i może mi się to uda, o ile myśl moja o groźności małych pozornie truciznek codziennego życia zostanie należycie zrozumiana, a prośby o wglądnięcie w zakamary własnych niemytych dusz wysłuchane<sup>133</sup>).*

A więc „do dzieła”, jak mówiono dawniej — tylko z góry nie opierajcie i nie zaoparzajcie się, o kotki me: wierzcie, że nie mam ani tzw. nadwrażliwości, ani manii prześladowczej, tylko jestem zwykłą (może nawet niezupełnie — dodaję to dla obiektywności), ale za to dość porządnie umyłą duszą. Tym samym nie twierdzę, że jestem bez wad. Przeciwnie: mam wady zapewne nieuleczalne, ale widzę je dość jasno. Wściekłość mnie tylko porywa, jak widzę zupełnie porządną osobę zdanych na pastwę ich kompleksów, popełniających drobne, ale jadowite świństwka, na widok których, żeby mogli je zobaczyć, wzdrygaliby się i rzygali nawet ze wstydu i wstrętu.

Otóż nie ma nic gorszego, gorszego ośmieszenia i poniżenia dowolnego snardza, jak wskazanie przy pomocy aluzji przy osobach trzecich, że uważa się on za geniusza (lub w ogóle za coś dużo lepszego, niż jest), podczas gdy wiadomo przecie, że jest on takim a takim sobie bubkiem i koniec. I oto taki „przyjaciół”, który by mi nieba w normalnej świadomości przychylił, „łapie” w obecności mało mi znanej przystojnej i interesującej damy taką rzecz *à propos* rozmowy o moim ewentualnym i mało zresztą prawdopodobnym zaginięciu w górach: „I gazety napiszą, że zginął w tajemniczy sposób genialny Witkiewicz”. Przy tym oczy tortur-mistrza błyskają dzikim zadowoleniem, a szczęki rozsuwa bestialski, okrutny śmiech. I tak postępuje najlepszy w świecie człowiek, który — wiem

Dobro, Grzeczność,  
Okrucieństwo

<sup>133</sup>Chciałbym choć raz w życiu być „dobroczyńcą ludzkości” bezpośrednio i może mi się to uda, o ile myśl moja o groźności małych pozornie truciznek codziennego życia zostanie należycie zrozumiana, a prośby o wglądnięcie w zakamary własnych niemytych dusz wysłuchane — na zarzut pewnej „działaczki”, że nie pora babrać się w psychologicznych subtelnostkach, gdy dom się pali lub trzeba ratować tonących, odpowiem: właściwie dom się pali i toniemy od samego tzw. „zarania” ludzkości. A rzeczy, o których mówię, ważne są w każdym ustroju społecznym; wymienione świństwka mogą zatruć życie w dowolnie doskonałej strukturze społeczeństwa. [przypis autorski]

o tym — ma nawet dla mnie w zwykłej świadomości pewne uznanie i szacunek. Kobieta uśmiecha się również zadowolona (w każdej kobiecie musi być sadystka — to stanowi urok ich i niebezpieczeństwo — musi, bo mają takie, a nie inne organy i środki działania, dane im na udrukę i rozkosz samców przez naturę) i obserwuje pilnie (jak i sam kat również), jakie objawy zachodzą na twarzy ofiary.

Przez moją twarz przechodzi cień głuchego bólu, wstydu i bezradności. Bo co tu robić w takiej sytuacji? 99,99% ludzi kurczy się w takich razach w sobie i poprzysięga zemstę przy innej sposobności. Dajmy na to, ja mógłbym doczekać np., kiedy rzeczony dygnitarz (który miał kiedyś lekkie aspiracje muzyczne) będzie jechał na urlop do Rymanowa, i powiedzieć od niechcenia: „I oto w «Rymanowskim Gońcu Zdrojowym» (czy czymś takim) pojawi się notatka, że wielki muzyk zawitał do skromnego zdrojowiska”. Byłoby to świństwo pierwszej klasy, bo wiem o muzycznych dążeniach dygnitarza i wiem równie dobrze, że mimo całej sprawiedliwości, sumiennosci, dobroci i uczoności w ekonomii wielkim człowiekiem nie jest, nawet w swym własnym zawodzie (a nie tylko *in potentia*<sup>134</sup> w opuszczonej dla wyższej kariery czy też przez intuicję swych miernych zdolności muzyce), nie mówiąc o jakichkolwiek innych sferach działalności ludzkiej.

Po chwili milczenia (w której tłamszę obrazę i żal — tamci liczą, że na takie rzeczy nie ma odpowiedzi, bo odpowiedź wkopuje tylko zaatakowanego jeszcze gorzej, dając dowód, jak się ofiara ciosem tym przejęła — delikwent musi pożreć wszystko na oczach otoczenia, które napawa się jego upokorzeniem i „niewiedzeniem-co-począć”<sup>135</sup>) z trudem podnoszę się do walki eksplicytnej z nieznośnym stanem rzeczy: czyn, który spełniam z całą świadomością olbrzymich środków psychologicznych i życiowej znajomości tzw. „natury ludzkiej” (przeważnie jest to dobrze zaklajstrowane świństwo — to, co nim nie jest, nie należy jakby do tego gatunku, jest jakimś irracjonalnym wyjątkiem, bo niezmiernie cienka jest warstewka lakieru, którym pokryte jest niby uspołecznione bydlę ludzkie — banały, ale trzeba o tym wspomnieć), jest objawem niezmiernie rzadkim: olbrzymio większa część ludzi poddaje się w wypadku takim bezwładnie, maskując w jakikolwiek sposób rzeczywisty stan uczuć i licząc na odegranie się w przyszłości.

Kondycja ludzka

Mówię:

— Czyż nie czujesz, Gustawie, że mówisz teraz rzecz przykrą, niesmaczną, niedowcipną, tylko aby mnie nie wiadomo po co poniżyć i fałszywie przedstawić wobec panny Ludwiki i mieć nade mną wątpliwej wartości przewagę. — (Brwi kobiety skaczą do góry ze zdziwienia — wygląda, jak zwykle zdziwiona samica, wspaniale.)

GUSTAW (Twarz powleka mu bladokrwawy cień zniecierpliwienia, a nawet lekkiej złości, która potem umiejętnie zostaje przetransformowana na żal jakiś, oburzenie przyjaciela na niesprawiedliwość, głębokie zranienie najpiękniejszych uczuć.) — Ależ Stasiu, wstydziliś się z takiego głupstwa robić kwestię. Przecież powiedziałem to ot tak sobie.

JA — Nie, kotku, nie ot tak sobie, tylko chciałeś odegrać twój kompleks niższości. Ja specjalnie nadaję się do takich rzeczy...

GUSTAW (Już tryumfuje: ofiara wpadła w wilczy dół — można ją przytłamsić jeszcze więcej. Kobieta oblizuje się z zadowolenia wywołanego świadomością asystowania przy walce dwóch bezrozumnych samców. [Gustaw] mówi, stukając się palcem w czoło.) — Stasiu, Stasiu — źle jest z tobą: wyraźna *mania persecutionis acuta*<sup>136</sup>. Już parę osób mówiło mi o tym. Z tobą trzeba ciągle uważać...

JA (Z goryczą) — Tak: ty uważasz. Ty naumyślnie robisz takie kawały, a potem mówisz o specjalnej uwadze...

GUSTAW (Już cały rozplynięty w rozkoszy wyższości.) — Musisz się leczyć. Znałem podobny wypadek. Dziś siedzi już w Tworkach. Naprawdę jest z tobą źle. (Bierze mnie lekko, niby czule — to najgorsze — za rękę, którą wrywam ze wstrętem „jak oparzony”.)

<sup>134</sup>*in potentia* (łac.) — potencjalnie. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*tamci liczą, że na takie rzeczy nie ma odpowiedzi, bo odpowiedź wkopuje tylko zaatakowanego jeszcze gorzej, dając dowód, jak się ofiara ciosem tym przejęła (...)* — wszyscy, którzy uważają analizę tę za przesadzoną, niech wmyślą się w siebie (i w innych) dobrze, a przekonają się, że na przykładzie tym demonstrują strukturę wydarzenia nieomal wszechludzkiego, najcodzienniejszego i najbardziej zatrważającego życiową, społeczną i kulturalną w ogóle atmosferę. Jest to model ogólnego równania, w które za niewiadome dowolne wartości dadzą się podstawić — trzeba tylko dobrze zrozumieć ogólny mechanizm tego potwornego proceduru. [przypis autorski]

<sup>136</sup>*mania persecutionis acuta* (łac.) — silna mania prześladowcza. [przypis edytorski]

JA — To niby staranie o moje zdrowie jest nową złośliwością. Robisz ze mnie wariata, abym nie mógł się obronić przed twymi złośliwościami.

GUSTAW (Już *naprawdę* oburzony — on to łapnął podświadomie, a kara go spotyka jak za przestępstwo. Na tym polega pełna oburzenia, ale zupełnie dla nich szczerą obroną niemytych dusz (NDN) — drugie N oznacza, jak zawsze u mnie, liczbę mnogą.) — To ty jesteś niesprawiedliwy przez tę twoją nieznośną nadwrażliwość. Wiesz, że nie masz życzliwszego człowieka ode mnie, i imputujesz mi rzeczy wprost brzydkie. (I nie wie biedaczek-kat-Gustaw, że faktycznie je popełnia, tylko boczną rurką idącą wprost z bebeczków, tak zwanym psychowypierdnikiem, niepodległym kontroli ośrodków wyższych, w obrębie których do rany go można ze skutkiem przykładać.) To jest już krzycząca niesprawiedliwość!

JA — Widzisz: wywracasz kota ogonem, i to w worku: z krzywdziciela robisz z siebie zrzęcznie ofiarę i mnie stawiasz w roli wariata o manii prześladowczej, ohydno go tzw. „nerwusa” (asocjacja: nerwowy duchowy oberwus), nadwrażliwca, jakąś kurczącą się glistę, połączoną z niesprawiedliwym kwerulantem (czyli po prostu kłótnikiem), fałszywym przyjacielem i niewdzięcznikiem. (Gustaw robi gest wzywający Boga o pomstę w kierunku kobiety, która uśmiecha się życzliwie: jestem, sądząc z tego symptomu, pokonany. Ale nie — muszę zwyciężyć lub zginę — jak? — nie wiem, ale zginę na pewno.)

GUSTAW — Pani widzi, przecież to jest maniak.

JA — Gustawie, ulituj się: mówmy jak stworzenia rozumne. Każdy, który poddany zostanie psychoanalizie, wykazywać musi opór. Jest to klasyczny wypadek, opór musi być — trzeba go przezwyciężyć i wtedy dopiero ukazują się wspaniałe perspektywy życia ponad kompleksami dla dusz naprawdę umytych. (Staram się być pojednawczo dobry, opanowawszy pierwszy odruch złości — chcę się porozumieć, jak to inteligentom przystało. Nic z tego: kompleksy grają sobie dalej jak katarynki, głuszac głos rozumu.) Wszystko to robisz podświadomie...

GUSTAW — Otóż to. Wmawianie komuś czort wie czego pod pozorem uczonej teorii, a gdy to się nie da, mówienie mu o jego podświadomości. W ten sposób wszystko zainsynuować można...

JA — O nieszczęsny! Ty nie widzisz, że każdy musi na sam cień psychoanalizy tak właśnie reagować. Człowiek chroni swoją podświadomość jak skarb. Poza tym, że nie chce wiedzieć już nic o przykrych rzeczach, o których zapomniał, nie chce, aby mu odebrano możliwość odgrywania bez hamulców jego kompleksów. Czymże by nasycił swoje poczucie podświadomej niższości!

GUSTAW — Teraz ty jesteś beczelnie złośliwy. Skąd wiedzieć możesz, że mam taki kompleks, o ile w ogóle cały freudyzm nie jest bzdurą.

JA — Po uczynkach ich poznacie je. Twoje drobne świństwka przemawiają, na tle twojej pozytywnej wartości płynącej z warstwy świadomej, o tym, że zły kobold pracuje w podziemiach twojej duszy, każąc ci spełniać bezwolnie jego zachcianki — to jest właśnie podświadomość — nie wiesz, co czynisz — nie można mieć o to do ciebie pretensji, ale trzeba, aby ten drugi, prawdziwy „ty” dążył naprawdę do samouświadomienia. Zastanów się tylko, czy żeby tu na moim miejscu — znenawidzonego prawie przez wszystkich, a trochę uznanego przez niektórych — siedziały powagi w rodzaju Boya czy Irzykowskiego, czy zrobiłbyś takiego wita w stosunku do nich? Nie — to jest oczywiste.

GUSTAW — Zrobiłbym na pewno. (Mówi to z fałszywą żarliwością i pewnością siebie.) Ależ oczywiście, że zrobiłbym.

JA — A ja ci mówię, że nie. Mówisz to zupełnie nieszczerym tonem; wątpię, czy wierzysz w to sam. Nie masz siły wmówić tego nawet w siebie, a cóż dopiero we mnie.

GUSTAW — Wiesz, że to zaczyna być nudne — to babranie się we mnie, w jakichś szczegółach nic nikogo nieobchodzących. Ty jesteś w ogóle maniak, nie tylko maniak prześladowczy: mania grzebania się w sobie i w innych. Są rzeczy ciekawsze i piękniejsze, i pożyteczniejsze...

JA — Tak, to jest typowe: jest nudną rzeczą uświadamianie sobie swych drobnych nieświadomych, niegodnych nas w naszej pełnej świadomości postępów, które dają nam możliwość bezkarnego odgrywania swego życiowego „katzendreckera”, swego „nieudacznictwa”, nieudałości, na niewinnych ofiarach. A co najgorsze, że uświadomienie takie, o ile oskarżony zrozumie swoją winę i przyzna się do niej, raczej jeśli będzie do tego

Sprawiedliwość, Kara,  
Walka, Konflikt  
wewnętrzny

Dusza, Konflikt  
wewnętrzny

z absolutną oczywistością zmuszony, zamknie mu raz na zawsze drogę w stosunku do tego osobnika, który go uświadomił, a o ile nie jest bezwstydnym wobec siebie sadystą, to może i wobec innych w sferze tego rodzaju postępko-występków. Albo też zerwie ze swym uświadomicielem stosunki — to jest najpospolitsze.

GUSTAW — Życ by nie można, gdyby człowiek się babrał ciągle w takich subtelnościach. Tego nie wmówisz w nikogo — nikt tego nie zniesie. Tylko ludzie będą ciebie unikać i zostaniesz w końcu sam jak byczy ogon na śmietniku.

JA — Wspaniały dowcip, godny zaiste Słonimskiego. Czyż ty nie widzisz, ile energii ludzie marnują na zupełnie nietwórcze przeżeranie się w witzach, dowcipach i złośliwościach, psując sobie nerwy też, ale głównie innym, którzy znowu psują nerwy im nawzajem. Cała ta energia mogłaby być użyta na co innego.

GUSTAW — To jest gruba przesada. A zresztą dość mam tego: jeśli ci tak chodzi o tego geniusza i tak głęboko jesteś tym głupstwem zraniony...

JA — O! to jest też wybieg zlekceważenia przeciwnika i uniemożliwienie mu napadu przez apelowanie do jego ambicji. Wielu możesz zatkać w ten sposób gęby, ale nie mnie...

GUSTAW — Tak, ty masz w gębie siłę trzystu koni, jak pisał Boy o pewnym pocie — ty każdego potrafisz na śmierć zagadać.

JA — Ty byś chciał bezkarnie wbijać szpilki innym za paznokcie i w skrytości cieszyć się ich bezsilnym cierpieniem...

GUSTAW — Robisz ze mnie wprost potwora. Panno Ludwiko — prawda?

ONA — Ależ oczywiście, żyć by nie można, gdyby się tak zwracało uwagę, jak tego chce pan Witkacy...

GUSTAW — A zresztą przychodzi mi na myśl, że ja przecie wcale nie powiedziałem tego inkryminowanego zdania od siebie, powiedziałem, że „napiszą w gazecie” — dosyć.

JA — Otóż to jest szczyt ohydy, bo teraz chcesz mnie zgnać zlekceważając termin „geniusz”, którego nie tylko użyłeś podświadomie, aby mnie zranić — i zranileś, tylko nie tym, czym chciałeś, tylko tym faktem, że ty możesz być *takim* w stosunku do mnie — ale nawet w cudzysłowie, jakby od gazety, a nie od siebie. I tuś się złapał we własne sidła, bo tym samym przyznajesz się, że użyłeś tego słowa w znaczeniu jawnie humorystycznym, aby ośmieszyć wobec panny Ludwiki poważnego zresztą faceta, czyli snardza, którego naprawdę za geniusza byś mieć nigdy nie mógł; nawet gdybym nim naprawdę był, to nie byłbym nim dla ciebie jako dla mego przyjaciela.

GUSTAW — Teraz ja cię mam. A jednak masz ten problem naprawdę. Mimo pozorów jesteś megalomanem.

A — Powiedz jeszcze: blagierem i pozerem, a będzie seria epitetów, które nadają mi moi wrogowie spod ciemnej gwiazdy. Ale tego ty nie potrafisz, nawet ty...

GUSTAW — Co za niesprawiedliwość itd., itd.

Oto typ tego rodzaju rozmówek, które doprowadzają do rozpaczy. Ale jeśli się je z uporem przeprowadzi do końca i odkryje przez to hodowcy jego całą ohydę, to o ile jest on uczciwym człowiekiem, musi się wśród potwornych mąk samobiczowania poprawić. Niestety niewielu bardzo ma na tego rodzaju procedery czas i ochotę. Przeważnie ludzie te rzeczy załatwiają tak, że taplają się w bagnie najohydniejszych wzajemnych podświadomych odwartościowań i zadowoleń najniższych pożądań: wywyższania się kosztem drugich. Powtarzam, problemy te ważne są we wszystkich warstwach umysłowych i w każdym ustroju. Rozwiązanie ich, które jest kwestią dalekiej przyszłości, uwolni ludzkość od potwornego w swych rozmiarach, a zupełnie nieuświadomionego procesu samozatrutowania się, który nie tylko zagwazduje terażniejszość, ale wisi jak zmora nad całą przyszłością. Drobne kątowe różnice szybkości urastają do kolosalnych rozmiarów przy odpowiednim przedłużeniu promieni. Tak samo jest z tymi zagadnieniami, jak i np. z problemem radia, które oprócz swych dodatnich efektów przyczynia się nie tylko do upadku samej muzyki, ale też do doszczętnego oglupienia i zatłamszenia wszelkich wyższych aspiracji duchowych u większości tzw. niesłusznie inteligencji, tj. tzw. właściwie „surdutowców”, tzn. porzebiaranych cudacznie nieszczęsnych zwierzątek.

Muzyka, Upadek



Pozycje węzłowiskowiczów-upośledzeniowców świetnie są bronione<sup>137</sup>. Nie każdy chce się narażać na klęskę, nie mając odpowiednich środków walki (ale zaznaczyć trzeba, że *pierwszym warunkiem zwycięstwa jest absolutna szczerść*, jakkolwiek bez odpowiedniej znajomości psychologii, freudyzmu i bez pewnej umiarkowanej dialektyki nic sama tu nie wskóra) łatwo może usłyszeć, że jest pesymistą w stosunku do ludzi, że ludzie wcale nie są tak źli, że chyba musiał doznać wielu krzywd (zwłaszcza od kobiet) i dlatego jest taki podejrzliwy, że jest małostkowy (w przeciwieństwie do dużostkowości kompleksowicza!) lub że jest wręcz obłąkany. To wszystko nie jest do wysłuchania przyjemne i obrona, jak to widać z naszkicowanej tu mojej rozmowy z Gustawem, nie jest łatwa. O ile po pewnym okresie oporu nie nastąpi nagle znaczna poprawa, trzeba przyjść do wniosku, że ma się do czynienia z „zimnym draniem” i zostawić gościa na lodzie.

Otoczenie myśli sobie: jeśli taki snardz jest tak jadowity i złośliwy, to cóż to muszą być na to za podstawy, a tymczasem często nic tam nie ma prócz jadowitej pustki i pretensji do „bytu w ogóle” i do losu<sup>138</sup>. *A propos* szczerści mała dygresja: nie zawsze źle rozumiana szczerść jest czynnikiem dodatnim (przeważnie zresztą ludzie naprawdę szczerzy, np. ja, uważani są długie lata czasem za blagierów i pozerów — tę prawdę zawdzięczał Tomaszowi Zanowi, ale długo jej nie rozumiałem istotnie). Weźmy np. krytyki Słonimskiego, który zionie wprost niewygranym kompleksem niższości, o czym raz już publicznie wspominałem<sup>139</sup>. Kiedyś mówiąc o Słonimskim z jedną z „dam hufcowych” „Skamandra” wyraziłem się o nim źle jako o krytyku, zarzucając mu brak subtelności wartościowania i pewną stronniczość w ocenach, np. w stosunku do sztuk: Andrzeja Rybickiego i mojej (mniejsza z tym — kwestia ta nie jest ważna jako taka) — pani owa odpowiedziała, usprawiedliwiając go: „On jest za to zupełnie szczerzy”. Otóż szczerść absolutna jest tu nie na miejscu. Nie ma człowieka, który by na widok czyjegoś względnie morowego wyczynu nie doznał lekkiego choćby speszenia, objawiającego się przemknięciem charakterystycznego „cienia zawiści” po dokładnie choćby zamaskowanej twarzy, mordzie czy pysku. Nawet ja, którego czynami i sądami nigdy nie kieruje zawiść, doznaję tego wrażenia. Jeśli nagle jakiś snardz, który dotąd żył sobie skromnie, powie mi: „Wiesz — zostałem profesorem konserwatorium w Valparaiso”, to „mimo woli” skurczy mi się gdzieś jakiś bebeszek i cień przemknie mi gdzieś tu między oczami a czołem, koło brwi i nad powiekami. *Mimo to nie zacznę wtedy ganić jego kompozycji, które mi się przedtem podobały, i nie zacznę bez powodu opowiadać o nim, że jest draniem, mimo że dotąd uważałem go za uczciwego snardza. O to tylko chodzi: nikt nie jest wolny od takich odruchów, ale nie mogą one wpływać na nasze sądy, stosunek do danych ludzi i czyny.* Otóż czasem trzeba nie być szczerym, o ile właśnie można się obawiać, że czyny dane mogą mieć wymienioną pobudkę. To nie jest wtedy nieszczerść, tylko zbadanie dokładne podstaw danego swego sądu. Szczerza byłaby np. taka niepoddana analizie krytyka, gdyby autor oświadczył przed ujęciem jej w nawias: „Teraz będę mówił, co mi ślina do gęby przyniesie, nie licząc się z tym, czy sąd mój dyktowany jest zawiścią, czy też istotnie negatywnymi walorami krytykowanej rzeczy”. Wtedy można sobie pozwolić na wszystko, nawet na robienie pipi na głowę — będziemy wiedzieli, co to znaczy. Ale nie można rzygać na kogoś z zawiści, podając to za sąd tzw. „obiektywny” o „artystycznej stronie rzeczy”. Tyle wiedzą nasi krytycy o owej artystycznej stronie, ile ja o własnościach rolniczych patagońskiego guana. Słonimski jest średnio wartościowy jako tępiciel tandety, która cokolwiek inteligentniejszemu snardzowi do oczu wprost swą tandetnością skacze, ale nie można powiedzieć, żeby miał „*eine Hand für die Nuancen*”<sup>140</sup>. Jako „niezanalizowany” może łatwo kiksa zro-

Zazdrość, Kondycja ludzka,  
Pozycja społeczna

<sup>137</sup> *Pozycje węzłowiskowiczów-upośledzeniowców świetnie są bronione* — Zawsze zwracam uwagę, że mówię o porządnym snardzach, wskutek nierozwiązania kompleksów zabląkanych. Tzw. „zimnych draniów” nikt od sadyzmu nie odczyty i jeśli tylko ktoś się przekona, że z takim panem ma do czynienia, a sam na pewno takim istotnie nie jest, powinien zerwać z nim, póki czas, i nigdy się na powrót nie godzić. [przypis autorski]

<sup>138</sup> *często nic tam nie ma prócz jadowitej pustki i pretensji do „bytu w ogóle” i do losu* — ja na mój los w ogóle nie narzekam. Uważam się za „dziecko szczęścia” po prostu, wzięwszy pod uwagę pełne niezabieganie o przyszłość, popularność i przymierze z publiką i plugawcami (tzw. 5 „p”). Każda chwila mojej egzystencji bez głodu i wszów jest dla mnie niepojętym cudem. [przypis autorski]

<sup>139</sup> *Słonimskiego, który zionie wprost niewygranym kompleksem niższości, o czym raz już publicznie wspominałem* — normalnie o takich rzeczach pisać nie wypada. Ale kto się zbyt osobiście przed publicznością wypina, zmusza też do odpowiedniej reakcji. Robię to dla dobra ogółu, a nie dla załatwiania rachunków osobistych. *Au fond* [fr. u podstaw, w gruncie; red. WL] nic mnie to nie obchodzi. [przypis autorski]

<sup>140</sup> *eine Hand für die Nuancen* [haben] (niem.) — mieć rękę (wycucie) do niuansów. [przypis edytorski]

bić, np. krytykuje ostro bardzo Kiedrzyńskiego, od którego w swej twórczości scenicznej (nie poetyckiej, której jestem poniekąd, z pewnymi ograniczeniami, wielbicielem) mało co się różni, a jednocześnie różnie z życiowego punktu widzenia rzeczy, które wymagałyby bardziej reaktywnie zniuansowanych aparatów odbiorczych, a nade wszystko jakiegos choćby rudymenarnego systemu pojęć oceny. Oczywiście właściwości czyjeś poznajemy lepiej i dokładniej, jeśli o naszą skórę chodzi. Ale u mnie czynnik osobisty przez stałą tresurę od wielu lat i przez psychoanalizę zrobioną przez dr de Beaurain jest usunięty nieomal całkowicie: jestem w stanie na równi bronić wroga przed niesprawiedliwością, jak pożreć się tak z najlepszym przyjacielem, że tylko kości ogonowe zostaną, jako już zupełne „inmandzjabilia”. Dlatego posądzanie mnie, że wskutek *ostrej* krytyki mogę się czuć dotknięty i zmieniać sąd, jest zupełnie niesłuszne, a nawet nieładne<sup>141</sup>.

Postęp w kierunku, o którym mówię, może się odbyć wtedy, jeśli np. na tle istotnego zrozumienia tej mojej książki wszyscy do wszystkich ostro się zabiorą i wzajemnie gruntownie wyczyszczą. Niedawno widziałem się ze snardzem, który przez dwa lata po świńsku ze mną postępował, nie chciał tego uznać, kłamał przed sobą, wymyślał na Freuda i w ogóle stawiał opór jak mrówkojad przyparty do muru. Dziś jest wielbicielem Freuda, któremu (pośrednio też mnie) nowe życie zawdzięcza, już się nie opiera, już jest na drodze do doskonałości (prawdziwej, a nie zakłamej pod maską teozofii czy innej pseudoreligijnej bzdury<sup>142</sup>); odbył spowiedź generalną, przyznał się do wszystkich świństw (przezwyjęzania mnie, z powodu braku odpowiednich narzędzi do walki pojęciowej, środkami nieszlachetnymi — metoda stosowana zresztą ogólnie) i teraz jest wzorem prawości w stosunkach z ludźmi w ogóle, a nie tylko ze mną. Sam człowiek wyczyścić się nie potrafi — ktoś coś niecoś uświadomiony musi mu w tym pomóc. Książka niniejsza ma służyć dla zainicjowania takiego „łańcucha”, bez wątpienia potrzebniejszego i pożyteczniejszego niż owe łańcuchy skupiające myśli na określone daty lub prowadzące do innych wypinań się w nicosć, pod pozorami bardzo „wysokich” zamierzeń. Ale jednym z głównych warunków powodzenia samoanalizy jest wyzbycie się pychy. Dlatego to np. teozofowie, jako typy *par excellence*<sup>143</sup> pyszałkowate, twierdzące, że oni jedynie posiadli jedyną „wiedzę” (i to tajemną!), nie nadają się zupełnie do tego rodzaju udoskonalenia, mimo że o nich dużo i mętnie lubią gadać, zakłamując się tak, że są w stanie popełniać ordynarnie nieładne czyny (subtelnie psychiczne — o włamaniach i rabunkach w ogóle tu nie mówię) pod maską tajemnych praktyk, mających na celu złączenie się wiernych w niebycie, bez tracenia mimo to osobowości. „*Mało i pomatu, tako je i w astralu, pane*” — jak mówił pewien pseudo-Czech.

Poznałem kiedyś dwoje ludzi głęboko religijnych, którzy w zwykłych swych świadomościach byli pozornie oboje wzorem wszelkich cnót: łagodni, cierpliwi, sumienni pracownicy na jakiejś tam niwce, w miarę inteligentni i nawet względnie wykształceni, na tyle, na ile wiara ich pozwalała im na rozwój umysłowy (o pełnym nieskrępowaniu filozoficznym mowy być nie mogło); zdawali się tworzyć jakąś wzniosłą dwoistą jedność. Aliści zacząłem podejrzewać, że na ile ona zdawała się być rzeczywistą doskonałością, to w nim na pewno siedział chyba jakiś diabeł. Po dłuższym skrobaniu odnalazłem i w niej elementy, które nie mogły być jej własnego pochodzenia: były to osady na niej, stworzone nieświadomie przez jego podziemnego diabła w celu jej głębszego opanowania. Były chwile, że oczy jego stawały się jakieś straszawne, jakby człowieka tego pożerała, utajona w normalnym przebiegu dnia, ambicja stworzenia tzw. „rzeczy wielkich”. Szczególniej występowało to w związku z czymś powodzeniem, z czymś dokonaniem czegoś wartościowego, z jakimś okazaniem komuś uznaniem. Po takich faktach — zaraz lub w jakiś czas potem — następowała zwykle seria niczym nieusprawiedliwionych złościwości, drobnych chamstewek, uszczypliwości lub ordynarnego wręcz traktowania (mnie lub kogoś innego, który był pod ręką względnie nogą, o ile w robocie było kopanie). Parę razy

<sup>141</sup>posądzanie mnie, że wskutek ostrej krytyki mogę się czuć dotknięty i zmieniać sąd, jest zupełnie niesłuszne, a nawet nieładne — patrz, kotku figlarny, moja polemika z Kotarbińskim w II zeszytu rocznika „Przeglądu Filozoficznego” (rok 1936). [przypis autorski]

<sup>142</sup>pod maską teozofii czy innej pseudoreligijnej bzdury — co innego jest wiara jako taka, a co innego wymyślona wiarka na małą skalę, która się za jedyną wiedzę (zdobyta nie wysiłkiem myśli i nie badaniem) podaje. [przypis autorski]

<sup>143</sup>*par excellence* (fr.) — w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

Sprawiedliwość, Wróg,  
Przyjaźń

Brud

Pycha, Kłamstwo

Religia

puściłem rzeczy takie mimo uszu, ale zaczęły one występować tak obficie, że nareszcie nie wytrzymałem i po pewnym czasie zapytałem owego doskonałego chrześcijanina, co on sobie właściwie myśli. Zrobił zdziwioną minę, ale jakby „pod galaretą” — taki rodzaj niewidocznej maski, którą się robi ściągając skórę na głowie ruchem tzw. „strzyżenia uszami”.

Maska

— Ja? — spytał zdziwionym tonem — ja nic, chyba ci się zdawało. Ja nawet po prostu nie mogłem tego powiedzieć — to jest absolutnie nie w moim stylu<sup>144</sup>.

— Ależ Forciu (mój były przyjaciel nazywał się Teozoforyk i był bardzo nawet często praktykującym katolikiem), powiedziałeś na pewno to i to (pierwsza lepsza złośliwość zlekceważająca istotnie interlokutora czy też okazywanie wyższości swej w kwestiach odwagi<sup>145</sup>). (Coraz większe zdziwienie:)

FORCIO — Więc jeśli zrobiłem coś takiego, to niechcący; więc czyż można mieć do mnie o to pretensję. (Twarz naiwna, uszy po sobie, ale w oczach za to jakieś dziwne stężenie; „and he — to ja — saw the dangerous soul of the man”<sup>146</sup>, jak pisał J. London.)

JA — Traktujesz to tak, jak potrącenie przypadkowe na ulicy, które czasem nie bywa tak przypadkowe właśnie, jak się wydaje. Ale i w tym wypadku, o ile ktoś programowo cię potrącił, aby cię zlekceważyć, i nie przeprosił, nie możesz mu udowodnić, że faktycznie nieprzypadkowo to zrobił, a zrobiwszy, że faktycznie nie zauważył „szturku” i nie przeprosił dlatego właśnie — jakkolwiek jest to bardzo możliwe. W pewnych wypadkach masz jednak pewność, że tak nie było, a dowód byłby niemożliwy.

FORCIO (ucieszony, z „oblechczeniem”) — No właśnie — wo, wo, wo — o to chodzi.

JA — Nie, kotku, nie o to chodzi. Chodzi o to, że gdy się mówi, to są tam, niestety, prócz intonacji i barwy głosu jeszcze znaczenia słów — tych nie można wykręcić jak kota ogonem w worku — można do pewnego stopnia w pewnych wypadkach, ale zawsze coś tam zostanie. Otóż tu są słowa (cytuję mu jakiego witzę na temat moich portretów czy też głupie aluzje w związku z tzw. „Barenproblem in Tatra”: problem niedźwiedzi, tak rzadkich już w górach tatrzańskich).

FORCIO — Może ci się zdawało albo przekręciłeś, bo naprawdę trudno mi się do tego przyznać. Albo też jest to bezmyślne głupstwo. (Tu go mam.)

JA — Otóż Freud tłumaczy te bezmyślne głupstwa, a nawet proste przemówienia się i omyłki podświadomością...

FORCIO — Otóż to: jeśli podświadomie coś powiedziałem, to nie mogę za to odpowiadać. Sam się wkopałeś — sprawa skończona — nie nudź mnie tą psychologią, bo się naprawdę pogniewam.

Piekło, Potwór, Pozory,  
Wiedza, Religia

JA — Otóż to. Przede wszystkim bardzo mała część naszego życia jest świadoma, refleksyjnie przeżyta lub ujęta w symbole i zafiksowana. Na tle gąszczów podświadomych impulsów, mimo całego niby-przepojenia naszej psychiki pojęciowością, czysta świadomość to drobne iskierki oświetlające powierzchnię dziania się, która jak skorupa zamyka tętniący i dudniący podziemny wulkan naszych uczuć i popędów. Właśnie według Freuda zatłamszone w świadomości przykre przeżycia przechodzą znowu do podświadomości i stamtąd promieniują na nowo bez naszej wiedzy, deformując nasze życie świadome tak, że o tym bez pomocy kogoś drugiego, wtajemniczonego, niczego się dowiedzieć nie możemy.

FORCIO — I w ten sposób wtajemniczeni zyskują panowanie nad tymi, których wtajemniczają. Wolę kapłanów mojej religii niż tych wysłanników piekła, a w każdym razie jakiegoś małego piekiełka.

<sup>144</sup>po prostu nie mogłem tego powiedzieć, to jest absolutnie nie w moim stylu — typowe jest to: „ja nie mogłem tego powiedzieć”. Niedawno miałem taką historię z wybitnie inteligentnym profesorem uniwersytetu, który też po niedługim czasie nie mógł sobie przypomnieć własnych słów i twierdził, że to tak nie w jego stylu, że on nie mógł tego powiedzieć, tylko pewien hrabia. Jest to typowe dla tajemnych obrachunków z utajonym kompleksem niższości. [przypis autorski]

<sup>145</sup>okazywanie wyższości swej w kwestiach odwagi — co do tej kwestii wypowiem się później. Uznaję jednak, że jeśli problem odwagi i tchórzostwa zaistniał między przyjaciółmi, to musi on być rozważony w istotnych rozmowach poważnych, nigdy zaś nie może być pretekstem do tajnych i trudnych do odparcia bez kompromitacji (patrz wyżej: rozmowa z Gustawem) aluzji, witzów, dawań do zrozumienia ciemnych i dwuznacznych. W ogóle jest to świństwo, a w tym wypadku (przyjaźni) gorsze niż w innych. [przypis autorski]

<sup>146</sup>and he saw the dangerous soul of the man (ang.) — i zobaczył groźną duszę tego człowieka. [przypis edytorski]

JA — Piekiełko jest w tobie, Forciu, tam gdzie hodujesz twego potworka, bo na prawdziwe monstrum nie stać cię, jako człowieka w świadomości twojej notorycznie dobrego. Cała twoja złośliwość to jest — wybacz teraz programową brutalność dla twego dobra — twoje do pewnego stopnia nieudane życie, zawiedzione marzenia, nie spełnione wielkie czyny. Musisz się odegrać w stosunku do tych, którzy jak ja, choćby na marginesie też nieudanego realnie — realnie, powtarzam — życia, zdołali zrealizować choć jedną dziesiątą tego, co mieli zamiar — nawet ja ci daję tę możliwość, a może nie ja sam nawet jako taki, tylko właśnie przez to właśnie specjalne moje położenie, które znasz prawie dokładnie z rozmowy mojej z Gustawem.

FORCIO — Już puściłeś się i zawsze na dnie wylezie z ciebie, używając twego ulubionego freudowskiego wyrażenia, kompleks nieuznania ciebie przez publiczność. Mógłbyś się już raz z tym pogodzić albo zacząć „robić pod publikę”...

JA — Poprawiasz jedną złośliwość drugą — to zawsze tak — znam się na tym. Dowodzi to, że kompleks został poruszony. Otóż zrozum, kretynie (mówię już ze złością, bo nic tak nie złości jak głupota — rzeczywista mniej niż udana — a złośliwość z głupotą to już jest „combe”<sup>147</sup> wszystkiego), że przecie jakkolwiek nie odpowiadamy ściśle za naszą podświadomość, to jednak jedynym środkiem dla postępu wewnętrznego, czyli, jak ty to nazywasz, dążenia do doskonałości — o jakże dalekim jesteś od niej, mimo że mnie za to, że czasem wypiję piwa czy zażyję kokainy (czego już teraz nawet nie robię), uważasz za nieczystego wieprza — a więc jedynym środkiem jest uświadamianie sobie podświadomego i unikanie tego, co jest w nim bydlęcego, egoistycznego, złego i plugawego. Jakaż jest inna droga? Tak było zawsze i tak będzie, póki będzie trwał psychiczny postęp i w ogóle rozwój ludzkości. Czymże były i są wszystkie praktyki chrześcijańskie, jak nie środkiem do tego celu: opanowania podświadomego bydlęcia i stworzenia z niego świadomego członka „Królestwa Bożego”. Tylko środki religii są już wyczerpane — skończyła się jej wychowawcza rola i miejsce jej zajęło jedyne prawdziwe i groźne bóstwo: samouświadamiające się społeczeństwo.

FORCIO — Tylko temu daj pokój — wołę już psychologię, jeśli masz zamiar wkra-  
czać na teren religii i etyki. Tu do porozumienia nie dojdziemy. Itd., itd.

Po kilku takich „frykcjach”, z łapaniem za słowa na gorącym uczynku natychmiast, aby co do samego tekstu nie było już „nieporozumień”, facet nagle przyznał się, że *jest* złośliwy, i wkrótce potem, równie nagle, po paru nieudanych próbach dokuczania, złośliwym być przestał. Ale jako tzw. „czynność zastępczą” zaprowadził takie metody przewzięcia mnie przy pomocy „drugich ludzi”, że stosunki ostatecznie rozchwiały się: miałem do wyboru albo postępowe poddawanie się i zdawanie się na łaskę i niełaskę, albo zerwanie, bo porozumienie się — na tle zbyt wysokiego mniemania jego o sobie i poczucia nieomyślności (nieomyłu) sądów, z programowym wykluczeniem dyskusji z jego strony (też rodzaj obwarowania się i pogńębienia przeciwnika) — stało się technicznie wprost niemożliwe. Może to być wypadek, gdy zapługawiona i nieoczyszczona, zaprzała w sobie i sfermentowana podświadomość doprowadza snardza przy sprzyjających okolicznościach do tego, że z (ND) — (Niemyta Dusza) przemienia się on powoli na (ZDR) — (Zimny Drań). A na to nie ma już rady, przynajmniej w moim arsenale środków psychicznie odwanających: jest to, jak mówił Nietzsche po prostu: „*die Freude zu stinken*”<sup>148</sup>.

Może ktoś myśleć, że pisanie o takich rzeczach, kiedy świat się wali, gdy dzieją się potworne bezprawia dokonywane nad milionami w imię umarłych lub konających fikcji przez bandę zdegenerowanych emanacji nowotwora ginącego ustroju pseudodemokratycznego, jest wynikiem zupełnego braku wszelkiego wartościowania. Przysięgam, że tak nie jest — problemy te są piekielnie ważne, a nierozwiązanie ich prowadzi do zatrucia w dowolnej strukturze społecznej znajdujących się wartościowych osobników. Dowodem tego nasza historia aż do lat ostatnich. Tym kończę ten prawdziwy „ustęp” o hodowli przyjemniaczków.

A

Wskutek tego, co nazwałem nadymaniem się i watowaniem, następuje u nas coraz

<sup>147</sup> *combe* (fr.) — najwyższy stopień, nadmiar, szczyt. [przypis edytorski]

<sup>148</sup> *die Freude zu stinken* (niem.) — radość ze śmierdzenia. [przypis edytorski]

Religia, Wiedza, Kondycja  
ludzka

Brud, Dusza

Słowo, Czyn, Polityka,  
Pozory

większa rozpiętość między frazesem a rzeczywistością. Wiara w magiczną wartość słowa pogłębia się: rzeczy powiedziane zdają się już być dokonanymi; magiczne formułki i zaklęcia zastępują czyny, jak za czasów totemicznych ludzkości, gdy nie było innych środków do walki z pewnymi rzeczami prócz magii. Nic do takiej pasji nie może doprowadzić, jak różne „apele” mężów stanu do społeczeństwa (przy nich znajduje się zwykle roześmiana twarz dygnitarza w reprodukcji — dość tych wyszczerzonych zębów, tego parszywego „*keep smiling*” — wiadomo, do czego doszła Ameryka rechocząc i wierząc w nieograniczony postęp „*prosperity*”), przy jednoczesnym tak złym wychowaniu tegoż społeczeństwa w kierunku wszelkiej inicjatywy, a natomiast pchania go w serwilizm przez strach i terror. To tak, jakby ktoś chłopczykowi mówił ciągle: bądź grzeczny! — a za każdą niestosowność popełnioną dawał mu cukierek.

#### B

Jeśli na każdą, najskromniejszą nawet uwagę zwróconą do (ND) w rodzaju: „pan jest niedelikatny, pan jest cham, pan jest źle wychowany” itp., (ND) odpowiadać będzie: „pan jest nadwrażliwy, pan jest przeczulony, pan jest nudny, pan jest wariat” itp., to wtedy nie może być postępu w stosunkach międzyludzkich, będących przecie podstawą dla wszelkich wielkich przekształceń społecznych. Robota musi iść jednocześnie i od społeczeństwa, ucieleśnionego w *idealnym* państwie, i od indywidualium. Oczywiście samo prywatne „bycie dobrym”, jak to myśleli różni neochrześcijanie, w pewnych dogodnych warunkach pospolitości życiowej też do niczego nie doprowadzi. Musi się zacząć wreszcie transformacja od góry, jeśli naprawdę chcemy przejść na wyższą platformę bytu społecznego, nie tracąc kulturalnej wysokości. Kto z mężów stanu to kiedy zrozumie? Byłby to prawdziwy święty naszych czasów, przed którym chętnie my, ludzie względnie społecznie dobrzy i w miarę mądrzy, leżelibyśmy godzinami na brzuchu, oddając mu cześć nieomal boską. Polak zasadniczo trochę nie szanuje Polaka — jest w tym zasadniczo nieufność co do tego, ile w danym człowieku jest mięsa, a ile waty. Ten brak wzajemnego szacunku i podejrzliwość to jest dziedzictwo całej naszej historii od bardzo dawnych czasów.

Dobro, Państwo, Władza,  
Rewolucja

Polak

#### C

Puszenie się z jednej strony wywołuje płaszczenie się z drugiej. Dwie te właściwości są ze sobą w ścisłym związku funkcjonalnym. Na ile ktoś się napuszy, na tyle będzie żądał, aby się przed nim płaszczono, a o ile ma egzekutywę, będzie to faktycznie przeprowadzał. Serwilizm tak u nas rozwinięty nie jest tylko wynikiem niewoli, tylko dalszych epok szlacheckiej demokracji (pseudo). Płaszczący się szerepetkowie (mimo równości szlacheckiej „na niby” z wojewodą) musieli się potem odgrywać i zaprowadzali jeszcze gorsze puszenie się wobec „niższych” od siebie. Biedny przedstawiciel ostatniej warstwy nie miał się przed kim napuszyć „warstwowo” — mógł to robić tylko prywatnie, w stosunku do rodziny i zwierząt domowych. Na tym polega też osławiona w historii Polski (jak nigdzie chyba) tzw. „prywatna”. Niemyta dusza wymyśla często na wszystko i wszystkich, wszystkich krytykuje (bezpłodnie) i poniża — jest to jej jedyny sposób wyniesienia się nad siebie i nad innych.

Polak, Służalność,  
Dziedzictwo, Przemoc

Może kto myśli, że za duży był wstęp, za dużo zgromadzonych było narzędzi, a za mało wartościowa rzecz właściwa: „dokonane dzieło”. Może dla wielu to, co mówię, to są banały. Wiemy o wielu rzeczach, ale ich nie przeprowadzamy. To jest też cechą napuszonych, że czyny ich są zawsze poniżej średniego standardu przedstawicieli normalnych społeczeństw, niemogących się poszczycić tak przykrą przeszłością, jak nasza w ostatnich wiekach.

#### D

Jadowity system używany przez tortur-majstrów wszystkich odcieni jest ten, że gdy po ich zbyt już wyraźnych witzach czy aluzjach postawi się kwestie otwarcie i zacnie się ich mechanizm głębiej analizować, robią oni z siebie ludzi zajętych ważniejszymi sprawami niż jakieś psychologiczne subtelności, w których „babrze” się, nie mając nic lepszego do roboty, psychoanalitik. (Oczywiście jeśli do człowieka absolutnie szczerego i maksymalnie kompleksowo wyczyszczonego — *znać swoje wady, a znać swoje kompleksy działa-*

Wiedza, Kondycja ludzka

*jące podświadomie to dwie zupełnie różne rzeczy!* — zaczniemy dorabiać jakieś *au-delà*<sup>149</sup>, to go gruntownie sfalszujemy: doświadczyłem tego x razy na sobie, zresztą przeważnie w stosunku od ludzi raczej — oczywiście! — „*minderwertig*”<sup>150</sup>.) Nie trzeba dać się speszzyć takim postawieniem kwestii, tylko dojechać bezwzględnie do końca (główny argument jest: „To ty, cholero, przepojone podświadomością świńskie aluzje i jadowite witzes masz czas i ochotę robić i świetnie się po tym czujesz, a rozmawiać o tym czasie nie masz? To to jest dla ciebie głupstwo? A czuć się świetnie po takim zlekceważeniu kogoś drugiego możesz, ścierwo doświadczalne, ale jak ci się chce tę zabawkę nieładną — be! — zabrać, to zaczynasz wierzgać i beczeć — *ab non!* — wyjaśnić ci siebie samego do końca muszę!”) i nie zwracać uwagi na to, że analizowany obiekt czuje się podczas tej pracy jak glista zalewana czy nakrapiana witriolejem. Nic mu to nie zaszkodzi, a w przyszłości na pewno na tym dobrze wyjdzie i on, i jego otoczenie, a może dodatkowo i jakaś dziedzin-ka, na którą zwróci swoją uwolnioną od jadowitych zabaw energię. Bo nie dość, że taka broniąca się (ND) obezwładni swego atakanta w razie załamania się ataku: ona otwiera w ten sposób przed sobą niezmierny horyzont nowych znęcań się i niezdrowych rozkoszy. Tak to napuszają się ludzie z latami, że potem poznać ich nie można: zapłynięci są cali w balony nadęte i wywatowane przestrzenie tak, że do mięsa im się już nigdy nie dobierzesz, nie domacasz się jąder prawdziwych ani ty, kotku, ani oni sami sobie. Jeżeli zaś takiemu snardzowi analiza się nie podoba, zerwie z tobą pod lada pretekstem lub jeszcze lepiej: sprowokuje do zerwania, sam niby czystym pozostając. Ale wtedy mamy już do czynienia ze stadium przejściowym od (ND) do świadomej swej świńskości świni, czyli do *świni klasowo uświadomionej*. Tu kończą się moje zakusy: tu otwiera się droga, na końcu której majaczy dom poprawy, więzienie lub szafot. Ja mówię tylko o podświadomości ludzi względnie uczciwych.

#### E. Dzieła napuszonych

Robi na mnie wrażenie, że cała Polska odrodzona jest zbyt napuszona, a zbyt mało realna. Dążenie do wielkości i niby wielka polityka na mały dystans, zamiast ekspiacji za winy, przez propagandę światową wielkich idei ogólnoludzkich na jak największą skalę, jakby to wypadło choćby z krótkiego okresu mesjanistycznego, z *dobrze zrozumianej* jego ideologii. A wewnątrz wszystko niedociągnięte do tego zewnętrznego, watowanego, cylindrowo-langustowo-train-de-luxe’owego ideału. Zaznaczam to tylko nawiasowo, nie chcąc wdawać się w rzeczy, w których poza ogólnikowymi sądami nie mogę poszczycić się głębszą kompetencją. Ale tak mi się wydaje.

O ile człowiek realny, dążący do faktycznego odegrania swego kompleksu niższości, stara się uczciwie stworzyć rzeczy solidne i wartościowe i w ten sposób nabrać wartości dla siebie i innych, pozbywając się gniotącego go poczucia własnego gówniarstwa, o tyle normalny gówniarz, wywatowany i wybalonowany, aby stać się główniarzem (Ł, Ładoga, Łój), będzie dokonywał czynów pozornych, w których będzie się napuszał przed sobą i innymi, zostawiając za sobą twory niedoskonałe, zrobione byle jak, na olaboga, a nawet na jeszcze gorsze terminy. Wspomniany wyżej termin zmarłego znanego pejzażysty Jana Stanisławskiego, który obok moich terminów: gnypalstwa i fazdrygulstwa, powinien być używany często, aby napiętnować fatalne dla naszego rozwoju „dzieła” napuszonych. Sumowanie się drobnych takich „zadzierżek” daje w rezultacie ogólne zahamowanie tempa codziennego dnia, zmniejsza jego tempo w *nieistotny*, nic nikomu nie dający sposób, wywołuje kurczenie się życia. Zmniejszenie tempa świadome, *pozytywne*, przy jednoczesnej ogólnej regulacji gospodarczej świata całego dla wzmożenia równomiernego rozłożenia dóbr doczesnych, byłoby pożądanym, ale jest niezmiernie mało prawdopodobne, aby ludzkość w formie transformacji od góry na coś podobnego się zdobyła: trzeba by zmienić mózgi władców koncentrujących siłę, a to jest mało prawdopodobne. Na te „drobnostki” (nie mówię już o rzeczach „wielkich”) nie zwraca się u nas zupełnie uwagi. Pedanteria zwrócona jest też w kierunku hamowania, a nie ułatwiania, a drobne niedokładności, drobne świństwka, niedopatrzienia, ustępstwa na rzecz lenistwa sumują się i sumują, i ostatecznie, kiedy przyjdzie wielka chwila próby, następuje скаłkowanie gene-

<sup>149</sup>*au-delà* (fr.) — poza, oprócz; dodatki. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*minderwertig* (niem.) — gorszy, niepełnowartościowy. [przypis edytorski]

ralne wszystkich gnypalnych i fazdrygulnych „różniczek ducha ciężkości”<sup>151</sup> i rozpoczyna się generalna plajta.

Dam dwa przykłady bardzo zresztą nieistotne, ale ilustrujące rzecz dobitnie, mimo że niedopatrzenia w mających być wymienionymi sferach bezpośrednio mogą nie przynieść jakiejś poważnej klęski. Ale właśnie ponieważ już w takich rzeczach objawiają się działania gnypalstwa, można z tego wnioskować, jakie wynikają szkody, gdy dzieje się to samo w odpowiedniej skali w sferach stokroć ważniejszych i mających bezpośrednie znaczenie dla prężności całego społeczeństwa i poszczególnych jego elementów (instytucji i indywidualuów). A że się tak dzieje, to jest według mnie, jak to mówią, „więcej niż pewne”. Dość poczytać gazety. Podnosząca się z każdą chwilą fala słoństw, nadużyć i kradzieży w różnych branżach, i to w wyższych ich regionach, jest symptomem tego, jak wielkie „niedopatrzenia” muszą leżeć u jej źródeł. Za granicą uderza jedna rzecz: precyzyjne wykonanie według najkorzystniejszego planu. U nas często w różnych dziedzinach ma się wrażenie, że plan robił nieuk, a wykonywał niedołęga. Wchodzimy do wychodka „pierwszorzędnego” hotelu w miejscowości kuracyjnej. Mała, zupełnie ciemna sionka, której jedynym oświetleniem jest okno samego klozetu (drzwi dalsze są bez szkła). W ciasnej sionce tej mieści się umywalka bez mydła i ręcznika. Na cóż więc woda, kiedy umyć się ani wytrzeć nie można. Drzwi otwierają się ku wchodzącemu, mimo że miejsca jest mało. Dalej ogromna przestrzeń pusta i jasna, w której mieści się tylko kaloryfer, sam zaś istotny dla tej instytucji apartament jest tak mały, że siedzący człowiek uderza głową o drzwi, a z tyłu wieje mu prosto w grzbiet okno umieszczone tuż nad siedzeniem. Wolę deskę z dziurą w góralskiej chacie niż taką ohydę; przynajmniej wiem, z czym mam do czynienia. Tu zaś czuję się nabrany w obrzydliwy sposób przez spółkę „sprytną”(?!?) durnia z niedołągą i muszę być wściekły. Przykład drugi: przez lata całe nie było dobrej ścieżki na odcinku końcowym „podnóżowym” danej drogi. Turysta idący już względnie wygodną drogą na samym końcu (często o zmroku) dostaje się w labirynt fatalnych wybojów, korzeni i głazów. Nareszcie ścieżkę zrobiono. Są niby wygodne zakosy, stopnie, ławeczki, niby wszystko zrobione według planu. Nieprawda — proszę spróbować. W górę jako tako, ale w dół od razu daje się uczuć niesamowita stromość drogi: nie można po niej szybko biec, jak po wspaniałych końcowych chodnikach po stronie czeskiej, nie ma mowy, aby iść nią szybko o zmroku. A znowu nie jest tak płaska, żeby niebiegnięcie, zwykły chód nie był męczący. Do tego zakręty są bardzo ostre i stromsze jeszcze od ogólnego poziomu. Na zakrętach czasem są schodki, które hamują jednostajne tempo schodzenia, tak ważne dla zmęczonych nóg dalekobieżnego turysty. Skala jest śliska, wapienna. Ani ścieżka ta nie jest dla zupełnych niedołęgów, którym powinna służyć, ani nie służy dla ułatwienia drogi ludziom silnym, prędko chodzącym. Brzegi (i to jest skandal najgorszy!) otoczone są drutem kolczastym (ochrona lasu), na który łatwo nadziać się poślizgnąwszy się w ciemności, wybić sobie oczy lub w najlepszym razie poharatać mordę w sposób straszny<sup>152</sup>. Kwestia darmowego prysznicu na Hali Gąsienicowej należy do tych samych śmierdzących bolączek czy bolących śmierdziączek. (To jest obecnie na szczęście załatwione, ale trwały dobrych kilkanaście lat.)

Czy nie może porwać wściekłość, gdy człowiek się spotyka z takimi objawami, a słyszy i czyta ciągle o tysiąc razy gorszych? Dochodzi do przekonania, że tak u nas jest wszędzie, i włosy mu stają na głowie na myśl, ile energii traci całe społeczeństwo na ciągłe przewycięzanie takich historii od najmniejszych do największych. A na dnie każdej takiej afery siedzi wywatowany, nadęty snardz, z fałszywie skierowanym kompleksem niższości. I gdyby był w porę uświadomiony, mógłby zamiast być zawadą i twórcą hamulców stać się zupełnie porządnym i pożytecznym członkiem społeczeństwa. Są to rzeczy szalenie proste, nawet banalne — po prostu wstyd o nich pisać, a jednak mam wrażenie, że są stale u nas pomijane i zamazywane. Tak samo jak gorszą formą alkoholizmu jest stale

<sup>151</sup>*duch ciężkości* — znany termin Nietzschego, cytowany ostatnio na końcu ciekawej, lecz perfidnej książki Chwistka *Granice nauki*, ale nie wiem, czy *à propos*. Krytykę książki tej szczegółową mam zamiar przeprowadzić w najbliższym czasie. [przypis autorski]

<sup>152</sup>Brzegi (i to jest skandal najgorszy!) otoczone są drutem kolczastym (ochrona lasu), na który łatwo nadziać się poślizgnąwszy się w ciemności, wybić sobie oczy lub w najlepszym razie poharatać mordę w sposób straszny — w ogóle druty kolczaste okalające ścieżki wiejskie śliskie, gliniaste przeważnie — powinny być zabronione. Mnożą się bezkarnie coraz bardziej, stanowią poważne niebezpieczeństwo przy wąskości dróg i w razie mokrości gruntu. [przypis autorski]

popijanie małych ilości, w przeciwieństwie do intensywnego popoju od czasu do czasu (to ostatnie praktykowałem właśnie — obecnie coraz rzadziej), tak samo wielkie świńskie afery nie są tak społecznie szkodliwe, jak małe, codzienne, chroniczne świństewka nieznaczące — to wytwarza ogólny parszywy stan społeczeństwa, przestaje ono być „w formie”, staje się gnuśne, ospałe i obojętne: „*wsio rawno, nie pospiejesz*” (wszystko jedno, nie zdążysz), jak mówili przed wojną sankt-petersburszczanie.

F

Ten, który twierdzi, że to wszystko, co tu propaguję, jest niepotrzebnym babraniem się w „nieczystościach” (ta potwornie głupia interpretacja Freuda, która utarła się w pewnych sferach półinteligentów), jest podobny temu, który mówi: „Nie umyję zadka po defekacji (wspaniałe słowo!), bo po co mam się dotykać — ręką!! — do tego świństwa; co się wysuszy, to się wykruszy, jak mówi staropolskie przysłowie”. Znana zasada: „nie ruszać, żeby nie śmierdziało”, jest u nas stosowana zbyt nagminnie. Nie rozbabrywać, ale rozdrapywać trzeba wszystko, o ile nie chcemy w szybkim tempie stać się społeczeństwem nieudałków psychicznych, umysłowych i społecznych (właśnie) zagwazdrańców.

Brud, Polak

G

Jednym ze środków przyciągania ofiar dla tortur są komple-(właściwie „pli”)-menty. Umiejętność rozdzielania ich w przerwach od mąk jest sztuką „hodowców”. Umiejętnie fałszywie, naśmieszliwie rozkomplementowana ofiara staje się bezbronna: nie wystawia straży, nie fortyfikuje się, zasypia z nieopancerzonym brzuchem, obżarta tanim frazesem. Nie wie, że kat świadomie ją rozgwajdła i rozkierdasza nieodpowiedzialnymi frazesami niby-dodatnimi, które go nic nie kosztują, a kiedy widzi ofiarę rozmemlaną, rozmamaną i rozrozkoszowaną na skutek objedzenia się pseudopochlebstwami, wbija jej nagle, co chce, po samą rękę, jak chce, tam gdzie chce i ile razy chce — przeważnie „w to, co najważniejsze”. I ofiara, upojona poprzednimi frazesami, łka (z bólem jednak) truciznę, której działania frazesy te nie usypiają; dwa procesy te biegną obok siebie równolegle — ofiara cierpi, ale jest sparaliżowana, jak liszka ukłuta przez gąsienicznika. A kat wpija się w nią wzrokiem i jakimiś ohydny „aktami intencjonalnymi” i ssie jej mękę jak nektar, spuszczając się nieomal (w niektórych wypadkach dosłownie) z sadystycznej frajdy. „Ochy, ochy — ochyda” — jak pisał niezapomniany L. Grocholski (wyższy stopień ohydy jest przez ch — to jest mój pomysł).

Pochlebstwo, Cierpienie,  
Ofiara, Kat

Ponieważ nikt w pierwszej chwili analizy choćby nie widzi swojej podświadomości, więc zawsze jest najmniejszym zarzutem pokrzywdzony — robi z siebie ofiarę jakiejś machinacji czy podejrzeń, będąc np. wyrafinowanym rodzajem kata w powyższym znaczeniu. I on tak faktycznie czuje, w tym nie ma błagi. Trucizna sika zeń boczną rurką, która nie przechodzi przez kontrolę ośrodków ekstrapiramidalnych — sika gdzieś z boku przez jakąś fistułę (chwistulę? — co? — dobre — co?<sup>153</sup>) czy rupturę albo zgoła kilak soczysty lub nowotwór, który jest rodzajem „nowego otworu”, jak to z samej nazwy wynika. „Głupi witz lepszy niż nic” — według zasady dowcipnisiów ze szkoły Fra Antonia da Slonimo i Widmona Brudnawera (Brudona Widmawera). O — sam siknąłem świństewko, sprowokowany tą analizą. Ale teraz uświadomiłem to sobie dokładnie i więcej już takiego świństewka nie zrobię.

Przeważnie Polak jest w pewnym sensie nieudany — mógłby być czymś całkiem innym. (*To bądź, cholero!!*) Człowiek analizowany na tle pozornie niesprawiedliwego sądu wydanego na siebie traci zaufanie do analizującego nie tylko w stosunku do siebie, ale w ogóle zaczyna go uważać za kogoś pozbawionego poczucia sprawiedliwości i słuszności: pojawia się brak zaufania i opór, który czasem może uniemożliwić psychoanalizę zupełnie.

Polak

Genialność w znawstwie ludzi polega na tym, że właśnie geniusze tacy umieją odgadnąć podświadomość tych, o których opanowanie im chodzi. Potem grają na niej jak na flecie, a tamci biedacy, nic o tym nie wiedząc, reagują automatycznie tak, jak tego

<sup>153</sup>fistułę (chwistulę? — co? — dobre — co?) — pewien hrabia wymyślił malowanie *à prima chwista* — ja wymyśliłem sochwisterię i sochwizmaty, a teraz to. Dosyć — co? Uważam, że za takie rzeczy nie trzeba się obrażać — to są dowody popularności. Wilhelm II nawet cieszył się z tego, więc co my tam bracia-szlachta, powsinogi szaraczkowate. [przypis autorski]



chce zręczny pogromca. Samoanalizowanie daje niebywały wgląd w te rzeczy i uwielokrotnia cudownie nasze siły w walce z ludzkim niebezpieczeństwem. Kobiety operują tą metodą intuicyjnie daleko bardziej niż mężczyźni. Ale to u nich dotyczy tylko chwilowego przekroju, a nie syntezy danej osobowości. Podobną wiedzę mają kelnerzy, portierzy i w ogóle ci, którzy w dochodach swych zależni są od nastrojów napiwkowych.

Najgorsze jest to lykanie krzywd przez ofiary z powodu braku środków obrony i fałszywej, a natomiast zbyt rozwiniętej ambicji. Szczerłość i odwaga mogą wszystkie te przeskody złamać. Przecież są ludzie, którzy udają głupszych, niż są, nie tylko aby mieć rację wobec tłumów, jeszcze głupszych świadków walki ich z kimś mędrszym, tylko żeby nie poddać się niszczącej kompleksowe prerogatywy analizie.

Niewyjaśniona aluzja daje wyższość, podobnie jak obrażenie kogoś bez reakcji z jego strony. Upajają takie rzeczy podświadomie węzłowiaków-upośledzeniowców, ale jest to upojenie niższego stopnia w porównaniu z tym, które daje np. studiowanie filozofii lub choćby nawet od biedy czytanie jakichś „*vies romancées*”<sup>154</sup> czy nawet dobrej (o jakże to rzadka teraz rzecz, szczególnie u nas!) powieści. U nas nawet udani ludzie, którzy mogliby obejść się bez napuszenia — i ci zahodowują ośmieszające ich często „kołpaki napuszenia”, rzeczywista wielkość w zwykłej marynarce im nie wystarcza, muszą się ubrać — mówię to w przenośni (uwaga dla kretynów) — jak kacyk murzyński na koronację w stary mundur angielskiego porucznika, wtedy dopiero jest taki snardzek kompletnie „*dodowolnyj soboj i mirom*”<sup>155</sup>. Właściwie jeśli się weźmie pod uwagę, jakie ma dane, w jak idiotycznej atmosferze wychowuje się nasza arystokracja, to trzeba się dziwić, że członkowie jej są tak mało jeszcze napuszeni, że są tacy, jacy są, a nie w dosłownym znaczeniu kretynami. Podobnie jak trzeba podziwiać kobiety, że przy tej psychofizycznej strukturze jeszcze są *takie*, tzn. nie są skończonymi, okrutnymi, jamochłonnymi potworami.

Są złośliwości typu francuskiego, tzw. przeze mnie pachnące, na które można odpowiadać „fechtunkowo”, z zachowaniem honoru, do pewnego stopnia przynajmniej. Tych mało się używa w Polsce. U nas są w użyciu złośliwości śmierdzące, w odpowiedzi na które trzeba ponuro milczeć, bo każda odpowiedź, z wyjątkiem dokładnej, druzgocącej zupełnie psychoanalizy złośliwca z zaliczeniem go do (NDN) lub do (ZDRN) (zimnych drani), zagwazdruje tylko coraz gorzej ofiarę, nawalając na nią rykoszetem pokłady płynnych ekskrementaliów. Żyjemy w stanie masowego i indywidualnego zakłamania. Zeby nagle, znienacka odkłamać całą Polskę, społeczeństwo by tego nie wytrzymało — wstrząs ten mógłby zabić je, zjonizować, rozłożyć na elementy. Trzeba z tym postępować powoli i systematycznie jak z odzwyczajaniem się od narkotyków. Sfajtane (t, tajfun, taniec) klapzdrygle — oto nasza główna narodowa wada.

## I

U nas przeważnie ludzie nie formują siebie jako jakichś ktosiów pierwotnych, tylko dociągają się często do niezbyt określonych wzorów. Fryderyk Wielki był sobą, dlatego był wielki (prócz dla innych jeszcze oczywiście danych jego duszy): miał *zadania*, które go charakteryzowały, nie tylko rozwiązania. Wilhelm II chciał być Fryderykiem i dlatego stał się błaznem, który nie wytrzymał ciężaru maski, którą dla siebie wytworzył (mianowicie uciekł z okopów do Holandii). Z wyjątkiem Piłsudskiego, który nie miał w sobie waty nawet za grosz, i jeszcze paru ludzi — większa część naszych wybitnych osobistości odgrywa różnych „ktosiów”: dziś Robespierre’a, jutro Neya, pojutrze Cezara, a popojutrze jakiegoś Dziemborowskiego czy innego snardza — byle nie siebie, byle tylko nie siebie. Masa odwagi wojskowej, a duży strach przed odpowiedzialnością wobec społeczeństwa, narodu, historii i... Europy — to jest najgubniejsze. Zawsze niszczyła nas Europa i obawiam się, że i tym razem Polska minie się ze swym przeznaczeniem. Nasza polityka zagraniczna powinna być funkcją zdecydowanej w kierunku maksymalnie społecznym polityki wewnętrznej. Inaczej przyszła ludzkość przeklnie nas jako tych, którzy nie spełnili swego przeznaczenia na tej galce, nie zapłacili podatku od swego prawa bytu, który nieopatrnie dało im przeznaczenie, raczej zły instynkt rasy ludzkiej. Bez znajomości naszych podświadomych zapadni, wilczych dołów, kamufletów i pułapek na-

<sup>154</sup>*vies romancées* (fr.) — życia zmyślone; romanse, powieścicidła. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>*dodowolnyj soboj i mirom* (ros. *додовольный собой и миром*) — zadowolony z siebie i świata. [przypis edytorski]

Głupota, Wiedza, Walka

Polska, Kłamstwo

Polska, Odwaga, Strach

sza świadoma praca nad samymi sobą czy nad jakimś celem poza nami może się nam w wielu wypadkach nie udać, nawet bez możliwości zrozumienia przyczyn tego nieudania się i odparowania ich na przyszłość. Będziemy nagle zapadać bezwładnie na dno po całej serii świadomych wysiłków, co może spotęgować zniechęcenie i poczucie beznadziejności walki. Bo o co się oprzeć? O irracjonalny wysiłek woli? — Kiedy sens jego przez podświadomą machinację został bez możliwości szukania ratunku w warstwach świadomych podkopany. Ale znowu trzeba się strzec robienia z podświadomości i stanu podświadomego jakichś hipostaz: specjalnej „władzy ducha”, drugiej naszej osobowości, oddzielnej od tej świadomej. Trzeba traktować terminy te jak psychologiczne skrót — nic więcej.

Wiele pań dobrze by zrobiło — żeby zamiast choćby latania do wróżek (nie mówiąc o innych „zajęciach” tzw. „pani” — brrr!) postudiowało Kretschmera i Freuda. Jakże odciążyłoby się życie rodzinne od potwornych zlogów nieporozumień zastygłych w krwawe szablony, trafarety, według których zadręczają się prawie mechanicznie już różne „kuple” (*couple*) czy stadła (sądło i stado). Podstawą twórczości społecznej jest społeczeństwo nienapuszone — dziura to dziura, ale niech nikt nie zapycha jej pakułami; niech syn czy wnuk zdobędzie się na mięso, jeśli nie ojciec czy dziadek. Praca na daleki dystans — tego nam brak przede wszystkim. Ale na to musi być plan. A do planu potrzeba łba — na to nic nikt nie poradzi. Wszędzie, gdy człowiekowi zabraknie natchnienia (tego jądrowego wprost, po prostu, jak to mówią, jaj), to nadrobi to głową — zawsze jednak wybitni mężowie mają jakieś intelektualne rezerwy, mają maszynyki mózgowe, które do każdej transmisji przyprząc się dają. U nas panuje prawie że od góry do dołu, w literaturze i krytyce, w życiu i sztuce *pogarda intelektu*. *To jest straszne*. Mędrsi udają głupich (puszenie się perwersyjne na wywrót), aby móc żyć, nie wybijać się z otoczenia, które zionie umysłową pustką i brakiem wszelkiego światopoglądu: ludzie piszący zatłamszają w sobie światopoglądy, dlatego że to nie popłaca, i ze strachu kłamią, kłamią, kłamią jak jeden mąż. Śliskie są ścieżki literackie w Polsce, śliskie i niebezpieczne — *höchst gefährlich*<sup>156</sup>: wewnątrz, a z drugiej strony zewnątrz. Jak słusznie zauważył Wasowski: wielka niezależna publicystyka (tak dobra instytucja jak sąd) zginęła, a metody, które się dziś stosuje, powrócić jej społeczeństwu (a jest to dar „nieba” wprost bezcenny) nie potrafią: zatłamszą ją zupełnie.

Polak, Głupota, Literat

J

Specjalnym gatunkiem niemytych dusz (NDN) są (NDN) dobre — (NDDN)<sup>157</sup>, dobre pozornie. Dobroć, taka rozlizująca, rozglądająca na plaster, rozmemywująca i osłabiająca dobroć jest także czasem środkiem panowania i niszczenia. Poświęcając się dla kogoś można go samym faktem poświęcenia z kopytami i ogonem pożreć: dobroczyńcy władają czasem silniej niż gwałciciele. Niestety prawda ta nie da się przenieść na tereny społeczne: tam panuje aż do skutku (tj. do rewolucji) zasada stołypinowska: „s naczala usmirienie, a potom rieforny”<sup>158</sup>. Przeciw niszczącej dobroci trudniej się bronić niż przeciw złu — a czasem trzeba, bo inaczej nieznacznie człowiek może się zamienić w zgniłą marmeladę, sam nic o tym do ostatniej prawie chwili nie wiedząc. Dobroć i poświęcenie tego typu, o jakim tu mówię, są też produktem źle skierowanego kompleksu niższości. Podobnie jak ci, którzy stwarzają sobie otoczenie ze zlekceważalnych osobników dla nasycenia podłej *względnej* wynoszenia się ponad siebie, tak samo dobroczyńcy stwarzają sobie środowisko mediów dla swych „dających” praktyk, aby stale odczuwać swoją nad nimi wyższość. Oczywiście nie każda dobroć jest tego typu. Ale są demony puste jak beczka Danaid, napuszone ukradzionymi frazesami i dobre pozornie jak anioły, które są wprost katami swych najbliższych i łamią wokół siebie życia jak słomki. A złapać takie ścierwo na gorącym uczynku jest czasem niezmiernie trudno.

Dobro, Poświęcenie,  
Potwór

<sup>156</sup>*höchst gefährlich* (niem.) — wysoce niebezpieczny. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>Specjalnym gatunkiem niemytych dusz (NDN) są (NDN) dobre — (NDDN) — proszę nie myśleć, że to logistyka — to tylko skrót, jak np. MSZ lub GPU. [przypis autorski]

<sup>158</sup>*naczala usmirienie, a potom rieforny* (ros. с начала усмирение, а потом реформы) — najpierw pacyfikacja, a potem reformy. [przypis edytorski]

K. Die S. G. *Allgemeine Gratulationstheorie*<sup>159</sup>

Nie ma człowieka (jak to już, zdaje się, stwierdziłem uprzednio), który by nawet w wypadku szczerej radości z czyjś powodzenia nie doznał choćby nikłej komponenty podrzędnej w postaci słabiutkiego choćby, niemiłego piknięcia w swoje dobre skądinąd, współczujące i „szczodre” serduszko. Nie ma człowieka, który by zdołał opanować chwilowy rozkład twarzy na elementy proste w chwili takiej (chwilami, zdaje się, świadek widzi po prostu tłuszcz i węglowodany osobno albo nawet zjonizowane prądem stłumionej zawiesi atomy węgla, tlenu i wodoru), nie ma takiego, który by zdołał wstrzymać naciągający na nią z głębi tzw. „arcyludzkich” (raczej właśnie bydlęcych?) bebeczków bury cień zawiesi. To trzeba być świętym, żeby tego nie mieć. Widziałem cień taki np. na twarzy religijnego Forcia, posądzającego mnie nie o zawrót głowy, tylko zwykły strach w górach, gdy mu powiedziałem, że wyjechałem kolejką na Kasprowy i nie miałem zawrotu z powodu braku pierwszego planu: zrobił się wprost ziemisty, a opanowana zwykle twarz była bezradną kupą zdeorganizowanych komórek. „Tak to bywa, tak to bywa”, jak pisał Ludgard Grocholski. Takie głupstwo czasem wystarcza. Oczywiście Forcio zaprzeczyłby stanowczo i posądziłby mnie o halucynacje. Niestety, jestem psychologicznym portrecistą i dobrych kilka tysięcy twarzy w życiu detalicznie, moja paniusiu, przestudiowałem. Otóż gratulacje pozwalające na wyraźne skrzywienie twarzy w sztucznym uśmiechu, dające prawo oficjalnego udawania, zgrywania się na zimno z przyzwoleniem widzów, gratulacje pozwalające używać form stałych jednoznacznego, ucieszonego wyrazu (kiedy np. ktoś chce zakwiczec z zawiesi lub genitalia rozluźniają się mu i pęcznieją z zazdrości i złości) są wielkim dobrodziejstwem dla większości „nie całkiem porośłych używaczy znaczących znaków”. Zamaskowanie wyrazu istotnych, przeważnie ujemnych, uczuć przez skonwencjonalizowanie — co za cuda, co za cuda! Jest to operacyjne usunięcie wrzodu zamiast powolnego rozpędzania go maściami. Zauważyć należy, że gratulujący przez sam fakt gratulacji wznosi się ponad gratulanta, mimo chwilowych przewag życiowych tzw. „tego ostatniego” (uważam, że to dobre jest wyrażencko) — jest w tym pewne zlekceważenie tych przewag jak w „*potlatschu*”: „Patrz, ja jestem tak wielki pan, że mogę sobie pozwolić na to, aby twój order, podwyższenie na posadzie czy wygrana na loterii zlekceważyć.” Ateiści mogliby z przyjemnością żartobliwie Bogu gratulować stworzenia świata — chociaż Leibniz mógł to zrobić nawet wierząc (ale czy naprawdę wierzył — zawsze mam co do tego wątpliwości) — bo „ponoć” wierzył, że ten świat jest najlepszy ze wszystkich możliwych. Najlepszy to może nie, ale skoro już raz jest, to musiał być takim, jakim jest (szczególniej gdy zapada w przeszłość), i to nie w znaczeniu fizycznej przyczynowości: musiał być takim (jako odłożony w trwaniu swym byłem) nawet w dowolności swych elementów — monad, w ich wolnych czynach.

Zazdrość, Grzeczność,  
Maska, Zwycięstwo

Mimo całego cudu cywilizacji, na którą my patrzymy mimo woli jako na świadomą twórczość, a która była przecie początkowo wytworem instynktowym — tu jest tajemnica biologiczna niedoceniona: czynności bezrozumnych bydląt; nie trzeba robić żadnych hipostaz (w rodzaju Klagesa<sup>160</sup>: dusza i duch), aby ją naukowo opisać. Przerost *pallium*<sup>161</sup> u małpoludów niczym znowu nie jest bardziej tajemniczy z pewnego punktu widzenia od niepomiernego rozrostu triasowych gadów, które przez wzrost ten potem (gdy żarcia zabrakło) zginęły. I my też może zginieemy przez naszą korę mózgową: stworzyliśmy bowiem cywilizację, której opanować nie potrafimy i która nas zeżre na żywo, jeśli się w porę nie opamiętamy i nie wyrzeczemy się wszelkich autarkii<sup>162</sup>, ale przeciwnie: nie stworzymy ogólnej gospodarczej organizacji całego globu z racjonalną wytwórczością wszelkich dóbr.

Kondycja ludzka, Obraz  
świata, Współpraca

<sup>159</sup>*Allgemeine Gratulationstheorie* — ogólna teoria gratulacyjna. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>*Klages, Ludwig* (1872–1956) — filozof i psycholog niem., zajmował się grafologią i charakterologią, reprezentant metafizycznego nurtu filozofii życia, autor pracy *Der Geist als Widersacher der Seele* („Duch jako przeciwnik duszy”), w której pojęcie ducha wiązał z intelektem i działaniem prowadzącym do technicyzacji i niszczenia życia, życie zaś definiował jako zawarte między biegunami duszy i ciała. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*pallium* (łac.) — płaszcz; tu: część mózgu, największa, zasadnicza część kresomózgowia parzystego, utworzona z istoty szarej pokrywającej półkulę i stanowiąca ich zewnętrzną część. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*autarkia* — tu: samowystarczalność gospodarcza; dążność do zaspokajania wszystkich potrzeb konsumpcyjnych i produkcyjnych w ramach własnych możliwości i unikanie udziału w handlu zagranicznym jako cecha gospodarki lub cel polityki gospodarczej państwa a. grupy państw, występująca najczęściej w okresach kryzysów gospodarczych. [przypis edytorski]

Mogę powiedzieć, a nawet rzec śmiało, że większa część mego życia upłynęła w „cieniu uśmiechu kretyna”. Zaraz wyjaśnię ten niezbyt skomplikowany termin — nawet człowiek niewykształcony filozoficznie zrozumie go po prostu „w mig”. Jest to również jeden z refleksów utajonego i źle odegranego węzłowiska upośledzeń. Kretyn musi też żyć, tzn. uznawać samego siebie, i aby zlekceważyć wszystko, co może go zaniepokoić, i to zlekceważyć w imię tradycji, sensu, zdrowego rozsądku, normalności, przeciętności itp., wynalazł cudowny środek, właśnie ów „uśmiech kretyna”, który jest jednym z elementów najbardziej zatruwających u nas wszelką twórczość i powstawanie wszelkich, choćby najmniej rzucających się nowością w oczy, rzeczy nowych. Bo twórczość to nowość — co nie dowodzi, że każda snobistyczna nowalijka jest wysokiej marki twórczością. W tzw. „nowej sztuce” obok rzeczy genialnych (Cezanne, niektórzy kubiści: Picasso, Braque, Matisse i może kilku innych) była cała masa snobistycznej produkcji puszczonej tylko dla wyzyskania koniunktury. I to w oczach kretynów zdyskredytowało całą nową sztukę. Bo kretyn nie ma zmysłu dla odróżnienia rzeczy wartościowych od tandety: on tępi każdą nowość puszczając na nią swój zabójczy uśmiech, a w razie jej istotnej wartości i uznania dla niej po pewnym czasie robi woltę i staje się jej znawcą, wolny już uśmiech swój kierując na nowe zarówno nowalije, jak i istotne nowości. Kretyn nigdy nie uśmiechnie się swym specyficznym uśmiechem do czy nad rzeczą przez szersze kręgi uznaną: on ją będzie nieśmiało podziwiał twierdząc, że zawsze miał dla niej uznanie, gdy wszyscy na nią jeszcze plwali i rzygali.

Ja, wskutek moich właściwości, które wyliczyłem wyżej *à propos* rozmowy mojej z Gustawem L. (pewna nowość produkcji, początkowa niezrozumiałość, możliwość łatwej interpretacji ujemnej — jako błagi i nabierania itp., itp. i pewne jednak uznanie niektórych), nadawałem się specjalnie jako obiekt dla kretyna w celu zużytkowania przez niego zdolności uśmiechowych. Czyż jest większa dla kretyna rozkosz, jak móc się z politowaniem uśmiechnąć (a w uśmiechu tym musi być zawarte to: „ja się nabrać nie dam” — to jest integralną jego częścią) nad czymś dzikim i niezrozumiałym, a jednak niebędącym już wyraźną *croûte*<sup>163</sup>, *camelote*<sup>164</sup> czy *pacotille*<sup>165</sup> (czyli po prostu tandetą). Jest to ten sam problem, co tzw. słynny Gustaw-problem: lekceważenie już zbyt wyraźnie nieciekawych rzeczy i ludzi nie daje zadowolenia i poczucia wyższości<sup>166</sup>, coś tam do zlekceważenia być musi — nie zadowolą nas np. koty lub karaluchy, w lekceważeniu których nie napotykamy żadnych większych przeszkód. Dopiero jeśli kretyn natrafi na odpowiedni obiekt, wtedy rozwija natychmiast niezrównany czar swego uśmiechu, który doprowadza (w jego mniemaniu) do szału bezsilnej złości nieszczęsnych samców znajdujących się w jego kręgu i do obłędu drażni płciowo samice, szukające bardziej skomplikowanych przeżyć erognoseologicznych.

Najpierw przedmiotem uśmiechu kretyna w stugębnym zaiste wydaniu były moje kompozycje tzw. demoniczne (po wojnie chciano je masowo kupować, ale nowe modele tego typu nie zostały jakoś wypuszczone), potem teoria Czystej Formy (dopóki prof. Władysław Tatarski nie wyciągnął jej z mroku na swoich seminariach), potem dramaty — te utknęły i zniknęły zupełnie, potem filozofia, dopóki ostatecznie nie wydała mojej pracy Kasa Mianowskiego i nie odniosło się do niej poważnie, mimo krytycznych sprzeciwów (to zawsze każdemu wolno i tak być nawet musi), paru poważnych, uznanych myślicieli. Zawsze jakaś sfera mojej działalności była w danej epoce mego życia w cieniu uśmiechu kretyna i jego „perfidnych rzeczników” (tak musiałem napisać i koniec, i niech mi Chwistek ciężkim już za życia nie będzie) — i dlatego tak bardzo rozumiem doniosłość tego zjawiska, które rozszerzone do tych rozmiarów co u nas nabiera cech grozy społecznej: prowadzi do bezpłodnej malkontencji, zlekceważenia każdego oryginalnych poczyniń (na tle tego, że każdy Polak *au fond*<sup>167</sup> drugim Polakiem troszeczkę pogardzujemy), do uznania tylko tego, co przyjdzie już z zagraniczną marką (na tym też polega

Polska, Sztuka, Filozof,  
Głupota, Śmiech, Upadek

<sup>163</sup>*croûte* (fr.) — bohomaz. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>*camelote* (fr.) — fuszerka, lichy towar, grat. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*pacotille* (fr.) — bubel, tandeta. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>lekceważenie już zbyt wyraźnie nieciekawych rzeczy i ludzi nie daje zadowolenia i poczucia wyższości, coś tam do zlekceważenia być musi — dlatego podziwiam czasem Stoliniego, że tak dziką energię może rozwijać w stosunku do notorycznej tandety teatralnej. [przypis autorski]

<sup>167</sup>*au fond* — w gruncie, w głębi. [przypis edytorski]

prócz antyintelektualizmu, czyli mówiąc po prostu dureństwa, upadek teatru, poezji, malarstwa, literatury i krytyki u nas), do wyśmiewania się z bezinteresownej walki o idee, do zakatrupienia w zarodku każdej samodzielnej myśli, do ogólnego spsienia i zgównienia wszystkiego; kretyn pokryje swym uśmiechem wszystko; uśmiech ten zaraźliwszy jest od dżumy, od niego nabierają idiotycznego refleksu całe ulice, całe lokale publiczne, całe miasta, kraj. Jest to jedna z tych plag, których grozy nie widzi się u początku jej pojawienia się (podobnie jest z radiem, które grozi pełnym antyintelektualizmem, uniemożliwieniem pracy nielicznym intelektualistom przez bezustanne rżepolenie w dzień i w nocy i upadkiem muzyki), a gdy rozplenią się tak, że wypalenie ich jest niemożliwe, wtedy dopiero robi się gwałt i lament, a wtedy jest już za późno.

Czyż z całą naszą kulturą nie jest tak samo? Mój głos jest nikły jak brzęk komara wobec megafonów spłyciarzy (I, Iój, Ładoga), ale faktem jest, że przed różnymi rzeczami: nadmiernym przyspieszaniem życia, upadkiem teatru i literatury (wskutek podlizywania się durniejaczej z dnia na dzień publice), antyintelektualizmem, grożącym pełnym zguaniem mózgow — ostrzegałem wiele razy. Nikt nawet dyskusji na ten temat ze mną nie podjął. Gdy idee, do których ja doszedłem sam, zaczęły się przeciskać do nas w formie spengleryzmu i karykatur literackich Huxleya, nawet sfery, które mnie zlekceważyły z moimi przestrogi, stały się też trochę „*bedenklich*”<sup>168</sup> na te tematy. Tak jest ze wszystkim: zgnać krajową oryginalność, aby przyjąć to samo z zagranicy w parę lat później. Już Słowacki o tym pisał, a jest z tym coraz gorzej. Oczywiście uśmiech kretyna jest takim samym refleksem węzłowiska niższości jak każde napuszanie się. Zwracam nań tylko specjalną uwagę jako na wybitnie jadowitą, a pozornie, w małych dawkach, nieszkodliwą niby formę tego procederu, w którym tak celujemy, *nous autres Polonais*<sup>169</sup>. Wiem z góry, jaka będzie reakcja uśmiechających się kretynów na to, co tu piszę: „P. W., słusznie nieuczynany z powodu małej wartości jego wytworów i napełniony przez to goryczą, z powodu braku pewnych wygód życiowych, które daje bogactwo, wylewa w ten sposób swoją żółć, mszcząc się na tych, których nie udało mu się nabrać”. Tak, tak, kotki — nie jest u nas dobrze i jeśli szybko nie zaczniemy odkłajstrowywać wszystkich zakłajstrowanych naszych słabizn i zgnilizn, grozi nam kompletne spsienie. Ja jak zobaczę ten uśmiezek cudny, to mimo że osobiście dawno już (od lat mniej więcej trzydziestu czterech) przestałem nań reagować, zawsze mam ochotę dać w mordę. Ale często jest ten sposób reakcji na wszystko (tj. uśmiech kretyna) nie programowym draństwem, tylko po prostu nieświadomym kompleksem niższości i wszystkie symptomy po rozwiązaniu go (uświadomieniu — do czego może też pomoże niniejsza książeczka) minąć mogą jak ręką odjął.

Więc tylko trochę mniej oporu,  
słuchajcie, ach, o kotki me.  
Lepiej niech wszystko będzie według wzoru  
niż żeby miało być tak bardzo „fe”

(a wszystko będzie jeszcze dobrze). I nie podejrzewajcie mnie o jakąś nieczystą machinację, bo nie jestem zimnym draniem (ani ciepłym też) na pewno, a zanalizowany jestem naprawdę bardzo gruntownie.

## ZAKOŃCZENIE RZECZY WŁAŚCIWEJ

Możliwe, że „wysoka szlachta, świetny korpus oficerski i P. T. publiczność” (jak pisało przed wojną na afiszach cyrkowych w Austrii) będzie niezadowolona z ostatecznych wyników tego, o jakże mimo wszystko pożytecznego „dziełka”. Nie miałem zamiaru pisać kompletnego traktatu o wadach współczesnego człowieka, a Polaka w szczególności; chodziło mi tylko o lekkie pobudzenie uśpionego chętniaka do samodzielnych badań we wskazanych przeze mnie kierunkach. Możliwe, że wstęp teoretyczny zapowiadał więcej, niż się dalej dokonało, ale właśnie on jest główną częścią dziełka, a cała wyłożona tu „mądrość życiowa” ma tylko ilustrować przykładowo jego tezy, nie mając pretensji do

<sup>168</sup>*bedenklich* — niepewny; tu: żywiący wątpliwości. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*nous autres Polonais* (fr.) — my Polacy. [przypis edytorski]

całkowitego ujęcia wszystkich transformacji węzłowisk upośledzenia, którego form jest prawie tyle, ile żyje ludzi na tej nieszczęsnej, a tak pięknej galeczce naszej kochanej.

Operuję szczyptym zakresem własnych przeżyć i nie mam bynajmniej pretensji do objęcia całokształtu poruszonych tu kwestii. Zasadniczą rzeczą, jak słusznie twierdzi Joachim Metallmann<sup>170</sup>, jest to, aby dany autor nas do samodzielnych myśli pobudzał, prócz oczywiście wartości jego własnych idei. O ile to zadanie biedna ta wprost książczyna wypełni, będę już bardzo zadowolony. U nas ludzie lubią „zasypiać” na niewygodne tematy i skutki tego mogą być straszne: „reformy” mogą przyjść za późno we wszystkich możliwych dziedzinach — od teatru aż do ustroju państwa. Najszerzej pojęta rewolucja od góry na lewo na wszystkich frontach musi być przeprowadzona, zanim nastąpi ona od dołu pod względem społecznym wśród morderczych walk i utraty kulturalnej wysokości: trzeba nauczyć się wyciągać wnioski z historii. Ale jednocześnie trzeba obowiązkowo czyścić się od środka indywidualnie. Dopiero wypadkowa tych dwóch dążeń mogłaby dać wspaniałe rezultaty.

(Dalej nastąpi Appendix do książki o narkotykach, co będzie rzeczą wysoce niewłaściwą: ale gdzie go wydrukować, jak nie tu?)

## APPENDIX

### I. Problem NP

Najważniejsza rzecz: kwestia *niepalenia*.

Po wydaniu książki mojej o narkotykach nie paliłem osiem miesięcy, potem paliłem miesiąc, potem nie paliłem pół roku i paliłem dwa tygodnie. Od tego czasu (październik 1932 r.) nie palę już przeszło trzy i pół roku (obecnie piąty rok) i jestem z tego niezmiernie wprost zadowolony. Nawroty do palenia połączone były zawsze z ogólnym upadkiem energii i wytwórczości, nie mówiąc o ohydnej psychicznej, a nawet fizycznej depresji, która to pierwsza nie opuszczała mnie czasem aż do jakiejś piątej lub szóstej wieczór, podczas gdy teraz zredukowana jest (całkiem pozbyć się jej normalny schizoid nie może) do dziesięciu minut gimnastyki Müllera, po czym ginie przeważnie bez śladu, tym bardziej o ile pójde wcześniej spać. Chodzenie bowiem późno spać, bez użycia żadnych narkotyków, nawet tak łagodnych jak herbata lub piwo, wywołuje coś w rodzaju głątwy (czemu nie przyjęło się to piękne słowo, moje „ukochane” wprost, zamiast wstrętnego katzenjammeru, nie wiem) popojkowej w miniaturze — dowodzi to, jak jest szkodliwe. Dość sobie przypomnieć Henri de Crozant z *Climats* Maurois<sup>171</sup>, który o dziesiątej wyrzucił ze swego łóżka najpiękniejszą kobietę i szedł po prostu spać; dlatego prowadził życie, które nazywał „intensywnym” (*vie intense*), zdaje się słusznie.

Jakieś nieodpowiedzialne kanale rozpuściły oczywiście plotkę (ciekawym jestem, czy po mojej śmierci nie ustaną te potwornostki wymyślane na mój temat?), że ja udaję tylko, że bez przerwy pięć lat nie paliłem, i że potajemnie lub w czasie (nielicznych zresztą) popojek zaciągam się tą smrodliwą ohydą. Otóż jest to kłamstwo tzw. „wierutne”. *Pięć lat bez jednego miesiąca nie miałem w ustach tego świństwa*. A raz, gdy byłem zakokainowany i pijany do nieprzytomności (niestety zdarzały się jeszcze takie rzadkie ekscesy; zresztą jestem tylko przeciw nalogom — prawdziwy tytan może sobie czasem na szpryngle pozwolić, ale trzeba być tytanem naprawdę), wsadzono mi w gębę zapaloną „kumetę”, ale nie mogli ci „przyjaciele” (?) zmusić mnie do pociągnięcia dymu.

Po przerwaniu palenia trzeba się liczyć z trzema — czterema miesiącami zmniejszonej wytwórczości i „twórczości”, po roku już nie ma z tego śladu: intelekt pracuje daleko lepiej niż w czasie palenia, następuje tylko zmiana czasu: odpada praca nocna: snardz idzie wcześniej spać, a za to wspaniałe godziny ranne (w lecie od piątej już) stoją mu do dyspozycji dla wykonania rzeczy najtrudniejszych. Senność i wzmożony apetyt, i połączone z nim tycie, którym lubią tłumaczyć niemożność NP różni ludzie, a szczególnie tłustawe damulki, mija po pół roku zupełnie. Oczywiście, że jeśli przyjdzie wojna czy in-

<sup>170</sup>Metallmann, Joachim (1889–1942) — polski filozof nauk przyrodniczych, metodolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, interpretator filozofii Whiteheada. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>Maurois, André, właśc. Émile Herzog (1885–1967) — fr. pisarz; biografista, autor powieści psychologiczno-obyczajowych (m.in. *Climats*, tj. w tłum. pol. *Klimaty* z 1928 r.), prac historycznych, esejów oraz pamiętników; pseudonim pisarski André Maurois stał się oficjalnym nazwiskiem pisarza w 1947. [przypis edytorski]

ny jaki kataklizm dziejowy, możliwe, że zacznę palić papierosy z zaciąganiem się, ale kto mnie w normalnych warunkach z kumetą w pysku zobaczy, będzie mógł powiedzieć, że czasowo lub w zupełności zrezygnowałem z wyższych aspiracji intelektualnych i w ogóle duchowych.

Podczas pierwszego roku czasem jeszcze miałem ochotę na „papierosika” na wycieczkach górskich. Od początku roku drugiego z politowaniem i zgrozą patrzyłem na tych, którzy mieli odwagę wchłaniać do płuc cuchnący przetwór niedostatecznego spalania tego wstrętnego zielska<sup>172</sup>. Wskutek wspomnianych przerw w NP są ludzie, którzy przestawszy palić pod wpływem mojej książki, mają dłuższe okresy NP ode mnie; szczerze im tego zazdroszczę i czuję się bardzo upokorzony wspomnianymi nawrotami — wołałbym, aby ich nie było. Wzywam tu po raz ostatni już chyba wszystkich palaczy, aby masowo organizowali się w kluby NP-istów w celu zwalczania ohydneho, nic niedającego nałogu. Inaczej by wyglądały losy nasze, gdyby pewni ludzie nie palili<sup>173</sup>. Wierzę, że gdyby kierownicy wszechświatowej polityki nie palili, cały świat miałby dziś zupełnie inną niż obecnie strukturę, a Polska stałaby może na czele postępu ludzkości.

## II. Problem NII (Pi)

Nigdy nie byłem nałogowym pijakiem. Pozwalałem sobie w okresach intensywnej pracy (już w czasie NP) na krótkie (kilkutygodniowe) okresy nałogowego picia piwa. Nic nie ma rozkoszniejszego jak „kurze *Gewohnheiten*”<sup>174</sup> (Nietzsche). Ale biada temu, co z „kurze” wejdzie na „lange”<sup>175</sup>; na to też tylko prawdziwy „tajten” może sobie pozwolić. Piwo tylko pite nałogowo (po kilka bomb do kilkunastu nawet dziennie) daje niebanalne wyniki: ożywienie i wzmożenie wytwórczości (w przeciwieństwie do senności, którą wywołują małe dawki u początku „piwozy”). Sądzę, że głównym działaniem piwa, prócz minimalnego działania alkoholu, są: witaminy słodu i nie znane bliżej (prócz jednej zdaje się lupuliny) alkaloidy chmielu. Warto by zrobić jakieś „stężone piwo” nie w sensie alkoholowym, tylko w sensie tych właśnie składników. Piętnastoprocentowe piwo tzw. „świętojańskie” jest tegoż piwa samej idei profanacją.

Wódka jest świństwo i należy ją pić tylko w razie silnego grypowatego przeziębienia, i to wyłącznie pierwszego dnia: pół litra do obiadu i pół litra do kolacji najwyżej. Poza tym może być dozwolona tylko na wielkich uroczystościach. Wódka za kartkami — jedyne wyjście — inaczej Polska zginie od niej, a głównie od tabaku.

Kokaina — ohydne świństwo. Coraz rzadziej ją zażywałem i głównie była coraz potworniejsza, przy osłabieniu wybitnym produkcji rysunkowych specjalnych, które dawniej rzeczywiście były wyjątkowe. Trudno! Przypuszczam, że nawet nie będę więcej robił eksperymentów z tym paskudztwem, jakkolwiek absolutnie zarzec się nie mogę. To nie był żaden nałóg: jedynym nałogiem były papierosy, piwo zaś i herbata, których wspaniałe działanie na krótkich okresach zaprzeczyć się nie da, są w zupełności opanowane. Po okresie ostrej piwozy (np. tydzień po osiem bomb dziennie) okres braku piwa trwa jedno przedpołudnie (bo najlepsza jest bomba lub dwie na czczo, przed obiadem, jako aperitif) — to samo jest przy równej ostrej herbatozie, pewni ludzie powinni tylko uważać, aby nie wystąpiła wątroboza — wtedy jest już źle. Ja mówię zresztą tylko o stronie psychicznej problemu — żadnymi zmianami organicznymi nie mam prawa ani ochoty się zajmować. Znane są w szerokich kołach przeróżnych facetów moje słynne doświadczenia nad stosunkiem kawy do herbaty, które przeprowadziłem w Nowym Sączu u doktorostwa Maciaków, wyjechawszy tam umyślnie w tym celu w r. 1933. Kawa daje tylko podniecenie nieokreślone, powodując przyśpieszenie bicia serca i rozszerzenie naczyń, którymi mózg odżywia się bezpośrednio z otaczającej go cieczy. Herbata (podobno teraz znowu teina jest uważana za coś różnego od kofeiny!) ma jeszcze prócz tej (ewentualnej) z kawą

Polska, Alkohol

<sup>172</sup>wchłaniać do płuc cuchnący przetwór niedostatecznego spalania tego wstrętnego zielska — to, co ogłaszał w „Kurierku” na ten temat monopol, to są rzeczy wprost potworne. Można by równie dobrze zrobić monopol morfinowo-kokainowy. [przypis autorski]

<sup>173</sup>Inaczej by wyglądały losy nasze, gdyby pewni ludzie nie palili — zaznaczam również, że tytany, dla których zaciąganie się fajką lub przejście od fajki do papierosów jest naprawdę wykluczone, mogą bez żadnych złych następstw pozwolić sobie na okresowe palenie fajki, jako na przyjemność III klasy zapachowo-smakowo-dotykową. To wypróbowałem ostatnio na sobie ze skutkiem dodatnim. [przypis autorski]

<sup>174</sup>kurze *Gewohnheiten* (niem.) — krótkie nawyki. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>lange (niem.) — długie. [przypis edytorski]

różnicy olejki lotne, które działają specyficznie: daje ona więcej „natchnienia” i w pracy umysłowej, i w rysunku, gdzie powoduje też większą koordynację oka z ręką. (To samo daje piwo przy lekko nałogowym jego traktowaniu. Ciekawe jest w związku z tym, że piwo podobnie jak herbata działa rozszerzająco na źrenice, podobnie jak kokaina.)

### III. Nowalio hemoroidalne

Wyjechawszy specjalnie nad morze w celu zbadania działania alghorinu<sup>176</sup> na hemoroidy w r. 1935 „dostojny gość” (tak nazywam siebie, gdy jestem gdzieś zaproszony, i tym odgrywam sobie kompleks upośledzenia) zaopatrzył się w typy wypadków wyjątkowo fatalnych. Alghorin okazał się nie do... (tzn. nie tak dobry, jak przypuścić by było można), całkiem zaś do... okazała się lanolina. W uzupełnieniu słynnej teorii hr. Xawerego (patrz, chałuję ohydny, głupi nierobasie przeklęty, artykuł o hemoroidach w *Narkotykach*) trzeba nadmienić, że badania na wypadkach pp. Dziambowicza, Wygórskiego i Pęchali, specjalnie ciężkich, dały wyniki następujące:

1. Lanolina głęboko przed i po.
2. Zapychanie dobre, ale trzeba poznać dokładnie topografię odbytnicy i wiedzieć, którą „śliweczkę” zapchać najpierw, a którą potem. Inaczej mogą być różne przykrości.
3. Specjalnie (tak twierdzi głównie Józek Pęchala i Staś Dziambowicz) świetne rezultaty dają produkty firmy „Gąsecki” (czopki i maść wynalazku Popowskiego. Stosować tylko na noc)<sup>177</sup>.
4. Zimna woda *en quantité*<sup>178</sup>, skierowana umyślnie w najczulsze miejsce.
5. Przysiadanie i odsiadanie podczas zapychania.
6. Niejadanie mięsa na noc, tłuszczów i rzeczy ostrych w ogóle. *Niepicie i niepalenie*.
7. W razie nieposiadania odpowiednich środków dobra jest też maść na katar z efetoniną i mentholem dr Totwena z Zakopanego i od biedy alghorin, a także maść na oczy, stosowana obecnie przeważnie na przyszcze i wyrzuty, o składzie następującym:

Maść na oczy

*Thigenoli* 0,6  
*Xeroformi* 0,5  
*Hydr. pr. flav.* 0,15  
*Lanol.*  
*Vasel.* aa10,0

Maść Totwena na katar:

*Ephetonini* 0,3  
*Mentholi* 0,2  
*Acid. borici* 0,15  
*Eucalyptoli gttII*  
*Lanol.*  
*Vasel.* aa10,0

### 8. Najlepiej nie mieć wcale hemoroidów<sup>179</sup>.

Jeśli nudno, wachać carbolineum rozlane na małej tekturce. Poza tym nic. A właściwie masa jeszcze innych rzeczy, ale to już jest tajemnica, którą pewno zabiorę ze sobą do grobu, nad którym już po trosze stoję. Żegnaj was, jak Kiepus: „Do widzenia, kotki” —

<sup>176</sup> *alghorin* — świetny środek Spiessa na katar dróg oddechowych od nosa aż do płuc. Inhalacja zimna, oleista. Usuwa stany zarówno przewlekłe, jak ostre. [przypis autorski]

<sup>177</sup> *świetne rezultaty dają produkty firmy „Gąsecki” (czopki i maść wynalazku Popowskiego. Stosować tylko na noc)* — dlatego to redaktor „Tygodnika Ilustrowanego”, Wacław Czarski, człowiek o niesłychanie głębokiej (jak z tego widać) intuicji, ciężko intuicyjną swą wiedziony, bez porozumienia ze mną, na końcu artykułu mojego o Bronisławie Linkem, genialnym malarzu, w „Tygodniku Ilustrowanym” (luty 1936 r.) zamieścił reklamę tychże środków. Rzecz nadaje się wprost do opisanego w „Kurierku Metapsychicznym”. [przypis autorski]

<sup>178</sup> *en quantité* (fr.) — w ilości (domyślnie: dużej). [przypis edytorski]

<sup>179</sup> *świetne rezultaty dają produkty firmy „Gąsecki” (...)* *Najlepiej nie mieć wcale hemoroidów* — uważam firmę „Gąsecki” za wprost nadzwyczajną. Nigdy mnie głowa nie bolała nawet po najgorszych nadużyciach narkotycznych, ale w każdym razie na głowę działa kogutek wspaniale. Dobry jest też lumbagol na bóle artretyczne. [przypis autorski]



tylko nie z dachu auta, a ze skromnego pokoiku na Brackiej 23 m. 42, adres zakopiański: Zakopane 3. Antałówka.

## POSTSCRIPTUM (DO *Niemytych dusz*)

### A. Moja teoryjka na temat snu

Wiadomo, że sen obiektywnie, w porównaniu do trwał procesów świadomych na jawie, trwa bardzo krótko, wprost niesamowicie w stosunku do treści, kiedy go się zaś przypomina, zdaje się zawierać otchłanie czasu w stosunku do bogactwa i konieczności zajmowania dużych wycinków czasowych przeżyć w nim zachodzących.

Zdarzyło mi się niedawno zrobić obserwację nad czymś w rodzaju półsnu, a raczej dosłownie „snu na jawie”, która zdaje się potwierdzać moją dawną, sprzed dwudziestu lat, podaną tu teorię: przez jakąś część sekundy przelatywał cały „gomon” zdarzeń dziejących się jakby w jakimś izolowanym od rzeczywistości (która ani na chwilę trwać nie przestała) światku, o niesłuchanie szybkich i na jawie niemożliwych do utrwalenia przebiegach zdarzeń (zarówno z powodu szybkości, jak i nikłości tego zjawiska w stosunku do niej); w czasie snu nic nie przeszkadza utrwaleniu się w pamięci przesuwanego się ciągu zdarzeń — nie jest on zabity z punktu przez nałazącą nań rzeczywistość.

Otóż moja teza jest, że nie istnieje bezpośrednio, aktualne przeżywanie snu jako takie, poza końcowymi może jego momentami, kiedy już w czasie powolnego budzenia się (np. na skutek gwałtowniejszego, wywołanego zbyt intensywną wizją, ruchu ciała) rzeczywistość włącza się do przebiegu samego marzenia sennego i ostatecznie wytłamsza je całkowicie. Nawet jeśli we śnie mówimy sobie: „O — teraz śnię. Mogę sobie pozwolić na wszystko, bo to tylko sen”, nawet wtedy — powtarzam — nie przeżywamy tego w samej chwili dziania się, tylko rozwijamy cały przebieg później, jakby z rolki czy na kształt wachlarza, w postaci wspomnienia od stanu ostatniego w tył aż do niewyraźnego początku. Właśnie to jest charakterystyczne: to odwijanie snu w tył, tylko zaraz po obudzeniu się skuteczne. Jeśli otworzymy oczy lub najmniejsze wrażenie dojdzie nas z zewnątrz — sen, tak silny i żywy jeszcze w końcowym momencie, i w nieodwiniętych, zaznaczonych tylko w zabarwieniu teraźniejszości gąszczach potencjalnych, rozwiewa się jak mgielka uderzona twardą ogromną masą. Sen istnieje tylko jako wspomnienie, *czyste wspomnienie niebyłej rzeczywistości — nie mamy poczucia, że wspominamy coś byłego — mamy tylko i jedynie samo wspomnienie jako takie*. Dlatego to fakty rzeczywiste przypominane bez wyraźnej lokalizacji w przebiegu zdarzeń, wspomnienia bez pamięci realnego odpowiednika w jakimś punkcie życia mają wybitnie ten sam charakter specyficznej dziwności, co marzenia senne; zdarzało mi się często w wypadkach takich zastanawiać się nad tym, czy daną rzecz śniłem, czy też to było kiedyś naprawdę. I z chwilą przypomniał sobie rzeczywistego odpowiednika, w momencie włączenia danego wypadku w realną ciągłość przeszłości, charakter dziwności sennej zniknął momentalnie. Drugą dziwnością snu, która była dla mnie dawniej niesłusznie sprowadzalna do wymienionej, jest ta, której sens istotny ukazał mi dopiero Freud poprzez doktora de Beaurain; polega ona na tym, że sen symbolizuje (i to czasami w sposób powszechny dla wszystkich, tzn., że w tych samych symbolach występują te same treści u różnych osobników) podświadome, utajone treści psychiczne, dotyczące ważnych wypadków z przeszłości, zapomnianych jako takich urazów głębokich, przeważnie bolesnych i ponurych przeżyć. Dlatego to np. we śnie spadnięcie szklanki ze stołu wskutek nieumyślnego potrącenia jest niesprowadzalnie dziwne i tajemnicze, bo symbolizuje treść, która w widowym „kształcie” (w najogólniejszym znaczeniu) zdarzenia się nie zawiera: dajmy na to (jak to mówią) wyraża to życzenie, aby śniący przypadkiem, niby to bez winy, zamordował kogoś, na którego śmierci mu zależy (a i tak jest kruchy jak szkło, np. stary lub chory). Do życzenia takiego nikt by się w normalnej świadomości nie przyznał, ale z chwilą kiedy w skojarzeniach ono wystąpi, to znaczy, że tak jest bezwzględnie. Kryterium prawdy jest tylko w swobodnym, niezasugerowanym skojarzeniu wyobrażeń.

Sen, Wspomnienia

Sen

## B. *Who is who?*

To nie jest nic tak bardzo znów tajemniczego ani nieprzyzwoitego: jest to wszechświatowa księga adresowa wszystkich, żyjących oczywiście (bo co nam po adresie zmarłego?), mężów stanu, finansistów, bankierów, przemysłowców, uczonych, literatów, malarzy, muzyków itp. — w ogóle wszelkich wybitniejszych snardzów w danym kraju, zawierająca krótkie ich charakterystyki, wydawana przez jakąś tam instytucję wydawniczą w Szwajcarii. Jest podobno taki *Who is who*<sup>180</sup> naprawdę wszechświatowy, który jest ekstraktem takich gorszych wydawanych specjalnie dla różnych krajów. Ja znam (i jestem w nim także — no tak, czego się śmiesz, idioto?) tylko jeden z takich gorszych, w którym jest, obok Polski, Austria, Grecja, Albania, Lichtenstein, Finlandia itp. Dostałem raz blankiet do wypełnienia — widocznie redakcja kieruje się encyklopediami danego kraju — zlekceważyłem to — dostałem drugi raz — wypełniłem. Co mi tam ostatecznie — korona (ślachcicka, psia ją mać zatracona) z głowy mi od tego nie spadnie, i ujrzałem swój skromny życiorys w ładnej książeczce; może nawet przez chwilę zrobiło mi się przyjemnie — czort wie — człowiek ma słabostki — chodzi o to, aby je znać, widzieć jak na dłoni i nie ukrywać ich przed sobą, jak to przez dziką pychę czynią zwykle teozofowie. Ostatecznie jechano na mnie jak na burej suce całe życie, ledwo żyję finansowo pod koniec życia, „może mi ta i beło, wicie, przyjemno” — czort wie. Ale prócz siebie zobaczyłem tam dużo rzeczy ciekawych. Książka ta jest, że tak powiem, „wolnym” przyczynkiem do mojej teorii puszenia się: watowania się i kołpaczenia Polaków — po prostu wstyd. Więc ja podałem, że jestem „Philosopher”, bo nim jestem, cóż ja winien jestem, że rodzina mojej żony jest aż w *Almanachu gotajskim* (tzw. niemieckie „*Uradel*”), co w wymiarach snobistycznych jak dla takiego trochę tylko po kądzieli skoligaconego szerepetki<sup>181</sup> jak ja jest już zaszczytem nie lada (tu cały mój bardzo powierzchowny snobizm wylazi i od razu się kończy — nie ma go więcej) — przecie ożeniłem się z nią nie dlatego właśnie (a może, może — o, do cholery! — e — chyba nie). Cóż zrobię dalej na to, że aby przed wysyłką na front być w Pitrze, gdzie miałem krewnych<sup>182</sup>, wstąpiłem do gwardii — ale „za to” pułk mój, Leib-Gwardii Pawłowski Polk, zaczął pierwszy Wielką Rewolucję Rosyjską. Cóż zrobię, że dostałem za bitwę pod Witonieżem (jedna z najkrwawszych na tym froncie) Annę 4 klasy, która wtedy poszła dużo w górę w cenie w stosunku do początku wojny. To są fakty — przy czym wypełniłem odpowiednie rubryki kwestionariusza — mam wrażenie, że nic mi zarzucić nie można. Ale inni — pożał się Boże — po prostu skandal. A więc:

1. Znany poeta pochodzenia semickiego (i z tego zwykle dumny) pisze, że pochodzi po prostu „z bardzo starej rodziny” i że jest członkiem klubu tenisowego. Każdy pomyśli, że to jakiś wprost hrabia nieużywający tytułu (był taki jeden u nas: Mychajło Tyszkiewicz, a obecnie jest taki jeden Potocki).

2. Drugi znany poeta, tegoż pochodzenia (przeciw któremu to pochodzeniu ja oczywiście nic nie mam, uważając antysemityzm za coś nieludzkiego, a jako politykę za krótkodystansowe głupstwo mogące mieć fatalne następstwo dla kultury polskiej), pisze, że jest autorem sztuk, mimo że pisał tylko dla zarobku skecze do kabaretów.

3. Wielki uczoney podaje, że żona jego jest córką baroneta angielskiego, ale nie podaje, że baronet ów jest profesorem w koloniach, skąd pochodzi, i że tytuł „*Sira*” zdobył za naukę, co byłoby prawdziwie zaszczytne. Sam o sobie pisze, że jest z „*gentry*” i dodaje „autochtoński” wyraz: „szlachta” — po co to? Czy to naprawdę taka cenna spuścizna?

4. Wielki pisarz i wielki działacz socjalistyczny i niepodległościowy wali po prostu, że jest synem „land-lorda” — tzn. grubszego posiadacza ziemskiego (w Anglii jest *farmer*, *land-lord* i *lord-magnat*). Ale na Polskę brzmi to imponująco. Ja rozumiem: on

Antysemityzm

<sup>180</sup>księga adresowa wszystkich, żyjących (...) mężów stanu, finansistów, bankierów, przemysłowców, uczonych, literatów, malarzy, muzyków itp. — ja proponuję zrobić polski taki almanach specjalny pod redakcją naczelną Boya pod japońskim tytułem: *Ktomajaja*. Chyba mimo zerwania między nami stosunków (oczywiście) omieszka mnie tam nie zamieścić. [przypis autorski]

<sup>181</sup>takiego trochę tylko po kądzieli skoligaconego szerepetki jak ja — przebaczenie, o ciotki — bądźmy obiektywni, jak to Witkiewiczom przystało. [przypis autorski]

<sup>182</sup>aby przed wysyłką na front być w Pitrze, gdzie miałem krewnych, wstąpiłem do gwardii — na tym miejscu muszę wyrazić wdzięczność (zamiast w gazecie) mojej ciotecznej siostrze Jadwidze Jałowieckiej *I voto* Żukowskiej, *II voto* Lipkowskiej, która jedna z tej całej rodziny zaopiekowała się mną po różnych strasznych przejściach i powrocie z Australii. [przypis autorski]

chce dać do zrozumienia, że będąc synem owego land-lorda poświęcił się dla sprawy, a nie rekrutował się ze sfer robotniczych. Owszem — ale właściwie po co to w krótkiej charakterystyce?

5. Moja kuzynka, osoba zresztą dość nawet inteligentna, która napisała parę artykułów i jedną broszurkę, nieprzedstawiającą nic oryginalnego, wali (w ogóle po co ona jest w tym *Huishu*, nie wiadomo): „*autor of books and articles*”, a potem chwali się (przed kim?), że jest krewną znanego aktora w Londynie, że dziadek jej, Jan Witkiewicz (i to nieprawda, bo brat dziadka), był wielkim (to prawda) awanturnikiem w Afganistanie (faktycznie dziwna to postać, jedyne wcielenie Wallenroda — z zesłańca, cudem przez Humboldta wyratowanego z karnych batalionów, zostaje adiutantem hr. Perowskiego, gubernatora Turkiestanu, wywołuje bunt Afgańczyków w Khaboulu, rzeź czterech tysięcy sipajów angielskich; o mało nie wybucha wojna angielsko-rosyjska. Wezwany do Petersburga zostaje tam z rozkazu kanclerza Nesselrodego zamordowany — dla Polaków ciekawa historyjka i dlatego ją tu opowiedziałem, ale w międzynarodowym almanachu co kogo — jeśli już w ogóle — obchodzi, że pani ta jest wnuczką takiego człowieka, co jest w dodatku błagą).

6. Pewien profesor politechniki wali sobie „de” przed nazwiskiem, kiedy w ogóle nie wiadomo, czy kiedy smród ślachcicki naprawdę wachał.

Co ruszyć jakiego Polaka, to wyłażą takie historie o pochodzeniu, że zdaje się, iż wszyscy to jakieś lordy co najmniej, a puszą się i w innych sferach „co-nie-miara”. A przeczytać o jakim Albańczyku czy Finlandzie albo zgoła o Austriaku czy Lichtensteiniarzu — wszystko przyzwoite snardze — nikt się nie puszy, tym jest, czym go siła niewiadoma i on sam stworzyli, czy Stahremberg, czy Carnap, czy baron Fey, czy Schlick. (Po śmierci dopiero biednego Schlicka dowiedział się świat, że był on hrabią niemieckim, a że Neurath jest baronem, też z tej książeczki się nikt nie dowie.) A u nas — co by to krzyku było, żeby np. Słonimski był hrabią, a Tuwim księciem krwi<sup>183</sup>. A do tego jakieś dziwne postacie, które już zupełnie do *Huishuju* nie pasują: prócz wymienionej uroczej kuzyneczki mojej (stosunki zerwane oczywiście) jakiś dyrektor poczty z Krakowa, aptekarz ze Lwowa itp. Nic nie mam przeciw nim, ale po co? Rozumiem, że jest (obok mnie np.) Roman Jaworski, ale co robi poczta krakowska albo właściciel apteki we Lwowie, przy całym szacunku dla tych instytucji jako takich, nie rozumiem. Chyba to „*government party*” obok nazwiska usprawiedliwia wszystko. Mała rzecz, a wstyd. Publiczną analizę mojego snobizmu (dekoracyjnego, farsowego) zostawię w moich pamiętnikach pośmiertnych. Dość o tym, ale „*Beitrag*” jest świetny.

Polak, Pycha, Pozory

### C. Problem łaźni parowej

Stała rozmowa, która mnie do wściekłości doprowadza. Ja: „Chodzi pan do łaźni?”, On (Ona): „Nie, ale kąpie się”, niektórzy dodają: „co dzień”, inni raz na tydzień, na dwa, na miesiąc, raz w rok koło Zielonych Świątek. Co dzień brać gorącą wannę to jest przesada i to jest nawet niezdrowe. Wyszorować się co dzień, można pod prysznicem w łazience, w tubie, w blaszanej dużej miednicy, w balii, ale siedzieć po pół godziny w gorącej wodzie — to jest ryzykowne. Mógł sobie na trzy wanny dziennie pozwolić Napoleon I z jego „*Überschuss an Energie*”<sup>184</sup>, ale normalny Polak nie. Jestem za wanną co tydzień, a za myciem się „na cało” mydłem i ewentualnie szczotką Sennebalda z Białej co dzień. Ale jak ktoś mi powie, że nie był nigdy w łaźni, a jest w dodatku już po czterdziestce, to naprawdę w mordę bym prał niechlują dla jego dobra do krwi — dodaję: niechlują raczej wewnątrz. Bo łaźnia to jest tak jak mycie się szczotką od wewnątrz, szorowanie organów wewnętrznych, ścięgien, stawów, mięśni, nerwów, po prostu samych komórek. A cóż dopiero, jeśli jest to połączone z masażem takim, jaki robi genialny wprost w swoim fachu Jan Wawrytko w łaźni miejskiej w Zakopanem. Człowiek wyje, każdy mięsień, każde ścięgno zdaje się wydobyte i obszczypane. Ale za to potem ofiara Wawrytki czuje się tak, jak łożysko kulkowe świeżo wymyte naftą i naoliwione. Wszystkie świństwa wychodzą z człowieka razem z potem — wszystkie organy zaczynają żyć na nowo, przemiana materii staje się prawidłowa, usuwają się wszystkie złoży kwasów i spowodowane

<sup>183</sup>wyłażą takie historie o pochodzeniu (...) — nie wiem, czy Zofia Stryjeńska, ta wielka humorystka, na żart czy na serio pisze, że zmarły dyplomata Aleksander Skrzyński był jej przodkiem. Dobry kawał. [przypis autorski]

<sup>184</sup>*Überschuss an Energie* — nadmiar energii. [przypis edytorski]

przez nie artretyczne zgrubienia członków. Kto po czterdziestce nie zacznie chodzić co najmniej raz na miesiąc do łaźni parowej, jest kretynem (chyba że wada serca czy choroba płucna mu na to nie pozwala, to trudno — na to nie ma rady). Powiedzenia takie: „Ja nie mam czasu, ja się brzydzę widokiem innych ciał” itp. powinny być wyeliminowane. Nikt nie może przewidzieć, jak przedziwne skutki może mieć dla niego znieawidzona z początku, a potem tak „kochana” łaźnia. Ale najgorsze jest to powiedzenie: „przecież ja się myję” — to wściec się można od takiego niezrozumienia jednego z najwspanialszych, przez naturę nam w postaci naturalnych gorących źródeł poddanego wynalazku. Twierdzą, że mała ilość artretyków i wariatów w Rosji, w przeciwieństwie do pierwszego w Anglii i drugiego w krajach północnych, polega na tym, że Rosjanie zawsze pijali prócz kolosalnych dawek wódki (zdrowsza niż wino) również kolosalne ilości lekkiej bardzo herbaty, a przy tym co tydzień chodzili do łaźni — to jest najważniejsze. W ten sposób wypacali (i pewno wypacają i teraz) wszystkie świństwa, które wódka w ich organizmach wytwarzała. W ogóle działanie środków moczopędnych (kofeina mimo wytwarzania ciał purynowych, szkodliwych na artretyzm, kompensuje to właśnie tą swoją właściwością) zostało teraz jakby więcej ocenione. Z powodu własności moczopędnych kofeiny herbata uznana została za używkę jeśli nie korzystną, to w każdym razie nie tak szkodliwą, za jaką ją miano dawniej z powodu przetwarzania się kofeiny w materię wywołującą artretyzm przez wytwarzanie nierozpuszczalnych moczanów będących przyczyną złożeń w stawach i mięśniach. Mam wrażenie, że krótkie i rzadkie (do dwóch tygodni najwyżej, raz na pół roku) nałogowe picie piwa w dużych ilościach (do dziesięciu bomb dziennie), które ja uprawiam, też doskonale działa na artretyzm, ale jest to tylko hipoteza, którą należałoby sprawdzić, jak również poznać dokładnie działanie nieznanymi alkaloidów chmielu (lupuliny i innych). Nie polecam nikomu tego proceduru, wyjątkowo tylko prawdziwym tytanom antynałogowości w okresach wielkich radości lub wielkich smutków; możliwe, że brak artretyzmu w „piwnych” częściach Niemiec, a rozpowszechnienie go w „winiach” i we Francji (patrz cała „Biblioteka Boya”) polega też na tym. Są to rzeczy do zbadania, i to nie przez laików mojego pokroju.

Jeszcze inny rodzaj śmiesznych „ludzieniaszków”<sup>185</sup> mówi: „Ja nie mogę — nie znoszę gorąca”. A któż je znosi w tym stopniu od początku? Trzeba się powoli przyzwyczaić i co do siły pary, i czasu, a wtedy pokocha się łaźnię i tęsknić się do niej będzie jak do żarcia, picia i tym podobnych rzeczy.

#### D. Wady

Jeszcze raz chcę zwrócić tu uwagę, że co innego jest człowiek z wadami wrodzonymi, a co innego jest typowa niemyta dusza, reagująca swymi kompleksami poza kontrolą intelektu i zwyczajnego rozumu, tzw. „chłopskiego”. Otóż może być osobnik mający wady, które on właśnie za swoje zalety uważa. Ale są to rzeczy głęboko mu organicznie wrodzone, stanowiące integralną część jego istoty; on jest zrośnięty z nimi jakby w jedną bryłę i nie ma nawet żadnych środków dla spojrzenia na siebie z boku i zobaczenia tych właściwości swych jako wad właśnie. Takie typy zdarzają się raczej wśród pykników, chociaż i pewne typy schizoidów mogą tu też być zaliczone; do wad pierwszego rodzaju będą np. należeć: rozrzutność, lekkomyślność, samochwalstwo, brutalność; do drugiego: despotyzm, fanatyzm, doktrynerstwo, skąpstwo, skrytość, zamknięcie się w sobie<sup>186</sup>, okrucieństwo itp. Są to albo właściwości „pierwsze”, albo też dodatkowo towarzyszące innym, bardziej pozytywnym. W każdym razie typy takie do pewnego stopnia nie odpowiadają za wszystkie ujemne skutki, których charakteru ich dostarczają otoczeniu — są takimi, bo być nimi muszą. Wielka siła danych pierwotnych, przy małej zdolności do analizy, widzenia swych wad, nawet przy dość wybitnej silnej woli, nie pozwala im poprawić się z błędów — nie dostrzegają ich i koniec. Często uważają się typy takie za doskonałości w swoim rodzaju, będąc właściwie plagami dla swego najbliższego otoczenia. Inny typ stanowią ludzie o charakterach ujemnych, którzy nie mając żadnych etycznych zastawek, prócz tych najogólniejszych, które chronią od zbyt już jawnie kryminalnych

Rycerz, Pozory

<sup>185</sup>ludzieniaszki — wyrażenie Ludgarda Grocholskiego. [przypis autorski]

<sup>186</sup>zamknięcie się w sobie — to ostatnie jest wadą wprost straszliwą, doprowadzającą do potwornych nieporozumień i wprost tragedii. Zamiast coś powiedzieć i wyjaśnić tłamszą typy takie wszystko w sobie, zatruwając ubocznymi produktami tego tłamszenia siebie i drugich, swoje i cudze życia. Ten typ tępiłbym z przyjemno-

postępków, a przy tym posiadając dokładną znajomość wad swych jako takich, obliczając na zimno korzyści, systematyzują wady te w pewien zespół, dający im przewagę w kwestiach życiowych w ten czy inny sposób, w każdym razie ujemny, jeśli chodzi o drugich. Znałem wielu takich osobników, którzy pozornie robią wrażenie — o ile się po latach ich ogląda — zatrzymanych jakby w wewnętrznym rozwoju (często pojawia się zjawisko to u Polaków żyjących za granicą, wybitnie u polskich nałogowych paryżan), a których wady — zamiast ulec uświadomieniu i częściowemu choćby zniszczeniu przez pracę nad sobą — kulminują w rozwoju swym w postaci całego systemu, stanowiącego już jeśli nie najgorszego gatunku maszynę zdobywczą, to w każdym razie tandetny wał ochronny lub zbroję, która może nawet mieć czasem tradycyjny rycerski wygląd, będąc w gruncie rzeczy zbiorem starych rondli, miednic czy urynałów, kawałów jakichś oberwanych dachów czy płyt od wypalonych dawno rusztów. Trzeba odróżnić oba tamte typy od człowieka, który, przy pełnej znajomości wad swych, pewnych z nich np. nie jest w stanie się pozbyć mimo nawet usilnej pracy nad sobą: podnosi się i zapada znów i życie jego wskutek tego staje się pasmem ciągłych wzlotów i upadków, które powodują, że linia wypadków zewnętrznych przybiera fantastyczną zygzakowaną lub pogmatwaną formę, będąc funkcją — niedostrzegalną często dla drugich — wewnętrznego szarpaniny. Ale nade wszystko trzy wymienione rodzaje odróżnić należy od typu będącego tematem głównym tej pracy: typu węzłowiskowego, który ma wady chwilowe zależnie od danego okresu życia lub ograniczone do pewnych reakcji (np. jest brutalny i niedelikatny — odróżnić te dwie rzeczy od siebie, gdy chodzi o malarstwo, kwestie erotyczne lub matematykę). Zaraz to wytłumaczę: np. dany snardz jest złośliwy tylko w chwilach niepowodzenia, bo wtedy działa specjalnie silnie jego węzłowisko upośledzeń: jest np. brutalny (otwarte chamstwo) lub niedelikatny (zamaskowane, udające co innego — czasem np. dyskrecję właśnie — włożenie komuś w majtki, mówienie rzeczy przykrych pod pozorem obiektywizmu lub weredyctwa<sup>187</sup>), gdy chodzi: 1. o malarstwo, bo miał być malarzem w młodości i chciał być sławnym, i to mu się nie udało; 2. o erotykę, bo ma krótkie pałakowate nogi lub jedną nogę uschniętą i 3. o matematykę, bo jest ona dla niego jedynym sposobem okazania swej wyższości nad innymi. Ale ten typ nie wie przeważnie nic o tym, co popelnia. Uświadomiony powinien przestać — jeśli nie, to znaczy, że jest drań. A z draniami nie należy się zadawać, choćby byli nie wiem jak przepelnieni tajemniczym urokiem życia — tę radę daję wam znad grobu ostatnim wysiłkiem stygnących ust. Do widzenia.

Przemoc, Ofiara,  
Przemiana, Wiedza

#### E. Harmonijny rozwój osobowości

Wymieniona w tym tytulu istność była podobno ideałem Hellenów, o których wiem zbyt mało (poza filozofią ichnią), aby się nad nimi rozwodzić. Sądę jednak, że ideał ten, szczególnie w dzisiejszych czasach, godnym jest pewnego zastanowienia. Oczywiście dla kilkuset ludzi, którzy resztę swych ziomeków planetarnych uważali za robocze bydło lub nawet za nawóz dla siebie (i dziś są tacy, niestety), ideał ten mógł być łatwym do spełnienia przy pewnym egotyzmie i specjalnej, związanej z nim tablicy wartościowania i przy ówczesnym o owej harmonii pojęciu. Wiele zmieniło się od owych czasów, ale mimo wszystko nie warto nawet w najokropniejszych warunkach (łatwo mówić, więc co: obóz koncentracyjny, zapluskwione glinianki, głód, mróz, wszy — może nawet i tak — zależy od siły woli) tracić go z oczu, bo przy pewnej transformacji wartości greckich co innego nam pozostaje prócz zarabiania na chleb, dbania o naszych bliskich, starania się o możliwie pełne i skuteczne uczestnictwo w życiu społecznym, jak nie ten właśnie harmonijny rozwój naszych osobowości, który ostatecznie jest celem wszystkich transformacji społecznych: chodzi o szczęście osobiste wszystkich indywidualiów, a nie szczęście jakiegoś bezindywidualnego mrowia, które nazywamy w skrócie społeczeństwem czy ludzkością. To są banały, ale jakże często o nich zapominamy. Polska jest organizmem nierozwiniętym równomiernie. Oczywiście, wobec fizycznego charłactwa<sup>188</sup> dobrze jest

Kondycja ludzka

Polska, Upadek, Ciało,  
Rozum, Dusza

ścią przy pomocy straszliwych, inkwizycyjnych wprost psychoanaliz — jest to zakąta tej ziemi i pewno innych planet. [przypis autorski]

<sup>187</sup>weredyctwo, właśc. weredyzm — mówienie prawdy bez względu na konsekwencje. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>Polska jest organizmem nierozwiniętym równomiernie. (...) wobec fizycznego charłactwa dobrze jest propagować sport — kiedy w roku 1911 wróciłem jednym nieomal rzutem z Londynu do Krakowa, przerażony byłem widokiem wnętrza wagonu III klasy. Taż to, panie, były same charłaki. To samo na ulicach, w lokalach, wszędzie.

propagować sport, ale nie należy nim zagłupiać młodzieży na glanc, rozdymając go do granicy najwyższej skali wartości i robić z niego najwyższego celu życia, i doprowadzać do zupełnego upadku intelektu, co przy naszej strukturze społecznej mści się w sposób fantastyczny na dalekich dystansach. Skutki ogólnego antyintelektualizmu możemy obserwować już na przestrzeni lat osiemnastu. Jeśli komu nie wystarcza ta degregolada (albo degryngolada — albo fonetycznie lub pisowniano), to jest zaiste wymagający, prawdziwie morowy chłop.

#### F. Puder i szminka

Polecam paniom (a nawet mężczyznom po goleniu), aby nie używały pudrów kupnych, nie nawalały na twarze ohydnych masek, bo sobie popsują przedwcześnie podmaszcza i wyc będą potem po (samotnych) nocach, jak stare wyliniałe i parszywe suki. Twarz nie powinna być *pokryta* pudrem, tylko napudrowana tyle, żeby nie świeciła się jak samowar, po czym puder powinien być starty. Wystarcza zwykła mączka ryżowa i puszek (a nie te ohydne, brudne, zaklejone kokocim sadłem poduszki jakiegoś, którymi się wciera w tę nieszczęsną mordo-skórę wszystkie możliwe świństwa). Sam używam tego od czterdziestu lat i kilku i cerę mam, mimo pewnego wieku, mówiąc z lekką przesadą, jak piętnastoletnia dziewczyna. A robienie sztucznych usteczek w kształcie serca, i to jeszcze karminem, a nie koralem, jest ohydą ponad wszelką miarę paskudną. Nie widać ust, tylko jakieś wstrętne malatury, spomiędzy których łypnie czasem zdechło-fioletowy, przez kontrast, język czy dziąsła. Fu!

Uroda, Maski

#### G. Swetry i okulary

Ludzie są jednak kretyny. Można widzieć snardzów, i to starszych, którzy całe życie w futrach w mróz chodzili, gdy w Zakopanem (ale już w Kocmyrzowie nie) w dwadzieścia stopni mrozu, w pochmurny, wietrzny dzień, zmarznięci na kość chodzą w marynareczkach i w szalikach na szyjach. Po co to i co komu z tego przyjdzie? Podobnie np., tylko na odwrót: snardz młody i nawet (wyjątkowo) inteligentny w potworny upał, kiedy człowiek chętnie nago by chodził, idzie w koszuli zapiętej z krawatem, a na to nasadzoną ma kamizelkę włóczkową dlatego, że się nazywa ona swetrem. Co innego np. po wieczornym tenisie, ale nie w południe przy trzydziestu pięciu stopniach w cieniu. Kołem łamać tego, co te modki powprowadzał. Z balkonu mego często obserwuję rzecz potworną (zresztą widzę to i na wycieczkach, ale tu chodzi o źródło) — ludzi niechających używać żółtych okularów na śniegu. A nikt ich nie nauczy tego, że to jest potworne marnotrawienie wzroku. Odnosny kretyn (lub kretynka) mówi na uwagi co do tego z uśmiechem wyższości, typowym uśmiechem kretynki: „Mnie się oczy nie męczą — ja nie potrzebuję”. Otóż zrozum, szanowna idiotko, że oko powoli się przystosowuje i subiektywnie często np. cały dzień zmęczenia nie czuje, a wieczorem występuje łżejsze lub cięższe zapalenie spojówki. Ale nie dość na tym: oko się zmęczy przez jedną zimę, dwie, trzy, ale na czwartą zacznie oko kretyna chorować, a w całości przyspieszy to kretynowi oślepienie starcze o jakie lat piętnaście. Nawet na trotuarach miejskich odbite słońce razi, a cóż dopiero na śniegu. Tu nie chodzi o samo słońce — na lodowcach alpejskich ślepną ludzie w mgłę; tu chodzi o spolaryzowane przez odbicie od śniegu światło, posiadające wścieklą siłę chemicznego działania. W przeszłym roku oślepl jakiś snardz na Kondratowej Hali i zaczął widzieć tylko czerwono-białą mgłę. Było to chwilowe porażenie siatkówki, ale może być i trwałe. Wył, ryczał, modlił się i płakał, i zaklinał się, że nigdy już, no i przejrzał — ale równie dobrze mógł skończyć ze wzrokiem na zawsze. Ale kto ma uczyć? Otóż widzę często szkółki narciarskie po trzydziści do czterdziestu osób, z których jedna, może dwie czasem osoby mają ochronione oczy. Wyrypiarz-trener, kretyn, oczywiście sam bez okularów też, bo co mu tam: on i tak jest w trzydziestym roku skończony facet, o sfajtanych (t, tajfun, taniec) kłapzdryglach i przechwistanych sztok-bumpsłach i oczy mu są niepotrzebne. Więc kto ma uczyć tych nieszczęśników, którzy „dla głupich desek” oczy chcą przemarnować, jeśli nie ich instruktor? Domagam się specjalnych kursów higieny dla instruktorów.

Moda, Strój, Zdrowie

---

Durniem byłby ktoś chcący przeciwdziałać fizycznemu odrodzeniu. Ale obok Instytutu Wychowania Fizycznego powinien powstać jednocześnie, automatycznie, także Instytut Wychowania Psychicznego. Inaczej zejdziemy na psy bardzo prędko. [przypis autorski]

Przypomina mi się słynna pieśń „poety” o Motyce (Zdzisiu):

Motyka, Motyka (w) nikogo nie (w) tyka.  
Nie pije, nie pali, na nartach pomyka.  
Motyka, Motyka bees kie banował<sup>189</sup>,  
Coś lo głupik desek<sup>190</sup> młodość przemamował.

H. Ostatnie rady dla samogolących się

1. Mydlić twarz, aż póki ręka nie opadnie ze zmęczenia. Świetne jest nasze mydło „Angola”, tylko można by zrobić inne papierki obwijające, wzorując się na mydle „Colgate” np. Najlepsza gruba cynfolia i koniec. Po co ten papierek cienki, który przyklepia się do mydła i który trzeba potem odrywać. *A propos*, dobry materiał idzie czasami w parze z fatalną „oprawą”, *exemplum*: wspomniane mydło, butelki rozlewające naokoło atrament (wspaniały!) „Iskry” Karmańskiego — jakieś niedomykające się klapki, niedopasowane i przedwcześnie zagwanderowane brandszlajchy, gnypalstwo i fazdrygulstwo itp., itp. wszędzie. Są wprawdzie pastele (nareszcie) i ołówki Majewskiego, czekolada Wedla, lokomotywy Cegielskiego<sup>191</sup>, moje psychologiczne portrety<sup>192</sup> (ach, pardon! — *Selbstlob stinkt*<sup>193</sup>), ale to wszystko mało, mało, mało! Gdybym mógł o tym krzyknąć, jak Kiepu-ra ze szczytu auta, to byłoby wspaniale — niestety nic z tego: *ma vie est completement „inquietpourrissable” et „incourrierecable”*<sup>194</sup>.

2. Na moje pytanie, czy używa języka przy goleniu, pewien dyrektor browaru odrzekł dumnie: „Mam go na inne cele”. Nie wiem, co myślał, w każdym razie kilka obecnych pań zarumieniło się. Ot, jak zwykle płocze kobietki, panie tego (inne znaczenie miałoby to zdanie *in einer total Kobittenlosen Gesellschaft*<sup>195</sup>). Otóż ten prymitywizm goleniczny u wybitnego „skądinąd” przemysłowca jest czymś naprawdę oburzającym. *Bacznosc! Sluchać!* Golić się trzeba pod włos od razu, zbadawszy przedtem dokładnie topografię twarzy (jak mój przyjaciel Marcoussis badał topografię obrazu), tzn. wiedzieć, w którą stronę włos rośnie. Niech zamilkną szczekacze twierdzący, że raz trzeba się golić za włosiem, a drugi raz pod włos — jest to tylko niepotrzebne rozdrażnianie skóry i nerwów: przy dobrym namydleniu się (do omdlenia ręki) problem ten nie istnieje. Następnie koniecznie przy goleniu w ten sposób wąsów trzeba wydymać podwątose tereny (lepiej nie całe policzki, tylko przy pewnym zwężeniu narządów pyszczkowych samo podwątose) powietrzem ścięśnionym w jamie ustnej (która często przypomina jamę kloaczną: zęby lub żołądek — uwaga!), zaś tereny podbródkowe wypuczać przy pomocy podkładania pod nie z całej siły owego języka. Przy czym ostrze ma mieć kąt 45° do kierunku ruchu żyłki. Skończyłem i żeby mi już więcej nie było takich objawów, bo wpadnę we wściekłość i będzie źle — bardzo proszę!

I. Jeszcze jedna z rzeczy ważnych w każdym ustroju społecznym: „klan wyjącego psa” tryumfuje nad tzw. „intelektualistami”, którzy są potrzebni wszędzie; problem radia

Kiedy mi pierwszy raz o radiu opowiadał pewien snardz<sup>196</sup> (znakomity zresztą rzeźbiarz), od razu pomyślałem sobie, że coś jest niedobrze. Jako człowiek pracujący głową

Muzyka, Sztuka

<sup>189</sup>bees kie banował (gw.) — będziesz kiedyś żalował. [przypis autorski]

<sup>190</sup>coś lo głupik desek (gw.) — że dla głupich desek. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>lokomotywy Cegielskiego — który mi postawił raz mały koniak jako kobiecie, kiedy przebrany za amazonkę wystąpiłem pierwszy raz w życiu w r. 1926 na balu maskowym w Zakopanem. [przypis autorski]

<sup>192</sup>Są wprawdzie (...) ołówki Majewskiego, czekolada Wedla (...) moje psychologiczne portrety — przy sposobności odpowiem na zarzut pewnych złośliwych pół-idiotów, że zdradziłem sztukę, zasady Czystej Formy i przeszedłem na naturalizm. Przede wszystkim mój naturalizm portretowy nie jest skórny, tylko psychologiczny. Poza tym mówię i piszę zawsze, że przestałem być artystą i że to, co robię, to nie jest Sztuka Czysta w mojej definicji, tylko sztuka stosowana do portretowej psychologii. Teoria Czystej Formy pozostaje nietknięta i nieodwołana, tylko ja zmieniłem mój fach. W teatrze uważam się dotąd za artystę właśnie — kompromisu żadnego w słowie pisanym nie zrobiłem i nie zrobię. [przypis autorski]

<sup>193</sup>Selbstlob stinkt (niem.) — samolub cuchnie. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>ma vie est completement „inquietpourrissable” et „incourrierecable” (fr.) — moje życie jest kompletnie niekierowalne i nieporęczne (a. nieprzenośne). [przypis edytorski]

<sup>195</sup>in einer total Kobittenlosen Gesellschaft (niem., pol.) — w totalnie bezkobitnym towarzystwie. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>snardz — snardz = facet — patrz, kotku, poprzedni numer „Skawy”. [Przypis dodany w pierwodruku fragmentu: „Skawa” nr 6 z czerwca 1939, s. 6–8; odsyłający do publikacji fragmentu *Niemytych dusz* pt. *Znaczenie*

nie znoszę zbytecznych zorganizowanych hałasów, które tak znakomicie umajają życie przeciętnie bezmyślnemu stadu. Dla muzyki jako dla Czystej — nie bebechowo pojmowanej — Sztuki mam najgłębszy szacunek, jak dla każdej ze sztuk w ogóle, mimo że ich sam prawie obecnie nie potrzebuję, ale jak to wspomniałem wyżej: 1. w ogóle zubożętniałem dla sztuki, widząc, że naprawdę się kończy, a 2. z muzyką jestem w złych stosunkach osobistych: przestałem ją muzycznie pojmować i albo mnie nudzi jako nieartykułowany chaos, albo nieprzyjemnie bebechowatym swym elementem denerwuje. Ale to, co się dzieje z radiem, jest szkodliwe dla muzyki jako dla sztuki i szkodliwe dla całej ludzkości — jako zagłupienie denerwującym lub usypiającym wszelką czujność wewnętrzną co do oceniania wartości hałasem. Sam czułem, że dla muzyki to nie jest dobry wynalazek: może ją popularyzować, ale musi obniżyć jej ogólny poziom — trudno — jest to zdaje się nie-do-uniknięcia i mimo że muzycy, którzy w tej kwestii głos zabierali, zostaną przez „klan wyjącego psa” (tzw. Ka-Wu-Pe) zakrzyczani, oni to istotnie rację w tej kwestii mają.

Wszyscy siedzą w biurach od rana — mało kto pracuje w domu, tzw. „państwo” wychodzą i tzw. „służba” puszcza sobie głośniki i gramofony od samego rana. Nawet w zimie, przy szczelnie pozamykanych oknach, wciska się wszędzie zmieszany, rozedrgany, bebechowy, zmysłowy rozgwar muzyczny, uniemożliwiający prawdziwe umysłowe skupienie. Wszystko jest przesycone drgającymi na wierzchu krwawymi bebeciami, które krzyczą, wyją, jęczą, zawodzą i ryczą. „Ta pani jest, słowo daję, cudna... ta chwila nigdy nie wróci... ten urok zabija niesamowitą rozkoszą... ta chodźmy tańczyć uroczne tango unoszące w niepowrotny żal minionych chwil... ta jak się pani ślicznie śmieje” itp., itp. Oto słowna treść tej atmosfery, w której dziś musi pracować tzw. „intelektualista”. Oczywiście tamtych jest większość, ale ci znów są rzadcy i bez nich byłoby całkiem parszywie. „Sekcja (czego?) ochrony intelektu przed wyjąłym psem” powinna być ugruntowana, bo inaczej wszystko zejdzie na jeszcze gorsze psy (na parszywe kundły) niż dotychczas. Intelektualista musi wybierać: albo a) siedzieć w lecie przy zamkniętych oknach (prawo powietrza w mieście — rzecz pierwszorzędnej wagi), a i tak głośniki wciskają się przez wszystkie szparki i otworki i „fond” namiętnej (przeważnie wyjący pies nie lubi Bacha, Beethovena i Szymanowskiego), bebechowej muzyki przeważa jako nastawienie do pracy nad tzw. „dobrem ludzkości” lub „zagadką bytu”, albo b) poddać się przy pracy swej gustowi służącej<sup>197</sup> swego przypadkowego „wizawi” i słuchać, jak jakiś ohydny bebechowy *au plus haut degré*<sup>198</sup> tenorek III klasy wyje:

Ty moja, ach — ach, przecież ja utracił ciebie,  
Ach, w tej miłości, ach, ja byłem, ach, jak w niebie,  
Rozstanie to zabija me uczucie tak,  
Że jestem teraz taki zwykły, smutny sobie flak itd., itd.

Gdyby to jeszcze taka pieśń, ale są stokroć i tysiąckroć gorsze. Po prostu ohydny, śmierdzący bebecz ludzki — łzawi, krwawi, prątkuje, spermkuje, mra i globi na tysiące sposobów po wszystkich płytach i nie-płytach (tzn. oryginalnych występach) świata. Dobrze — są kretyny, które tym tylko żyją, ale czemu do życia tym świństwem mam być zmuszony ja — dlatego że chcę w mieście łyknać trochę względnie (o, jakże względnie!) świeżego powietrza. Więc albo zamknijcie okna i ściszcicie (to nade wszystko) głośniki, słuchajcie na słuchawkach, albo nie grajcie wcale. Ale ja mam wrażenie, że prócz zwykłych idiotów istnieją świadomi dobroczyńcy ludzkości: mają dobre głośniki i chcą się ich działaniem ze wszystkimi podzielić; ci są, zdaje się, najgorsi. Poza tym, że narzucają swój program: ja chcę (dajmy na to — ja w ogóle nic nie chcę — ja chcę spokoju) mszy żałobnej w Barcelonie, a on mi puszcza śpiewy przy zbiorce kukurydzy w Argentynie; ja chcę w ogóle mszy świętej, a on mi tango z Savoyu lub na odwrót, a przy tym głos to

*codziennie-życiowe teorii Kretschmera* drukowanych w dwumiesięczniku literackim „Skawa” w numerze 5 z maja 1939; red. WL.] [przypis autorski]

<sup>197</sup>Nic nie mam przeciw służącym jako takim, ale wołałbym, aby ich wcale nie było. Podobno w Ameryce przeciętny człowiek nie ma służby — tylko milionerzy mogą sobie na to pozwolić. Ale jakiej służbie chyba jest naprawdę dobrze? Służyć komuś, nie sobie, to parszywa rzecz. [przypis autorski]

<sup>198</sup>*au plus haut degré* — w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]



narkotyk, prawdziwy narkotyk — im dalej, tym głośniej, wymaga on coraz większych dawek jak morfina lub opium, i to jest najgorsze: ludzie głuchną powoli sami nic o tym nie wiedząc i to, co dla jednych jest już potwornym rykiem, dla nich jest łagodnym nuceniem z surdinką. Są ludzie (o ile ludźmi ich nazwać można), którzy walą cały program od siódmej do drugiej w nocy. Mam wrażenie, że kierują się oni niejasnym poczuciem, że coś się marnuje, kiedy ich radio nie gra. Płacą za to podatek, mają to potencjalnie — jakże tu nie grać. I grają se, wicie, grają. Pomijając to, że maniak radiowy nie ma na nic czasu — jak nie gra, to coś mu się marnuje — co za ogłupienie z tego nachodzi na niego i całe otoczenie, i sąsiadów, którym pracę jakąś uczciwą umysłową wprost uniemożliwia. Mam wrażenie, że ludzkość na razie nie zdaje sobie sprawy z tego, jakiego potwora dodatkowego, przy niezmiernie cennym wynalazku, spuściła z uwięzi. Kto wie, czy postępujące ogłupienie publiki ostatnich lat nie zawdzięcza porządnej ilości procentów radioamatorstwu. Resztę dorzyna rozrastająca się gazeta, dancing, sport, alkohol i nikotyna. Ale pomijając już kwestię ciszy zupełnej, nawet ten, co lubi muzykę przez radio, chciałby słuchać tego, na co ma ochotę — i tego nie może; ma chęć na kwartet Beethovena, a musi słuchać tanga, chce tanga, a tu mu gwałtem wpakowują mszę, i to tak głośno, jak tylko można, ile tylko głośnik wytrzyma. Z hałasem jest jak z każdym nałogiem — wymaga on coraz większego dozowania, aby spełnić swoją rolę ogłupiania. A w dodatku okna porozztwierane na oścież! Więc albo wyrzeknijcie się sami świeżego powietrza, albo nie puszczajcie głośników, bo jedno i drugie jest wprost niemożliwe. Ale najgorsze to są te typy, które mając dobry głośnik, chcą się z innymi jego zaletami podzielić — rozwalają ci „dobroczyńcy” okna i puszczają na ostatni numer siły swój aparat, po prostu z dobroci serca. Niech im woskowina w ich niemytych uszach nigdy się nie zaśmierdzi! Kiedy powstanie jakaś ustawa przeciwradiowa czy coś podobnego?!...

#### J. Psy łańcuchowe

Widok psa na łańcuchu jest w stanie popsuć mi humor na danym spacerze na dwie godziny, jeśli nie więcej. Zwierzę stworzone i wychowane na przyjaciela człowieka jest bez winy skazywane przez kanalie bez serca na bezterminowe więzienie, tym bardziej że w więzieniu tym nie jest on jak normalny więzień izolowany od świata i jego pokus, tylko przez wzrok i węch, tak silny u psa, wystawiony na ich najsilniejsze działanie. Tak jakby człowieka trzymać całe życie w klatce w sali pierwszorzędnego dancingu z dziwkami I klasy bez możliwości wzięcia udziału w żarciu, piciu, rozmowach, zabawie itp. lub nawet raczej niezupełnie podobnych rzeczach. Ja wiem, że konsekwentnie trzeba by nie jeść mięsa (ale wtedy trzeba by nie nosić skórzanych butów, bo to jest gruba niekonsekwencja, na którą tylko notoryczni teozofowie pozwolić sobie mogą), nie zabijać pluskiew i wszy, o ile się wyjątkowo posiada takowe w łóżku lub na sobie, a potem idzie kolej na zwierzęce mikroby, a potem komórki roślinne — jednym słowem, trzeba by się położyć pod płótnem i zdechnąć — oto jedyne wyjście. Drugie to robić tylko to, co jest konieczne, chociażby nie męczyć bez potrzeby nieszkodliwych dla nas stworzeń; tego tylko na razie wymagam i tego nie mogę się doczekać nawet od lepszych znajomych.

A jest tak, jak jest, bo świat jest walką (IPN) (Potworów) i statystyka działań sprawia tylko względne porządeczki, np. jak egipskie czy średniowieczne państwo albo dzisiejszy faszyzm lub bolszewizm czy też stosunki w dżungli i w szklance błotnistej wody. Poza tym nadmienię, że tak pozornie niemające nic wspólnego ze sobą zjawiska, jak mesjanizm naszych tzw. wieszczów i poufalenie się dopuszczanych zbyt blisko przyjaciół, teoria „Narodu Wybranego” u Żydów i złośliwości starych panien, i pewne zasady chrześcijańskie, mają u podstawy swej tenże sam w istocie źle odegrany kompleks niższości, a to wszystko razem jest wynikiem jedynie nie zderzania się martwych kulek, tylko walki (IPN) o byt — *appetition de la monade*<sup>199</sup>: najpierwsze prawo bytu, sformułowane pierwszy zdaje się raz w tej formie przez Leibniza.

#### K. Ślina

Przekonałem się kiedyś, nie mając jodiny i nie mogąc posmarować nią bąbla powstałego od ukąszenia przez bąka ślebaka, że ślina (przecie każde bydlę się nią leczy) zastępuje doskonale takie środki dezynfekcyjne i uśmierzające. Po kilkakrotnym napluciu na rękę

<sup>199</sup>*appetition de la monade* — apetyt monady. [przypis edytorski]

i rozsmarowaniu „bąbelas” ów zniknął bez śladu. Na różne swędzenia i wysypki dobra jest też gliceryna z jodyną, normalnie używana do pędzlowania gardła.

Jeśli cię nic nie swędzi  
I nie *zanadto* boli,  
Nie miej pretensji żadnej  
Do najsroźszej doli

— jak pisał kiedyś poeta.

L. Łupież i łojotok  
Podaję tu receptę śp. prof. Krzyształowicza, który mię uratował kiedyś w młodości od łysiny:

*Maść* (wcierać w skórę głowy na noc)

*Acid. salicyl.* — 1,0

*Sulf. praecip.* — 0,5

*Ol. Amygd.* — 20,0

*Bt. Cacao* — 10,0

Rano wymyć przy pomocy *Spir. Saponatus Kallini*, a po wyschnięciu głowy natrzeć płynem następującym:

*Płyn*

*Acid. salicyl.* — 2,0

*Formalini* — 1,0

*Trae. Chinae* — 15,0

*Spir. vini 70%* — 150,0

5 VII 1936

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/witkacy-niemyte-dusze/>

Tekst opracowany na podstawie: Podstawa wydania: maszynopis z odręcznymi poprawkami autora nr inwentaryzowy 1884 w zbiorach Muzeum Literatury w Warszawie. Publikacja: Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Narkotyki. Niemyte dusze*, oprac. Anna Micińska, PIW: Warszawa 1993. Fragmenty Niemytych dusz drukowane w dwumiesięczniku literackim „Skawa” na przełomie 1938 i 1939 roku: *Atmosfera miast „Skawa”* nr 1 z grudnia 1938, *Węzłowisko upośledzenia „Skawa”* nr 2 z lutego 1939 oraz *Znaczenie codziennie-życiowe teorii Kretschmera „Skawa”* nr 5 z maja 1939 oraz *Klan wyjącego psa „Skawa”* z czerwca 1939.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury ([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl)).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Justyna Radomińska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7078-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).